Specjalne SEKS-wydanie!

Gwiazdy porno → 18
Spowiedź artysty erotomana → 24
Aseksualni → 28

PRZEKRÓJ

nr 6 (3525), 11 lutego 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Co Polacy zrobili Marii Peszek? → 6

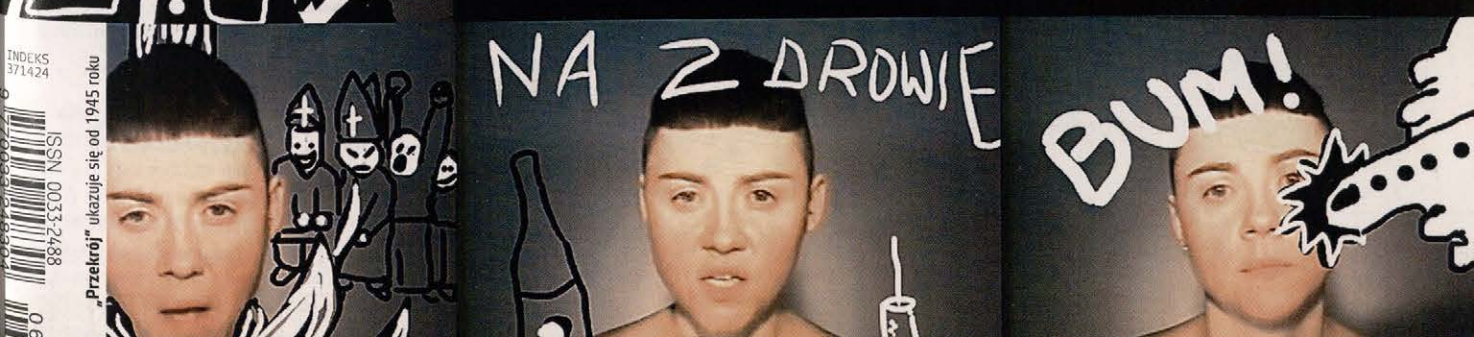

INDEKS 371424
ISSN 0023-2408
„Przekrój" ukazuje się od 1945 roku

Mniejsze rachunki,
większy uśmiech!

NOWE KONTO ODDAJE

-10%

za GAZ, PRĄD, WODĘ i TELEFON!

www.credit-agricole.pl
801 33 11 11
koszt wg stawki operatora

Credit Agricole Bank Polska S.A.

CRÉDIT AGRICOLE
prosto i z sensem

Promocja „Oszczędzam na rachunkach" trwa w terminie 12.01-28.02.2013 r. Warunkiem udziału w promocji jest otwarcie konta w pakiecie Konto PROSTOoszczędzające PLUS lub Konto PROSTOoszczędzające PREMIUM, złożenie wniosku o debetową kartę płatniczą oraz deklaracja stałych wpływów na konto (min. 100 zł miesięcznie). Klient otrzyma premię promocyjną w postaci oprocentowania specjalnego części środków, na rachunku bieżącym konta osobistego wynoszącego 12,35% dziennie (10% netto), przez 5 mies. od momentu przystąpienia do promocji przekazywanych na rachunek po wykonaniu transakcji wskazanych w regulaminie promocji. Maks. łączna kwota odsetek promocyjnych nie może przekroczyć 246,92 zł (200 zł netto). Szczegółowe warunki uczestnictwa oraz zasady promocji znajdują się w regulaminie „Oszczędzam na rachunkach" dostępnym w placówce bankowej i na www.credit-agricole.pl. Materiał ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 ko

PRZEKRÓJ

W tym tygodniu nie piszemy...

...o tym, że Facebook pracuje nad aplikacją, która ma umożliwić Zuckerbergowi i spółce śledzenie użytkowników nawet wtedy, gdy są offline. Wielki Brat patrzy.

...o prezydencie Iranu, który chce polecieć w kosmos. Mahmud Ahmadinezad pozazdrościł małpie, którą wystrzelono wcześniej w przestworza. Zazdrość – straszna rzecz.

...o zarobkach Wojciecha Staszewskiego, dziennikarza „Gazety Wyborczej", który pożalił się ostatnio, że nie stać go na weekend we Frankfurcie z wysportowaną żoną. Podobno dziennikarze to uprzywilejowana grupa. Podobno.

...o romansie Jacka Kurskiego. Rozumiemy, że „Fakt" oraz „Nie" zajmują się podbojami europosła. Dziwi nas jednak, że piszą o tym Poważne Media. A jeśli nie poważne, to takie, które zadzierają nosa.

...o Piotrze Kukulskim. Polski 50 Cent oraz Kanye West w jednym był gwiazdą premierowego odcinka programu „Na językach". Nie wiemy, co jest gorsze. To, że domorosły raper przed kamerami opychał się sushi i grał w minigolfa, czy to, że upublicznia swoją twórczość.

...o Bożenie Dykiel, która w śniadaniówce wyznała, że „TVN pożydził". I o wszystkich tych, którzy sądzą, że to normalna, neutralna wypowiedź, bo „Żydzi od zawsze trudnili się lichwą".

NA POCZĄTEK

ZUZANNA ZIOMECKA

Gdy na początku millennium grasowałam po San Francisco, za szczyt postępowości w branży erotycznej uchodził lokal The Bearded Lady. Rozbierały się tam i tańczyły wyłącznie panie z brodami zrzeszone w związku zawodowym i wyposażone w świadczenia społeczne. Minęła dekada i branża erotyczna zmieniła się za sprawą młodych gwiazd filmów porno (str. 18), które do seksualnego przekazu dołączają osobowość i wymiar społecznościowy. Za pomocą Internetu przejmują władzę nad swoim wizerunkiem – rozwijają pasje i zainteresowania, przedstawiają fanom nie tylko to, co mają w majtach, ale i to, co mają w głowach, na półkach z książkami i na talerzach. Tym samym stają się artystkami, didżejkami albo dziewczynami z sąsiedztwa. Nie są już ofiarami, wyuzdanymi groteskowymi zboczeńcami, pustymi ciałami służącymi przyjemności sfrustrowanych podglądaczy. Dzięki nim porno przestaje być brudne i wstydliwe. Jednak po lekturze tekstu Anny Przybyll (str. 32) o wynikach badań ekonomistów nad szczęściem małżeńskim mam obawę w stosunku do nowych ikon porno: aby przypadkiem zbyt dużo na swoich filmach nie zarabiały! Bo odechce im się seksu z partnerem. Kocham nasze czasy.

MARCIN PROKOP

Nasi dziadkowie mieli okupację. Nasi rodzice – stan wojenny. Starsze rodzeństwo – czerwiec 1989. Ja i moi rówieśnicy jesteśmy pierwszą od dawna generacją pozbawioną jakiegokolwiek istotnego przeżycia pokoleniowego. Clubbingowy neohedonizm? Eksplozja Internetu? Facebook? To chyba trochę za mało. Jesteśmy jak chmura samotnych elektronów krążąca wokół jądra wspólnych korzyści (żyjemy w czasach pokoju i względnej wolności) oraz oczekiwań (dobra praca oraz iPhone dla każdego), ale tęsknimy za czymś bardziej gęstym. Dlatego wraca zainteresowanie historią, która już nie tylko w kombatantach, ale przede wszystkim w młodych ludziach wyzwala wielkie namiętności i gorące dyskusje. Patrz choćby afera wokół „Pokłosia" albo niedawne starcia o powstanie styczniowe. Tym bardziej jestem ciekaw, jak zostanie odebrana „Tajemnica Westerplatte" (str. 42). Już widzę, jak się będą boksować fani mitu o samobójczym bohaterstwie oraz przeciwnicy bezsensownej, krwawej ofiary. Ale chyba lepszy spór o prawdę, nawet w atmosferze szarpaniny, niż patrzenie na historię przez pryzmat zakurzonej, muzealnej gablotki z pożółkłymi fotografiami pomnikowych herosów.

RACZKOWSKI

FRANEK MAZUR (2)

AKTUALNOŚCI

6 → **BOHATERKA TYGODNIA Pokazać faka z hamaka**
Z Marią Peszek rozmawia Zuzanna Ziomecka

14 → **ŚWIAT Tropikalna joga** Barbara Zaborowska-Czajka

16 → **TECHNOLOGIA YouTube jak kablówka** Piotr Kościelniak

GRUBE SPRAWY

18 → **PORNO Nowe obowiązki gwiazdy porno**
Karolina Sulej

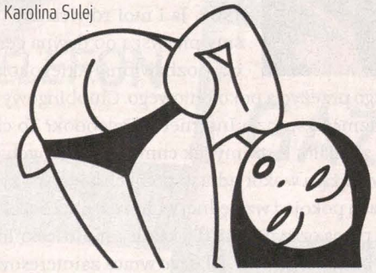

MAURYCY GOMULICKI

24 → **MANIFEST Syndrom King Konga** Maurycy Gomulicki, artysta wizualny, o erotycznych fascynacjach

28 → **ASEKSUALNI Celibat 2.0** Olga Święcicka

32 → **RODZINA Kobiety do garów** Anna Przybyll

34 → **RODZINA Szklany sufit to wymówka** Z Emirem Kamenicą rozmawia Anna Przybyll

36 → **RODZINA Przynieś mi mamuta, kochanie** Joanna Ćwiek

38 → **FAIR TRADE Przeklęta czekolada** Z Katarzyną Szeniawską i Błażejem Popławskim, autorami książki „Gorzka czekolada", rozmawia Anna Kowalczyk

42 → **HISTORIA Pokłosie Westerplatte** Michał Zygmunt tworzy dla nas scenariusze filmów, które nie powstaną

KULTURA

52 → **SZTUKA Kozyra pyta o Jezusa** Jacek Tomczuk

56 → **TEATR Nowa sodoma** Z Piotrem Siekluckim, założycielem Teatru Nowego w Krakowie, rozmawia Mike Urbaniak

60 → **SZTUKA O psie pogrzebanym i galerzyście szczwanym**
Historia najbardziej punkowego marszanda – Stach Szabłowski

64 → **FILMÓWKA Liczy się pomysł, nie kasa** Z nowym rektorem łódzkiej Filmówki, Mariuszem Grzegorzkiem, rozmawia Jacek Tomczuk

70 → **KINO Moja ulica murem podzielona** Reżyser Marcin Latałło opowiada Dorocie Chrobak o łódzkiej robotniczej rodzinie

72 → **MUZYKA Nie chciałem wiedzieć** Daniel Bloom w rozmowie z Angeliką Kucińską

74 → **LITERATURA Rękopis znaleziony w sieci** Marcin Kube

77 → **PO-PATRZ Pedały stąd** Kuba Dąbrowski

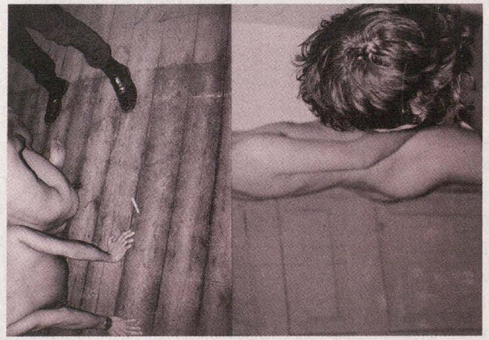

ROZMAITOŚCI

78 → **KUCHNIA Jabłecznik w natarciu** Cezary Polak

80 → **WINO Wino na prowincji** Wojciech Bońkowski

FELIETONY

48 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Knebel po jasnej stronie mocy

50 → **GRZEGORZ LEWANDOWSKI GOŚCINNIE**
Besserwisser warszawski

68 → **MACIEJ NOWAK** Potrawy lokalne

76 → **MAX CEGIELSKI** Zdrowa choroba

RACZKOWSKI

PRZEKRÓJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00–838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl
Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)
Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska
Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka
Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski,
Kuba Dąbrowski, Mateusz Farenholc, Angelika Kucińska, Marta Mach, Wojciech Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska, Agata Napiórska, Cezary Polak, Marek Raczkowski, Marianna Saska, Karolina Sulej, Stach Szabłowski, Mike Urbaniak, Jerzy Ziemacki
Projekt graficzny: Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski
Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka
Korekta: Ling Brett
Strona internetowa: KRCMedia.pl
Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00–838 Warszawa
Promocja i marketing: Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska (p.berska@rp.pl)
Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00–838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 67;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;
Dyrektor Biura Sprzedaży Korporacyjnej Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53
Dyrektor Działu Agencyjnego i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKRÓJ"
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 07
Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803 lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro Obsługi Klienta czynne w godz. 7–18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe
Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl, www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl
Dostęp na stronę www i wersję na iPada
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €, rok – 19,99 €
Prenumerata na Android przez Google Play: tydzień – 3,49 zł, miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł, miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwisyplatne@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Okładka:
Rysunki internautów powstałe podczas akcji „Maria Peszek-Róbmy Klip" autorstwa studia Huncwot.

Sukcesem moim i „Kuchennych rewolucji" jest zmiana sposobu myślenia restauratorów w Polsce.

Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla restauratorki
Magdy Gessler.

W numerze także:

Sisley: kosmetyczne imperium
zaczęło się od Radziwiłłów

Piotr Uklański skandalista
z Polski podbija Nowy Jork

Francois Mikulski rozkochał
Francuzów w swoim burgundzie

SUKCES. MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH
www.sukcesmagazyn.pl

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

Pokazać faka z hamaka

Właśnie pojawił się alternatywny teledysk do piosenki **„Ludzie Psy"** z płyty „Jezus Maria Peszek". To wyjątkowy klip, bo „mazało po nim" 30 tys. osób, fanów i antyfanów artystki, która kocha katastrofę i nie boi się pokazywać jej skutków publicznie.

Wstrząsające rzeczy ludzie na tobie malowali. Czemu oddałaś się w ręce internautów – nie dość po tobie skakali, kiedy jesienią opowiedziałaś w mediach o swojej depresji?

Zdecydowałam się pójść o krok dalej. Po premierze płyty każdy mógł ocenić moją osobę tak, jak chciał, i powiedzieć o mnie, co tylko chciał, często w bardzo brutalny sposób. Postanowiłam dać ludziom totalną wolność, ale i odpowiedzialność za to, co robią i mówią, a potem zobaczyć, co z tego wyniknie. Razem z chłopakami z Huncwota wymyśliliśmy interaktywną akcję: „Róbmy klip". Wyszedł z tego projektu bardzo wyrazisty obraz Polski – z pejsami, gwiazdami Dawida, swastykami, krzyżami i wszechobecnymi penisami. Ale też z abstrakcyjnym poczuciem humoru i surrealną pomysłowością. Podczas czterech tygodni każdy mógł na losowo wybranej klatce z moją twarzą narysować lub napisać, co tylko chciał. Do boju ruszyli fani, ale nie tylko. Moi antyfani mieli taką samą możliwość zaistnienia. Z tego, co wiem, część z nich zorganizowała nawet próbę wywrócenia projektu akcją wandalizmu. Chodziło im o to, żeby umieszczać komunikat o obrazoburczej treści dotyczący Jana Pawła II.

MARIA PESZEK

Aktorka teatralna i filmowa, wokalistka. W 2005 r. ukazał się jej pierwszy album zatytułowany „Miasto Mania". W ubiegłym roku nagrała trzecią solową płytę „Jezus Maria Peszek", jak mówi, rzecz bardzo osobistą i brutalną.

Chyba jednak jakaś forma cenzury musiała być, bo 30 tys. rysunków nie zmieściliście w teledysku.

Użyliśmy 2,5 tys. klatek – mając świadomość, że tracimy tysiące fantastycznych rysunków, ale inaczej nie bylibyśmy w stanie zmontować i pokazać klipu. Montażu dokonaliśmy z zachowaniem proporcji wyrażonych emocji. To uzmysłowiło mi, jak skrajne uczucia budzi Maria Peszek, jak silnie reagują na mnie ludzie. Ale jedno nie ulega wątpliwości: po tej akcji znowu mam wiarę w nasz naród. 30 tys. osób potrafiło się zmobilizować i zrobić coś wspólnego, wziąć udział w akcji artystycznej.

Widocznie twoja ostatnia płyta i wywiad, którego udzieliłaś „Polityce", zrobiły tak mocne wrażenie na ludziach. Zaplanowałaś to w ten sposób?

Mnie to bardzo zaskoczyło. Spodziewałam się, że niektórzy ludzie będą się czuli dotknięci nową płytą, a nie wywiadem o stanie psychicznym, w jakim byłam, zanim ją nagrałam. Tymczasem Jezus w tytule nikogo nie obszedł albo obszedł minimalnie. Nie obeszło ludzi moje odkrycie, że Bóg może być przeszkodą w drodze do bycia szczęśliwym. Nawet piosenka o tym, że nie chcę mieć dzieci, czy o tym, jak sobie wyobrażam patriotyzm albo własną śmierć nie wywołały reakcji. Najbardziej wściekło Polaków to, że opowiedziałam o swoim bardzo trudnym przeżyciu językiem otwartym, bez owijania w bawełnę, bez pięknych fraz, tylko w brutalny i radykalny sposób. To było uderzające odkrycie – część ludzi nie chciała słuchać tego, co miałam do powiedzenia na płycie, tylko skoncentrowała się na wątku plotkarskim. Na tym, że opowiedziałam o doświadczeniu, które przewartościowało moje życie. Mocno mnie poturbowało to, że cześć osób uznała, że zmyśliłam albo przynajmniej cynicznie wykorzystałam swoją sytuację do promocji płyty.

Inne osoby, również publiczne, opowiadają o swoich chorobach i nie wywołuje to takiego sprzeciwu. Jak myślisz, z czego to wynika?

Chyba częściowo chodzi o język. Nie używałam sformułowań typu: „byłam na zakręcie" albo „świat mi się zawalił", tylko powiedziałam: „chciałam umrzeć". To są słowa bardzo radykalne i zabierające cały czar temu przeżyciu. Żadna kalkulacja, tylko mój sposób mówienia. Edek, mój konkubent, twierdzi,

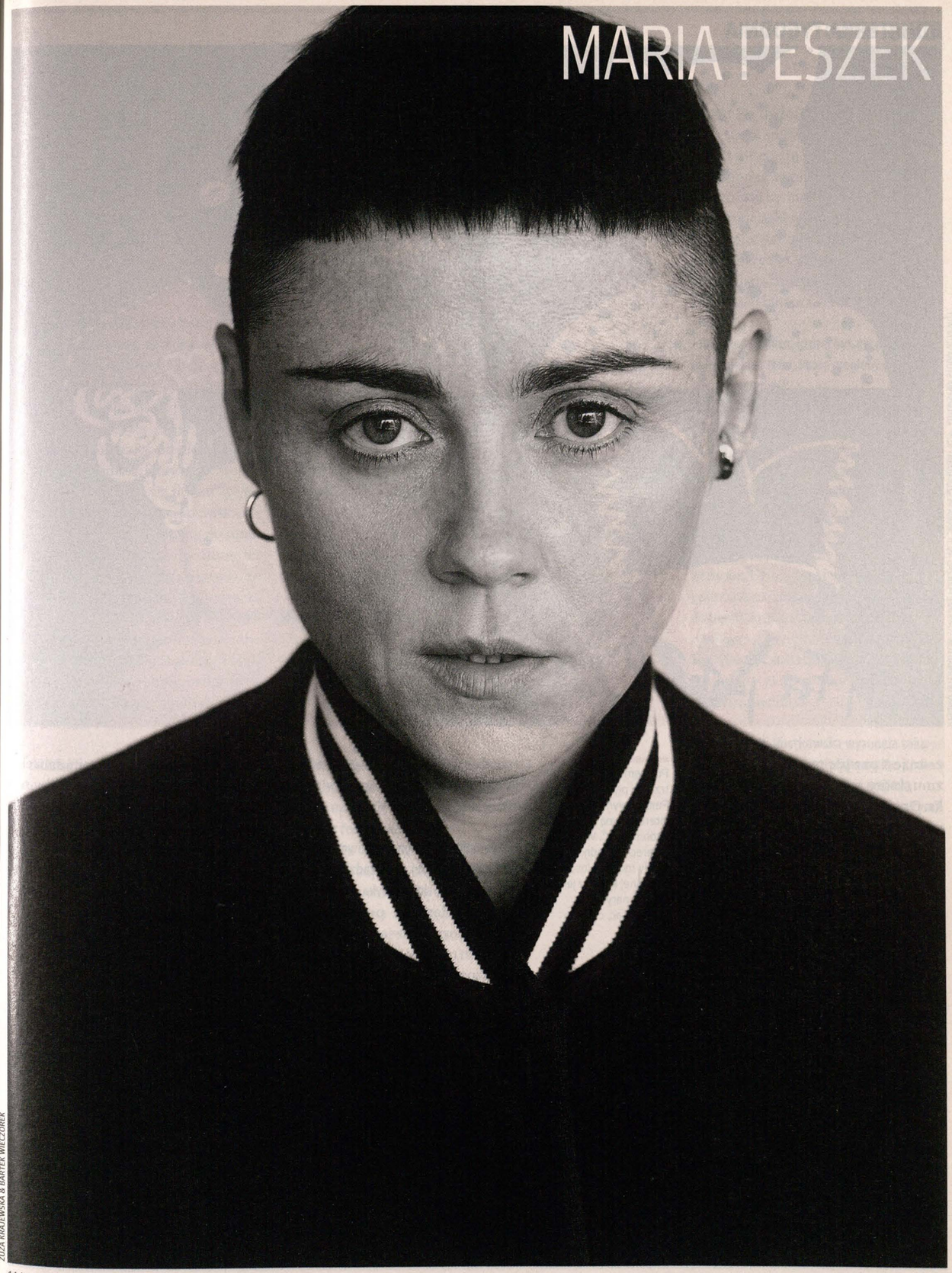

ZUZA KRAJEWSKA & BARTEK WIECZOREK

RYSUNKI INTERNAUTÓW POWSTAŁE PODCZAS AKCJI „MARIA PESZEK-RÓBMY KLIP" AUTORSTWA STUDIA HUNCWOT

że to jest pewien rodzaj ekshibicjonizmu, który mam również jako artystka. On uważa, że ludzie w Polsce nie są gotowi na ten rodzaj otwartości, drażni ich, że nie liczę się z konsekwencjami, że jestem wolna.

Tak, to mocny kontrast. Mówiłaś pewnym siebie i mocnym językiem o chorobie, która zwykle pozbawia człowieka siły.

To też ważny aspekt. Gdybym opowiedziała całą moją historię w momencie, w którym byłam w stanie cierpienia, to być może efekt byłby zupełnie odwrotny. Ludzie by mnie ukochali jako ofiarę. W Polsce cały czas panuje kult cierpienia i umierania dla sprawy. Człowiek w cierpieniu jest bohaterem. Ofiary są kochane, a zwycięzcy podejrzani. A ja opowiedziałam o swoim cierpieniu w momencie, kiedy udało mi się z nim uporać, kiedy zrobiłam o tym fantastyczną płytę, z której jestem dumna.

Po premierze trzeciej płyty Maria Peszek wymyśliła interaktywną akcję: „Róbmy klip". W ciągu czterech tygodni każdy mógł na losowo wybranej klatce z jej twarzą narysować lub napisać, co tylko chciał.

Czyli cierpienie przekułam w sukces. Nie atakuje się ludzi chorych, słabych. Atakuje się silnych.

No i z ponadprzeciętnymi możliwościami. Ten hamak na rajskiej plaży zadziałał na internautów jak płachta na byka.

Tak, ośmieliłam się powiedzieć, że w trakcie tego doświadczenia byłam w pięknym miejscu. Odważna, sześciomiesięczna podróż po Azji została sprowadzona do kilkutygodniowej kuracji hamakowej typu all inclusive. Pakujesz walizkę ze swoimi przeżyciami, rozbijasz się na jakiejś tajskiej plaży, cierpisz i wracasz.

Tymczasem my tu w zimnej Polsce, w kolejkach do przychodni NFZ...

Wiadomo! Gdyby moja historia działa się w Tworkach czy w jakimś szpitalu w Grudziądzu, to mogłabym być kochaną bohaterką. A tak stałam się antybohaterką, obiektem ataków, kpin, śmiechu. Opowiedziałam o tym z potrzeby najczystszej z możliwych, co nie było łatwe, bo niechętnie opowiadam o życiu prywatnym i jeżeli to zrobiłam, to znaczy, że o coś ważnego mi chodziło. Więc jeżeli coś mnie w tej całej sytuacji wkurwiło naprawdę, to to, że ludzie przykładają do mnie własną cyniczną miarę i mówią, że to była historia promocyjna. Przeciwstawiam się temu.

Wciąż? Kiedy to było! Już dawno ta historia powinna była popłynąć medialnym nurtem.

Ten wywiad w „Polityce" stał się tak mocnym punktem odniesienia, że każda publikacja na temat płyty, która się później ukazała, jakoś do niego nawiązywała. Skoro nie dało się źle mówić o płycie, to dowalało się mnie i temu wywiadowi. Taki trend. Dlaczego ona nie zajmie się tylko robieniem muzy, po co ona się w ogóle wypowiada? Niech ona się lepiej zajmie robieniem sztuki, a nie taką kontrowersją. I to było dla mnie bezczelne i żałosne – tłumaczenie mnie, dopieprzanie mi, ale też pokazywanie mi, gdzie jest moje miejsce, o czym wolno mówić artyście, w tym wypadku kobiecie. Myślę, że ludzie pozwolili sobie na zbyt wiele, bo nikt nie ma prawa dyktować mi, co mogę mówić.

Nie miałaś ochoty stanąć we własnej obronie? Przygotować jakąś medialną ripostę?

Nie. Chciałam opowiedzieć swoją historię, bo bez niej nie byłoby tej płyty, i zrobiłam to. Nic więcej nie miałam do dodania. Zresztą część gazet się na mnie za to obraziła. Bo nie chciałam być kawałkiem mięsa, który nagle zostaje zajebany, a potem ma się tłumaczyć łaskawemu sędziemu, z czego pewnie wyniknie kolejna obraza. Gazety do mnie dzwoniły, chcąc ugrać na tym szumie temat dla siebie. Jedna z nich napisała, że Maria Peszek miała szansę stać się twarzą 4 mln ludzi w Polsce chorych na depresję, ale przestraszyła się i odmówiła. Inna napisała historię jakiegoś chłopca chorego na depresję, któremu matka czyta wywiad ze mną. I nagle powstała moda, żeby dowalać Peszek.

Nie chciałaś być twarzą polskiej depresji?

Jestem artystką, nie aktywistką. Tworzę głównie dla siebie. To jest też dość niepopularne, co teraz mówię, ale myślę, że każdy artysta robi to tak naprawdę dla siebie. Nie chcę być twarzą 4 mln ludzi, polskiej depresji ani głosem czegokolwiek. „Jezus Maria Peszek" to manifest mojego osobistego światopoglądu. Celem artysty jest tworzyć dla siebie i uszczęśliwiać innych po drodze. Tak było w przypadku tej płyty, która spowodowała też drugą lawinę, pozytywną.

Mówisz o reakcjach fanów na koncertach?

Tak. To jest spełnienie mojego najskrytszego marzenia i chyba każdego artysty performera. Robisz coś bardzo ważnego dla siebie i kiedy wychodzisz na scenę, okazuje się, że jest to też ważne dla wielu innych osób, odbiór tego jest gorączkowy i ludzie w tym uczestniczą emocjonalnie. Często na koncertach ta płyta jest od pierwszego dźwięku śpiewana przez ludzi, czasem oni śpiewają głośniej niż ja. Taki utwór jak „Nie urodzę syna" bywa wykrzykiwany przez odbiorców. To jest bardziej rewolucja. Czasami czuję się na tych koncertach tak, jakbym była bardziej przywódcą rewolucyjnym niż panią, która śpiewa.

Jezus w tytule nikogo nie obszedł albo obszedł minimalnie. Najbardziej wściekło Polaków to, że opowiedziałam o swoim przeżyciu bez owijania w bawełnę, bez pięknych fraz, ale w brutalny sposób.

Czyli jednak jesteś głosem pokolenia?

Tak się stało, wprawdzie niezamierzenie, ale tego mi nikt nie zabierze. Mogę teraz z tego hamaka pokazać faka wszystkim hejterom.

Jak sprzedała się płyta?

Do końca grudnia kupiło ją ponad 40 tys. osób. Jest trzecią najlepiej sprzedającą się płytą w Polsce w roku 2012, a ukazała się dopiero w październiku. To znaczy, że to wszystko miało sens.

Dziwi mnie, że taka śmiała, silna kobieta, śpiewająca o seksie i rezygnacji z macierzyństwa nie uważa się za feministkę. Kim dla ciebie jest feministka?

Feministka zajmuje się walką o prawa kobiet, a ja zajmuję się walką o własne prawo do bycia wolną osobą. I to jest bardzo bolesna walka. Marzę o tym, żeby ludzie pozwolili mi być osobą niezawisłą.

Nie pozwalają? Skoro kupują płyty i bilety, to chyba cię jednak wspierają?

Po pierwszej płycie bardzo wielu ludzi mnie kochało, ale kiedy schudłam te 16 kg i z bardzo przytulnej, okrągłej, miłej kobietki zmieniłam się w kogoś innego, to część ludzi mnie znienawidziła. „Zostań tamtą! Jesteś teraz taką suką chudą i jeszcze biegasz z tymi cyckami, nie! Nie wolno ci tego robić!". Potem jeszcze „Maria Awaria" i sprawa seksualności. „Jakim prawem? Woleliśmy tamtą! Za dużo tych gier słownych!". Więc nagle śpiewam najprościej, jak się da, już nie epatuję tym, że jestem zgrabna. Chodzę w płaskich butach. Teraz staram się, by mój wizerunek jak najmniej odciągał od treści, żeby seks nie był na pierwszym planie. I co słyszę? Że jestem brzydka. „Co ona ze sobą zrobiła? Wygląda fatalnie. Dlaczego się ciągle zmienia, jakim prawem?".

Jest jakaś granica, której byś nie przekroczyła? Jakieś tabu, które mogłoby cię zatrzymać, zawstydzić?

Nie ma takiej rzeczy, o której nie można we właściwy sposób powiedzieć, jeśli poczuje się taką potrzebę.

Czyli artystom wolno mówić na każdy temat?

Człowiekowi. Ja nie uważam, żeby były jakieś tematy zakazane i żeby artyści byli jakoś szczególnie predestynowani, żeby im było więcej wolno. Po prostu człowiek ma prawo mówić o wszystkim, co jest dla niego ważne.

To chyba nasi politycy nie są wolni.

Na pewno nie. Polityka, wydaje mi się, wyklucza wolność.

Joanna Kluzik-Rostkowska wysunęła taką tezę, że politycy nie potrafią mówić o sprawach seksu i stąd ta cała afera dookoła związków partnerskich. Zgadzasz się z tym?

Wstydzę się, że w Polsce mamy ten problem. To jest taki, jakby to młodzież powiedziała, obciach. Wydaje mi się, że Polska była przez tyle lat pod tak silnym wpływem Kościoła i wiary katolickiej, że uwierzyliśmy, iż tradycyjne związki są jedynymi słusznymi. Chociaż mój związek partnerski, czyli konkubinat, jest na moje oko zupełnie pominięty w tej rozmowie, więc chyba nie o mój seks tu chodzi. Moim zdaniem rzecz dotyczy prokreacji. To w naszym społeczeństwie jest bardzo ważna kwestia, a związki par homoseksualnych z założenia wykluczają prokreację. Najczęściej to są związki, które nie mają dzieci, choć nie zawsze. Ich podstawowym zadaniem powinno być przekazanie życia. Wszystkie inne kombinacje – pary bez dzieci czy pary homoseksualne – są

niezgodne z tym jedynym słusznym, namaszczonym moralnie modelem.

W Polsce inność jest problemem, twoim zdaniem?
Tak. Bycie obok głównego nurtu to coś, czego nie lubimy w Polsce. Ja jestem tego najlepszym przykładem i doskonale zrozumiałam, że wszystko to, co jest inne, wzbudza lęk i agresję. Ale to, że ja, akurat ja, sprzedałam jednak tyle płyt i że ludzie chodzą na moje koncerty, chyba też świadczy o tym, jak bardzo inność jest nam teraz potrzebna.

Ale proces oswajania inności wymaga kolejnej rzeczy, której ludzie się boją – zmiany.
Zmiana zawsze budzi w ludziach niepokój, ale ja jestem piewcą zmian. Co prawda sama nieraz się boję, ale wiem, że wszystko dobre, co się wydarzyło w moim życiu, wynikało ze zmiany. Katastrofa jest w ogóle fantastycznym czynnikiem w życiu człowieka – uważam, że prowadzi do rzeczy wielkich i stoi za wszystkimi ważnym odkryciami ludzkości.

Coraz częściej słyszę o tym, że najbardziej rozwija wyjście poza granice własnego komfortu. Jak to działa?
Wymusza przemianę. Gdyby nie wydarzyła się ta katastrofa w moim życiu, to nigdy bym nie poczuła, co to znaczy być szczęśliwym człowiekiem. Być może trwałabym w dawnej sobie. Kiedyś wydawało mi się, że jestem szczęśliwa. Myślałam, że cechą charakterystyczną człowieka jest ciągły ból, strach, wieczne napięcie, wątpienie, niepogodzenie. Dopiero jak to wszystko pierdolnęło i przebrnęłam przez całe to doświadczenie, dowiedziałam się, jak to jest budzić się rano i nie czuć się nieszczęśliwą, nie czuć bólu fizycznego ani lęku.

To się chyba nazywa „nie ma tego złego", ale łatwiej tak mówić, kiedy ma się katastrofę za sobą, niż zdecydować się na nią świadomie.
Mogę teraz powiedzieć, że uwielbiam katastrofy i jestem gotowa na kolejne. Nawet reakcja na moją płytę, od czego

Ludzie przykładają do mnie własną cyniczną miarę i mówią, że to była historia promocyjna. Gdyby działa się w Tworkach czy w jakimś szpitalu w Grudziądzu, to mogłabym być kochaną bohaterką.

zaczęłyśmy rozmowę, była kolejną katastrofą. Część ludzi mnie nie zrozumiała, co bolało, ale pojawiła się we mnie ciekawość, co się czai za taką katastrofą. Cholera, zobaczymy, co teraz się wydarzy – może zmienię zawód, który mnie tak dużo kosztuje, może wyjadę albo założę wreszcie knajpę. Katarktyczna moc katastrofy jest w ogóle niedoceniana.

Maria Peszek w najbliższym czasie wystąpi:
24.02
Kraków – Studio
07.03
Olsztyn – Grawitacja
08.03
Konin – Oskard
09.03
Warszawa – Och-Teatr
15.03
Białystok – OiFP
16.03
Ełk – Ełckie Centrum Kultury
22.03
Elbląg – Światowid
24.03
Gdańsk – Parlament
05.04
Gliwice – Rock'a Music Club
07.04
Lublin – Filharmonia Lubelska
03.05
Wrocław – Wyspa Słodowa

Nadążasz za zmianami technologicznymi?
Na pewno nie nadążam tak jak młodzi, to znaczy – muszę robić detoksy technologiczne. Mam profil na Facebooku, który prowadzi moja fanka. Często tam zaglądam, interesuje mnie, co ludzie piszą, oczywiście, że tak. Ale przede wszystkim skupiam się na muzyce. Dużo muzyki słucham i kupuję przez Internet. Kupuję, żeby była jasność. Do mojej audycji w radiu Roxy potrzebuję masę nowej muzyki. W tym szukaniu i kupowaniu bardzo pomaga mi Edek.

Jesteś przeciwna piractwu muzycznemu?
Jestem przeciwna, ale ściąganie muzyki jest faktem, z którym trzeba się liczyć, chociaż bardzo chciałabym, żeby ludzie zrozumieli, że to jest złe i że sami sobie robią kuku na dłuższą metę. Nie wydaje mi się sensowne siłowe regulowanie tego i to jest sprzeczność, która jest we mnie, ponieważ strasznie przejmuje mnie to, że jest takie duże przyzwolenie na ściąganie muzyki za darmo. Mój znajomy wydawca twierdzi, że jeśli sprzedałam te 40 tys. płyt, to znaczy, że około czterech razy tyle osób wzięło ją sobie z sieci. I to by się zgadzało. Kiedyś złota płyta była za 100 tys. sprzedanych egzemplarzy, teraz jest za 15 tys., bo należy liczyć się z tym, że 85 tys. ją sobie po prostu wzięło. Mój problem polega na tym, że gdyby wszyscy, którzy mają płytę, zapłacili za nią uczciwie, to ja miałabym więcej czasu i środków, by następną nagrać jeszcze lepszej jakości.

Czyli artystom żyje się gorzej, odkąd pojawił się Internet?
W pewnym sensie wszystkim fanom muzyki gorzej się żyje. Gdy bierzemy coś za darmo, uszczupla się budżet twórcy na kolejny projekt. Artyści zaczynają kombinować, oszczędzać, przyspieszać. Jeśli bierzesz za darmo, to przyczyniasz się do tego, że kolejne dzieło tego twórcy będzie dla niego czy dla niej jakościowo większym wyzwaniem niż poprzednie. I może siłą rzeczy być gorsze. A przecież wszyscy chcemy coraz lepszych płyt!

W teorii ceny biletów na koncerty powinny być wyższe, by różnica w zyskach twórcy się wyrównała.
W teorii tak. Ale kryzys dotyka każdej branży. Koncerty gramy dziś za 1/3 mniej niż cztery lata temu. Tymczasem ceny rosną. Absolutnie nie narzekam. Mam to szczęście, że gram wiele koncertów i uwielbiam to robić. Ale lubię też grać w mniejszych klubach i w małych miastach. Tam bilet nie może kosztować majątku. Utrzymuję się z tego, co kocham, co jest w ogóle rzadkością, i nie czuję goryczy w związku z tym, że ludzie biorą moją muzykę za darmo z sieci. Ale chciałabym zwrócić uwagę na brak świadomości naszego społeczeństwa na aspekty wspólnotowe. Jesteśmy cały czas skupieni na „ja", „moje", „mieć". Bierzemy, bo lubimy i jest pod nosem. Nie myślimy o tym, jaki łańcuszek wydarzeń takie ściąganie za darmo za sobą pociąga.

Jakie jeszcze kłody współczesny świat rzuca pod nogi artystom?
Żałoby narodowe. To jest temat, na który mam radykalne zdanie i który mnie wpierdala. Czy zdajesz sobie sprawę, że kiedy była żałoba narodowa, ta słynna, smoleńska, to cały fantastyczny, światowy festiwal Warszawskie Spotkania Teatralne musiał zostać odwołany? To jest okropne nieposzanowanie ludzkiej pracy. To jest w ogóle kwestia do Trybunału Praw Człowieka, bo jakim prawem państwo zabiera mi moje podstawowe prawo – prawo do pracy? Dlaczego? I to jeszcze nierównomiernie, bo niektóre grupy mają je zabrane, a inne nie. Kina działają. Radio gra hity, telewizja puszcza filmy. Tylko wykonawcy, performerzy mają zabierane środki do życia z poszanowania dla zmarłych! Osoba bardzo mi bliska, Maria Seweryn, przez żałobę musiała się zadłużyć, bo jej teatry stanęły na granicy bankructwa. Mnie też to dotknęło, gdy ogłoszono żałobę po śmierci Jana Pawła II i odwołano mi pięć koncertów. Ludzie sobie nie zdają sprawy, jaki to jest wysiłek przygotować trasę, ile osób bierze w tym udział i że najczęściej to jest nie do odtworzenia.

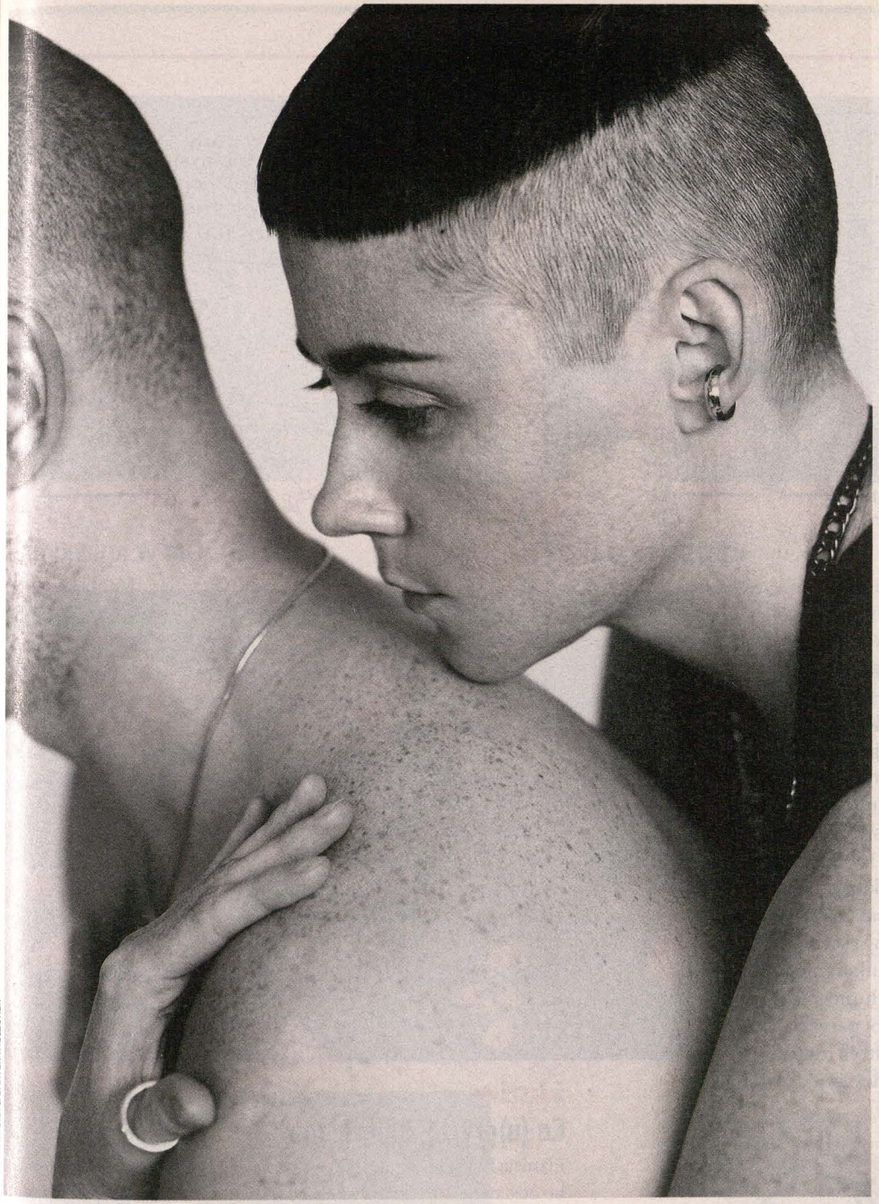

ZUZA KRAJEWSKA & BARTEK WIECZOREK

To organizatorzy odwołują występy, bo one formalnie nie są zakazane. Ale to jest kolejny przykład lęku. Chyba boją się nieodpowiedniego zachowania artystów. Przecież wiadomo, że jesteście wszyscy szurnięci.
To jest ten nasz cholerny brak wiary w ludzi. I jak my mamy być tym społeczeństwem obywatelskim, zaangażowanym, jak ci mówią, co masz robić? To wynika z tego, że przez tyle lat Kościół katolicki pełnił bardzo ważną funkcję w Polsce – zdejmował z człowieka obowiązek podejmowania decyzji. Miałeś powiedziane, co jest dobre, co jest złe, tak rób, a tak nie. Moim zdaniem pokłosiem tego jest brak wiary, że ludzie sami potrafią wybierać właściwie. A ja uważam, że potrafią to robić doskonale. My w ubiegłym roku zagraliśmy koncert, mimo że była żałoba w marcu. Zagrałam w Warszawie i ten występ był świetny, publiczność była fantastyczna.

Zmieniłaś coś w tym koncercie?
Tak, oczywiście, przecież nie będę grać Misia Uszatka w wersji punkrockowej, jak ludzie w pociągach się roztrzaskali. Dogadaliśmy się z klubem, mieliśmy czarno-srebrne światła i odpowiednio odnieśliśmy się do sytuacji. Ludzie też się fantastycznie zachowali, nie rzucali stanikami jak zazwyczaj. Był to inny koncert, ale był bardzo fajny.

Wierzysz, że nie tylko artystom, ale i obywatelom można zaufać?
Marzę, żeby Polska była społeczeństwem obywatelskim, i wierzę, że to jest możliwe. Za każdym razem, kiedy robię płytę, mam do czynienia z niesamowitymi, zaangażowanymi, utalentowanymi Polakami. Wiem, że gdyby mieli możliwości dokonywania wyborów, to podołaliby temu. Nakazy odgórne tego nie załatwią.

Kiedy patrzysz na swoich młodych fanów, widzisz w nich potencjał? Sądzisz, że zbudują lepszy kraj niż my i pokolenie dzisiejszych władz?
Mam taką ostrożną nadzieję, ale też sporo obaw w związku z tym. Dla mnie najprostszą definicją społeczeństwa obywatelskiego jest właściwie rozumiana niezależność: wszystko zależy od ciebie. Ty podejmujesz decyzję i bierzesz za nią odpowiedzialność. Z doświadczenia wiem, że taka wolność uskrzydla, daje przyjemność i satysfakcję. Więc skoro młodzi są hedonistami – jak wszyscy mówią wkoło – i tak lubią przyjemność, to może odnajdą w tym swoje „ja". Dla mnie to jest definicja wolności, ale to jest też chyba szczęście, prawda?

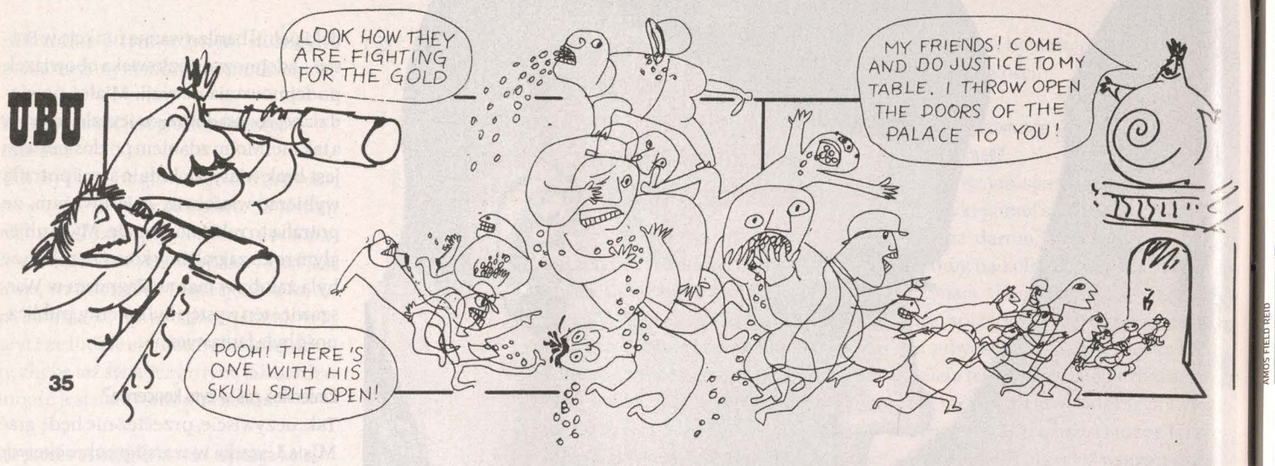

ŁÓDŹ

Król Ubu powraca

„Gramatycznie – wydaje mi się, że w ogóle nie jestem rzeczownikiem. Jestem czasownikiem" – napisał o sobie Stefan Themerson, mąż Franciszki. Oboje byli wyznawcami działania w sztuce. Ich twórczość objawiała się w poszukiwaniu nowych form, należeli do grona najbardziej wszechstronnych przedstawicieli awangardy. Byli pionierami sztuki multimedialnej w Polsce. A swoim eksperymentalnym filmem, nakręconym w latach 30., wyprzedzili innych twórców sztuki nowych mediów o kilkadziesiąt lat. On zajmował się filmem, fotografią, pisał, ona – malowała, ilustrowała, projektowała kostiumy i scenografie. Ponad 20 lat rysowała grubą kreską, cienkim piórkiem lub długopisem Ubu – odrażającego, głupiego i złego władcę. Stworzył go Alfred Jarry, członek paryskiej bohemy, prekursor teatru absurdu, ekscentryk i zapalony cyklista. Główny bohater surrealistycznej sztuki „Ubu Król, czyli Polacy" zagościł w komiksie Franciszki Themerson już w latach 50. Powstało 90 prac o szerokości metra. Komiks w wersji angielskiej wydany został w 1970 r. (artystka po wojnie zamieszkała w Anglii).
Od 22 lutego będzie można kupić jego pierwszą polską wersję w Muzeum Sztuki w Łodzi. Wydawnictwo towarzyszy wystawie „Themersonowie i awangarda", którą w ms2 będzie można oglądać do 5 maja. → eb

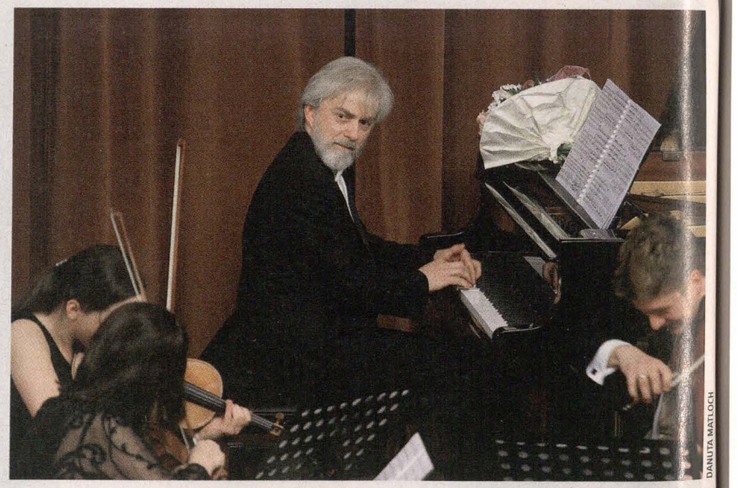
DANUTA MATLOCH

WARSZAWA

Co (u)gryzie Zimermana

Pianista Krystian Zimerman wreszcie zagra w Warszawie. Wreszcie, bo od dawna odmawia występów w kraju, twierdząc, że przysparzają mu one za dużo kłopotów. Po ostatniej trasie koncertowej, którą odbył w 2009 r. z utworami Grażyny Bacewicz (w stulecie jej urodzin) granymi z młodymi polskimi muzykami, pozostał dług 25 tys. euro, który uregulował z własnej kieszeni. Przykre wspomnienia postanowił jednak odrzucić, by oddać hołd Witoldowi Lutosławskiemu, którego przyjaźnią się szczycił. Włączył się w światowe obchody Roku Lutosławskiego i zaplanował zagranie jego koncertu fortepianowego m.in. w Paryżu, Londynie i Berlinie. Po owacyjnym przyjęciu go przez publiczność tych miast do swojej trasy zdecydował się dopisać Warszawę. Wprawdzie zdarza mu się odwoływać występy w ostatniej chwili, ale dyrygent Jacek Kaspszyk jest dobrej myśli: – Długo rozmawialiśmy – mówi – i wierzę, że 22 września staniemy na estradzie Filharmonii Narodowej wraz z jej orkiestrą. Trzeba będzie tylko otoczyć specjalną opieką fortepian, z którym Krystian Zimerman podróżuje. → Jacek Marczyński

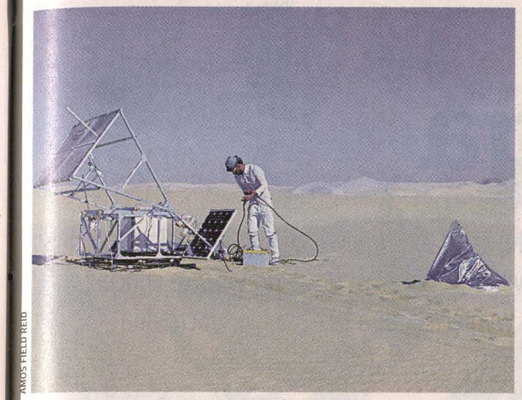
AMOS FIELD FIELD

KRAKÓW

Eko design w MOCAK-u

Krakowskie Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK zebrało prace kilkudziesięciu polskich i brytyjskich designerów – wszystko po to, by pokazać, jak troszczą się oni o przyszłość naszej planety, i jednocześnie otworzyć widzów na nowe, ekologiczne rozwiązania. Dla artystów lekkoduchów, skupiających się tylko na tym, co tu i teraz, na tej wystawie zabrakło miejsca. Muzealną przestrzeń wypełniły prace projektantów, którzy reprezentują tzw. design zrównoważony, mający zapewnić rozwój bez zniszczeń, między innymi dzięki stosowaniu materiałów odnawialnych. Paolo Bombelli, Alex Driver i Carlos Peralta pokazali estetyczny „Stół z mchu". Julia Lohmann w „Laminarium" opracowała metodę zastosowania wodorostów zamiast plastiku i zagrożonych gatunków drzew. Wystawę „Wszystko, na zawsze – dziś. Polski i brytyjski design w XXI wieku" można oglądać od 15 lutego do 28 kwietnia. → eb

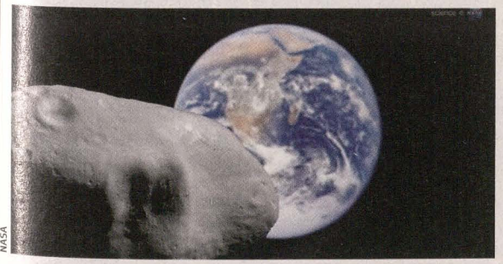
NASA

KOSMOS

Nadciąga DA14

30 tys. kilometrów – w takiej odległości od Ziemi 15 lutego przeleci asteroida o wdzięcznej nazwie 2012 DA14. Na wyobraźnię działa fakt, że będzie ona bliżej niż niejedna satelita komunikacyjna krążąca wokół naszej planety. Dla amatorów sensacji mamy jednak złe wieści – w 10-stopniowej skali ryzyka asteroida dostaje 0. Chociaż było blisko, końca świata znowu nie będzie. → bzcz

BARTOSZ SIEDLIK

WOŁOWIEC

Czarne warsztaty

Do 17 lutego można zapisywać się na nietypowe warsztaty literackie. Oprócz metod kreatywnego pisania uczestnicy poznają zasady funkcjonowania rynku wydawniczego. Będzie to praktyczny przewodnik po polskich nagrodach literackich, zasadach mądrej autopromocji, na pewno pojawią się też uwagi ze strony samych wydawców. To praktyczna wiedza, której nie otrzymamy na żadnym zwykłym kursie. Warsztaty organizuje Czarne – prywatne wydawnictwo, które od 17 lat umiejętnie porusza się w trudnym środowisku, jakim jest rynek literacki w Polsce. → bzcz

REKLAMA

PRZEKRÓJ patronuje

9 lutego 2013 roku odbył się
15. CHARYTATYWNY BAL DZIENNIKARZY
Serdecznie dziękujemy przybyłym gościom za tak liczny udział.
Dochód z Balu zostanie przekazany na wsparcie świetlic środowiskowych dla dzieci i młodzieży oraz świetlic terapeutycznych dla chorych i wymagających rehabilitacji dzieci.
Fundacja Charytatywny Bal Dziennikarzy
dziękuje:
PARTNEROWI: ORLEN
SPONSOROWI GŁÓWNEMU: PGE Polska Grupa Energetyczna
SPONSOROM: lekam, STOCK, Wirbelkolumna, Grupa Żywiec
PATRONOM MEDIALNYM: e!stilo, FILM, gazeta, Gazeta.pl, MALEMEN, metro, WP, na temat, Press, PRZEKRÓJ, SUKCES, TVP, tvn, tvn 24, uroda, Uważam Rze, VIVA!, wprost, Zet
SPECJALNE PODZIĘKOWANIA:
dla zespołu Perfect, który zrzekł się honorarium za występ na Balu na rzecz Fundacji Charytatywny Bal Dziennikarzy
oraz: Point of View Communications Consultancy

BARBARA ZABOROWSKA-CZAJKA

Tropikalna joga

Joga Bikram to sekwencja 26 pozycji (asan) i dwóch ćwiczeń oddechowych, wykonywanych w warunkach przypominających klimat tropikalny. Plus 40 stopni Celsjusza i duża wilgotność powietrza sprawia, że chociaż ciężej jest złapać oddech, ciało jest bardziej rozluźnione i podatne na wygięcia. Joga Bikram i jej pochodna Hot Joga biją w Ameryce i Japonii rekordy popularności.

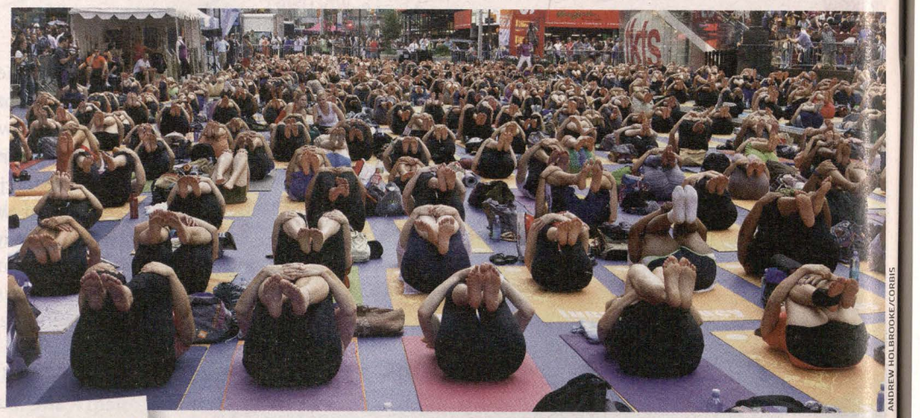

ANDREW HOLBROOKE/CORBIS

Słowem kluczem do zrozumienia fenomenu tej metody jest detoks – tysiące ludzi wierzy, że pocąc się podczas jogi, ich organizm wydala nagromadzone w ciele toksyny (przy okazji rzeźbiąc sylwetkę). Benjamin Lorr jest autorem książki „Hell-Bent: Obsession, Pain, and the Search for Something Like Transcendence in Competitive Yoga", w której opisuje swoje wieloletnie zmagania z jogą Bikram: od zachwytu nad transformacją swojego ciała po ciemną stronę wielogodzinnych ćwiczeń, głodówek i problemów z charyzmatycznym założycielem, który dla wielu jest rodzajem przywódcy duchowego. Udało nam się namówić **Benjamina Lorra** na rozmowę o fenomenie „gorącej jogi".

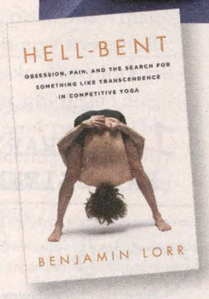

Joga Bikram jest w Polsce mało znana. Czym odróżnia się od klasycznych praktyk jogi?
Ten rodzaj jogi jest bardzo fizyczny, nie ma w niej żadnych odniesień do duchowości. Jest gorąco i ciężko, ale pozycje są łatwe i delikatne. Najlepsze w niej jest to, że mogą ją ćwiczyć osoby zupełnie nierozciągnięte, jest odpowiednia także dla ludzi z kontuzjami i o obfitych kształtach. Na każdej lekcji powtarzasz te same 26 pozycji i powoli, w swoim tempie, wchodzisz w nie głębiej. Ale – z powodu gorąca – nigdy nie jest łatwo.

Ośrodek Bikram Yoga NYC co roku organizuje zawody jogi, w ramach których ma się trzy minuty na pokazanie co najmniej sześciu różnych pozycji. Czy sportowa rywalizacja nie kłóci się z założeniami jogi?
Możesz pomyśleć, że nie ma nic bardziej amerykańskiego niż zawody w jodze, ale były one organizowane w Indiach na długo przed pojawieniem się ich w Nowym Jorku. Tak naprawdę nie są to zawody w jodze, ale w pozycjach asan, a asany są jej fizycznym aspektem. Najważniejsze jest to, że ludzie odwracają tu znaczenie rywalizacji do góry nogami: koncentrują się na swoich sukcesach zamiast na porażkach przeciwników.

W swojej książce opisujesz, jak restrykcyjne diety i posty stają się częścią stylu życia ćwiczących. Jakie potrzeby zaspokajają takie działania?
Oficjalnie poszczenie nie jest częścią praktyki – Bikram Choudhury ostentacyjnie pije coca-colę i jada w McDonaldzie – jednak wielu zaawansowanych uczniów praktykuje je na własną rękę. Myślę, że poszczenie w tym przypadku jest związane ze świadomością i zdrowiem. Łączy się to również z potrzebą kontroli – dieta jest jedną z niewielu rzeczy w życiu, którą da się kontrolować.

Opisujesz też przemianę, jaka zaszła w twoim postrzeganiu jogi. Poszedłeś na zajęcia jogi Bikram, bo szkoła mieściła się obok twojego domu, a ty chciałeś zrzucić parę kilogramów. Szybko jednak zacząłeś przekraczać granice stawiane przez własne ciało. Jakie są teraz twoje motywacje do ćwiczeń?
W tym momencie ćwiczę, ponieważ po prostu to kocham. Jest to dla mnie również sposób na utrzymanie dyscypliny. Jeśli ćwiczysz ze strachu, że będziesz gruby, i dlatego, że pragniesz mieć piękne mięśnie brzucha – nie zrobisz postępów. Ale jeśli ćwiczysz, bo autentycznie sprawia ci to przyjemność, wszystko będzie bardzo proste. W moim obecnym życiu wyznaczyłem dla jogi obszar pomiędzy kanapą a półką z książkami i jest to dokładnie to, o co mi chodziło.

SIEĆ

Muzeum Pomarańczowej Alternatywy

Przyzwyczajeni jesteśmy dzisiaj do tego, że po każdym, nawet najmniejszym wydarzeniu zostaje mnóstwo śladów: zdjęcia, materiały prasowe, komentarze w Internecie. Narodowy Instytut Audiowizualny postanowił zapełnić historyczną lukę po ruchu, który powstawał w czasach, kiedy przepływ informacji był zupełnie inny. Właśnie powstało wirtualne muzeum Pomarańczowej Alternatywy. To „pomarańczowi" przebierali się za krasnoludki, wykrzykiwali absurdalne hasła, rozdawali ludziom kwiaty na ulicach. Nawet robione przez nich na niewielką skalę akcje, takie jak spacerowanie z kolorowymi tubami w rękach czy publiczne jedzenie bułek, budziły sensację. Warto przypomnieć sobie o działaniach miłośników absurdu i wolności, bo ich „pomarańczowe przesłanie" jest aktualne do dziś. → bzcz

REKLAMA

PIOTR KOŚCIELNIAK

YouTube jak kablówka

Było za darmo, będzie płatnie. Choć to jeszcze nic pewnego, miliony użytkowników **YouTube'a w Polsce** zadrżały na wieść o tym, że popularny serwis przymierza się do wprowadzenia opłat za oglądanie niektórych kanałów. Czy przyłączymy się do tej rewolucji?

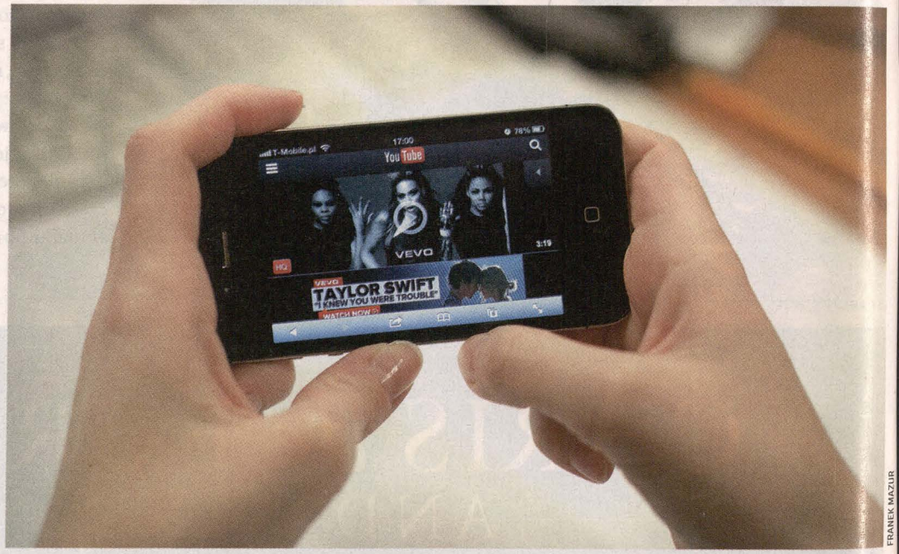

FRANEK MAZUR

Nowy pomysł Google'a (do niego należy popularny portal wideo) to skopiowana wprost strategia kablówek. Za najciekawsze produkcje widzowie będą musieli zapłacić. Ile? Od 1 do 5 dolarów za miesiąc. Co za to dostaniemy? Tego dokładne nie wiadomo, prawdopodobnie będzie to dostęp do materiałów na żywo (np. wydarzenia kulturalne live) i możliwość wcześniejszego obejrzenia niektórych klipów – później będą dostępne za darmo.

Informacje o planach YouTube'a jako pierwszy podał serwis Ad Age. Wiadomość powtórzył prestiżowy „Wall Street Journal", który potwierdził, że firma szuka sposobów na zarabianie (w nowym slangu biznesu nazywa się to monetyzacją treści). „YouTube skontaktował się z niewielką grupą producentów i poprosił ich o opracowanie strategii dla kanałów, za które użytkownicy mieliby płacić" – informuje Ad Age.

Według informacji Ad Age i „Wall Street Journal" płatnych kanałów będzie na początku ok. 25. To niedużo, biorąc pod uwagę zawrotną liczbę klipów wideo i kanałów dostępnych w serwisie. YouTube zamierza pobierać ok. 45 proc. wpływów z opłat – podaje „WSJ". To tyle, ile portal pobiera za reklamy. Z tego powodu YT był m.in. krytykowany przez muzyków, których teledyski można obejrzeć w sieci. Portal odmawia bowiem informacji o tym, w jaki sposób oblicza należność.

Autorzy, którzy zdecydują się na płatny model rozpowszechniania swoich filmów, będą mogli również dodawać do nich reklamy. O tym, jak system ma dokładnie działać, dowiemy się w kwietniu. Wprowadzenie nowego modelu płatności zapowiadane jest na drugi kwartał tego roku.

Największa część przychodów YouTube'a to aktualnie wpływy z reklam. W USA oferowana jest również możliwość wypożyczenia wideo. Dla portalu, który wyrósł na darmowych filmach udostępnianych przez zwykłych użytkowników, to jednak za mało. Tym bardziej że zmienia się zawartość serwisu.

Obecnie do najpopularniejszych filmów należą te, które oferują wielkie firmy. To m.in. teledyski gwiazd pop, zwiastuny filmów, fragmenty programów telewizyjnych. Część udostępniają koncerny, a część jest uploadowana do YouTube'a przez indywidualnych użytkowników bez poszanowania praw autorskich. Prawdopodobnie plan wprowadzenia odpłatności za treści sprawi, że te praktyki będą częściej blokowane.

Większość treści w portalu pozostanie jednak dostępna bezpłatnie. Co nie znaczy, że dla wszystkich. YouTube nadal będzie bowiem udostępniał dane w zależności od położenia geograficznego odbiorcy. To znaczy, że użytkownicy YouTube'a w Polsce nadal nie będą mieli dostępu do niektórych filmów. Z tego samego powodu wprowadzenie podobnych płatności w naszym kraju może się więc odwlec.

Program księgowo-kadrowy „Rzeczpospolitej"

Mała Księgowość

edycja 2013

Pobierz program
www.rp.pl/sklep
infolinia **801 15 15 15**

Skorzystaj z programu Mała Księgowość, który pozwoli Ci sprawnie prowadzić księgowość Twojej firmy.

- Darmowe aktualizacje przez cały rok
- Bezpłatne wsparcie techniczne
- Fakturę VAT za zakupiony program przesyłamy pocztą

Mała księgowość – 49 zł (brutto)	Mała księgowość – 99 zł (brutto)
• jedna firma – jedno stanowisko pracy	• jedna firma – wiele stanowisk pracy • biura rachunkowe prowadzące małe firmy

Pobudzamy myślenie RZECZPOSPOLITA

BYRON PURVIS/ADMEDIA/CAPITAL PICTEAST NEWS

KAROLINA SULEJ

Nowe obowiązki gwiazdy porno

Aktorki z filmów dla dorosłych **odzyskują kontrolę**. Sasha Grey otworzyła drogę dla gwiazd porno 2.0: świadomych, pewnych siebie, korzystających z nowych mediów, broniących swoich praw, zabierających głos nie tylko w sprawach branży, ale też kulturowej sytuacji kobiet i mężczyzn w ogóle.

Grey uwielbia kino Godarda i eseje Foucaulta, zagrała w mainstreamowym filmie fabularnym Stevena Soderbergha „The Girlfriend Experience", śpiewa w zespole grającym eksperymentalny gotyk, wydała album „Neü Sex" z backstage'owymi zdjęciami z planu, pozowała do portretu znanym fotografom, Richardowi Kernowi i Terry'emu Richardsonowi, a teraz pisze powieść „The Juliette Society", już nazywaną żeńskim „Fight Clubem".

Sasha stała się pierwszą absolutną „crossover star", czyli gwiazdą, której udało się przebić z pornografii do popkultury – albo raczej otworzyć między nimi granice. Grey deklaruje, że kobiety nie powinny bać się porno, ale powinny je kształtować tak, żeby same mogły dyktować warunki w biznesie. Co ciekawe, filmy z udziałem Sashy nie kojarzą się ze stereotypowymi kobiecymi upodobaniami, za które uważa się słabość do harlequinowej estetyki, romantyczną narrację, skoncentrowanie na grze wstępnej. „Twarda pornografia jest dla kobiet" – twierdzi Sasha.

Sasha Grey może się pochwalić nie tylko idealnym ciałem i zdolnościami aktorskimi, ale również ponadprzeciętnym IQ. Jest bystra, zaangażowana i ma zamiar zmienić oblicze pornobiznesu.

Nawet ta niestroniąca od scen sadystyczno-masochistycznych. Brzmi jak koszmarny sen feministki. Ale amerykańska naukowczyni Linda Williams w książce o historii pornografii „Hard core. Władza, przyjemność i szaleństwo widzialności" twierdzi, że BDSM może być przez kobiety traktowane jako narzędzie wyzwalające i wzmacniające. Sadomasochizm podkreśla teatralność seksu – akcentuje, że zarówno w łóżku, jak i w życiu wybieramy role. Kobieta, która sama wybiera role, może czuć się umocniona i pewna siebie, nawet jeśli zdecyduje się na rolę masochistki.

Sasha Grey udowodniła, że bycie gwiazdą porno to także rola, a nie ustalona tożsamość, i nie dała się zamknąć w rozpowszechnionym obrazie porno aktorki jako ofiary patriarchatu albo bezmyślnej lalki Barbie. Jej koleżanki z planu też już zdążyły się zorientować, że dziś ich popularność nie zależy wyłącznie od tego, jak wypadną w scenie erotycznej. Muszą zadbać o własną osobowość. Zachęcone sukcesem Sashy ruszyły na podbój rynku. Stają się modelkami, aktorkami, pisarkami, reżyserkami i didżejkami. Pomaga im w tym sam pornobiznes, który uległ przesytowi – już naprawdę niewiele więcej da się pokazać. Odbiorcy zaczynają szukać w pornografii innych podniet niż coraz to bardziej absurdalne wariacje na temat uprawiania seksu. Trzeba więc zacząć opowiadać historie. Do pornografii dorosło pokolenie, dla którego jej dostępność jest czymś oczywistym, a aktorki porno są towarzyszkami dnia codziennego – nie tylko bohaterkami mokrych fantazji przeżywanych pod kołdrą przy zgaszonym świetle. Fani porno chcą się więc dowiedzieć, co słychać u ich idolek na Facebooku, co tweetują. Ciekawi ich, co gotują, jakich słuchają piosenek, jakie są ich ulubione pozycje.

Za dużo cipki

Kilka lat temu, również w Polsce, można było obejrzeć dokument, w którym brały udział jedne z najbardziej rozpoznawalnych aktorek, pisarek i aktywistek feministycznego i prokobiecego porno. „Too Much Pussy. Feminist Sluts in The Queer X Show" (2010) pokazywał grupę podróżujących

po Europie siedmiu dziewczyn, które podczas grand tour prezentowały bezkompromisowy seksualny performance, prowadziły warsztaty, gadały o seksie i go uprawiały. Na co dzień w biznesie pornograficznym pracują dwie z nich – Judy Minx i Madison Young. Madison to założycielka i właścicielka galerii Femina Potens, w której przestrzeniach odbywają się performance'y na przecięciu sztuki i pornografii, skierowane szczególnie do społeczności LGBT oraz do odbiorców o upodobaniach sadomasochistycznych. Sama Madison najczęściej występuje w produkcjach porno właśnie o takim profilu, co nie przeszkadza jej regularnie pojawiać się w feministycznych periodykach erotycznych, a także na okładce magazynu dla pracujących w przemyśle erotycznym „Spread", którego misją jest społeczne odczarowanie zawodu uważanego za wstydliwy i wspieranie pracowników branży. Madison napisała również pamiętnik „The Tale of a Bondage Model" (Opowieść modelki bondage), w którym opisuje, jak wygląda praca aktorki porno nurtu BDSM.

Judy Minx jest zaś nie tylko aktorką porno, lecz także jego teoretyczką. Równie często występuje w produkcjach porno, co się o nich wypowiada. W filmie mówi: „Nie uważam, że jedyne dobre dla feministek porno to porno bez porno. Kiedy oglądasz porno, nie chcesz się zastanawiać, jaki ma wydźwięk polityczny, estetyczny, społeczny. Chcesz się przy nim masturbować. Jeśli to niemożliwe, cała reszta nie ma sensu, bo nie oglądasz porno". Od nakręcenia filmu minęły trzy lata i Judy nie jest już bezkrytyczna wobec pornografii. Przyznaje, że zdarzały jej się degradujące sytuacje i złe dni w pracy, że trafiała na seksistów i chamów. Teraz nazywa swoją pozycję wobec branży zniuansowaną i podkreśla: „To nie o zlikwidowanie pornobiznesu powinno się walczyć, ale o to, aby praca w nim przestała być traktowana jako wstyd i przestępstwo. Jesteśmy niewinne. Robotnik partycypuje w kapitalistycznym społeczeństwie, ale jednocześnie może walczyć przeciwko kapitalizmowi".

Seksowne nerdy

29-letnia Bobbi Starr jest, jak sama o sobie mówi, nerdem. To wegetarianka, eksnauczycielka muzyki, profesjonalna oboistka, była pływaczka kadry narodowej oraz wielbicielka filozofii i literatury – szczególnie SF. Wygląda jak dziewczyna z sąsiedztwa – proste brązowe włosy, uśmiech Julii Roberts i nastoletni wdzięk. Żyje w monogamicznym związku – oczywiście poza pracą. Żadnej przesady w makijażu, zero silikonu. Na Twitterze pisze o „Gwiezdnych wojnach", gotowaniu bez glutenu, wystroju mieszkania, ostatnio przeczytanej książce. Określa się jako feministka pro-sex. Nie czuje się zdegradowana przez pornografię, to ona przecież podejmuje decyzje – tak lub nie. Lubi swoją pracę. I lubi z niej żartować. Mówi, że kiedy skończy występować, chce iść na medycynę, żeby zostać ginekologiem, bo jej zdaniem na planach filmów pornograficznych jest za mało kobiet w tym zawodzie.

Biznes porno ją zainteresował, ponieważ chciała sprawdzić, jak to jest realizować fantazje i jeszcze na tym zarabiać. Uważa, że największym minusem tej pracy jest to, że ktoś nieustannie cię ocenia – „Feministka antypornograficzna widzi we mnie ofiarę, niektórzy fani chcą mnie uratować, a jeszcze inni widzą we mnie sukę, która symbolizuje wszystko co złe w dzisiejszym społeczeństwie. Gubi się to, kim jestem jako osoba. Nie chcą myśleć, że sama się zdecydowałam na tę karierę. Nie chcą myśleć, że lata 50. dawno się skończyły, a ja mogę być szczęśliwa".

Bobbi także reżyseruje. Dla wytwórni Evil Angel, jednej z największych, najlepiej zarabiających i najbardziej prestiżowych w Stanach, stworzyła 11 filmów (podczas sześcioletniej kariery aktorskiej wystąpiła w niemal 400 pornosach). Nie bierze się za miłe, romantyczne obrazy, tylko, jak sama mówi, prawdziwy hard core. Twierdzi, że nieprawdą jest, jakoby kobiety lubiły tylko miękką erotykę – spectrum kobiecej seksualności jest otwarte także na cięższy kaliber historii, tylko opowiedziany w odpowiedni sposób.

LENA/WIKIPEDIA

Judy Minx jest aktorką porno, ale również jego teoretyczką. Chce, żeby praca w jej biznesie nie była traktowana jako wstyd i przestępstwo.

Jako nerd określa się także Kayden Kross o urodzie kalifornijskiego kociaka. Często tweetuje o swoich ulubionych pisarzach, jak David Foster Wallace czy Don DeLillo. Między zdjęciami do filmów podróżuje do Nowego Jorku, gdzie uczy się kreatywnego pisania pod okiem legendarnego redaktora Gordona Lisha. Pracuje nad powieścią osadzoną w pornoświatku, a swoje eseje z zajęć umieszcza na stronie, o czym również informuje na Twitterze. Jeśli nie czyta albo nie pisze, czas spędza na jeżdżeniu konno. Jej fani wstrzymali oddech, kiedy jej ulubiona klacz Regina rodziła źrebaczka.

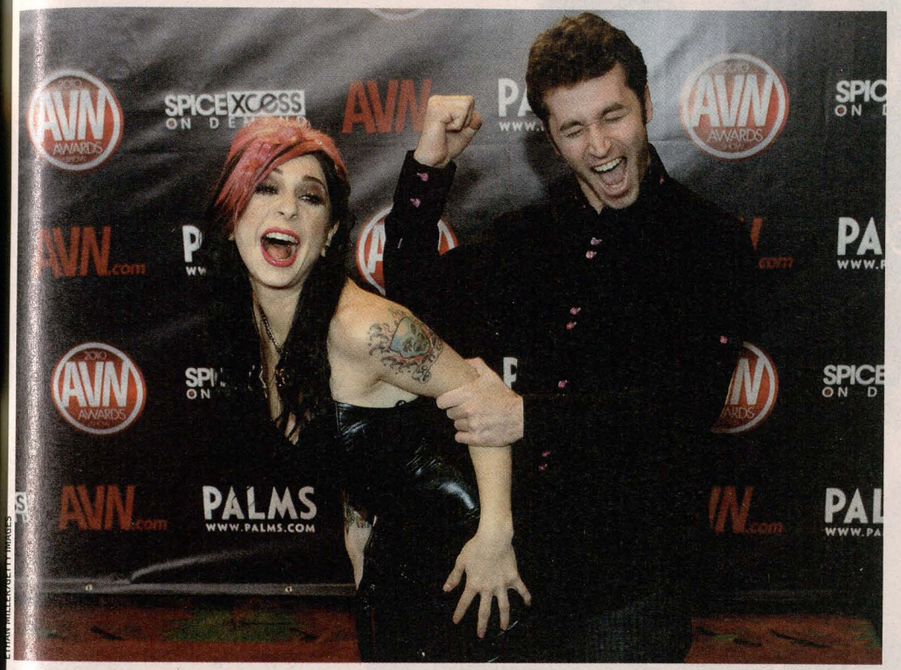

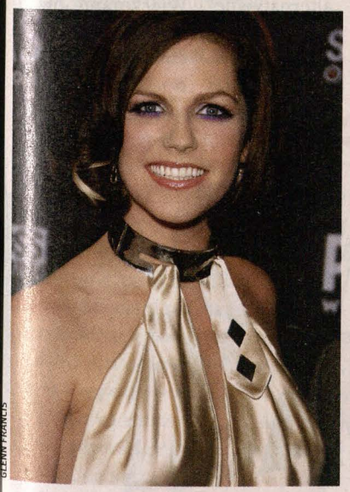

GLENN FRANCIS

AMANDA EDWARDS/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

Od góry: James Deen (zagrał w ponad 1300 filmach porno) i Joanna Angel (114). Bobbi Starr wystąpiła w niemal 400 produkcjach, Traci Lords w 107, a weteranka Annie Sprinkle w około 200.

Pornochłopak z twarzą

Co prawda nie wygląda jak legendarny aktor, ale ma uroczą, chłopięcą urodę, rozbrajający wdzięk Hugh Granta i seksapil rodem z Fabryki Warhola niż ze stron internetowych, gdzie wykonawca roli męskiej jest filmowany tak, że nie widać mu nawet głowy, a jedyną kwalifikacją jest rozmiar penisa. James, zgodnie z pseudonimem James Deen, zawsze był zbuntowanym chłopcem – rzucił szkołę, przez dwa lata był bezdomny, został punkiem, a jak go to znudziło, poszedł na studia. Od dzieciństwa chciał być aktorem porno. Nie zamierzał jednak dostosowywać się do obowiązującego wzorca. Nie jest typowym przystojniakiem. To raczej typ kumpla niż ogiera. Kobiety nie widzą w nim zagrożenia – to nie jest ten jurny stereotyp, którym wielu potencjalnych odbiorczyń się brzydzi. Ma wiele fanek wśród nastolatek, grupie zwykle najmniej zainteresowanej pornografią. Ich zdanie wpłynęło na obsadowe decyzje branży. James jest najgorętszym aktorem w branży. Ma 26 lat, a wystąpił już w ponad 1300 filmach. Nie bez znaczenia jest także fakt, że ostatnio także Hollywood pozwala sobie na fetyszyzowanie męskiego ciała – klata Ryana Gosslinga uzmysłowiła producentom filmowym, że muszą bardziej zainteresować się tym, co podnieca kobiety. Kobiety, które podniecają się na filmach z Ryanem, podobnego chłopaka chcą zobaczyć także w filmie porno. A właściwie w każdym filmie. Deen niedawno skończył pracę nad pierwszą mainstremową fabułą, thrillerem neonoir – „The Canyons", u boku Lindsay Lohan. Reżyseruje Paul Schrader, scenarzysta takich hitów jak „Wściekły Byk" czy „Ostatnie kuszenie Chrystusa". Scenariusz napisał Brett Easton Ellis, jeden z najbardziej uznanych amerykańskich pisarzy, od początku kariery blisko związany z Hollywood. Schrader miał powiedzieć: „Bohaterowie Bretta to piękni ludzie robiący brzydkie rzeczy w ładnych pokojach". Zwiastun sugeruje, że film będzie przypominał teledysk Lany Del Rey przerobiony na erotyczny horror klasy B.

Dziewczyny z sąsiedztwa

April, Dana i Jessie to przede wszystkim „twoje koleżanki". Wrzucają zdjęcia

Porno wkracza również do świata mody. Japońska marka Comme des Garcons zatrudniła Sashę Grey przy produkcji kontrowersyjnej kampanii reklamowej.

swoich kotów, psów, przyjaciółek, fotki z koncertów, dyskotek, zdjęcia jedzenia, mieszkania, śmiesznych napisów. Czasem jakąś rozbieraną fotografię. Można by pomyśleć: ładne, wyzwolone nastolatki z tendencjami do internetowego ekshibicjonizmu. April, Dana i Jessie są jednak również gwiazdami porno – jednak na swoich stronach podkreślają, że są przede wszystkim młodymi, beztroskimi dziewczynami. Dana zaczynała nie jako aktorka porno, ale jako TheInternetGirlfriend, internetowy awatar, który stworzyła, żeby czuć się bardziej pewna siebie, bo od dziecka cierpi na lęk przed kontaktami społecznymi. Leczyła go na MySpace i czatach internetowych. Jej profil na MySpace zgromadził ponad 300 tys. fanów. Teraz zdarza jej się nawet występować jako standupowiec w klubach Los Angeles. Została też reżyserką. Nakręciła dwa dokumenty, w których pomaga młodym ludziom, których spotyka w sieci, wkręcić się do biznesu. Mimo pełnej sukcesów kariery branży nadal prowadzi swoją stronę www.internetgirlfriend.com i podkreśla, że to jej strona oficjalna. Dana jako pierwsza zrozumiała, że przyszłość pornografii leży w tym, żeby przestać traktować fanów jak klientów czy płatników stron z treścią porno, a zacząć jak rówieśników czy znajomych.

Tak traktuje ich również April. Na jej blogu najpierw pojawia się informacja, że jest wielką fanką „Teenage Mutant Turtles" oraz „Doctora Who", a dopiero potem, że gra w filmach pornograficznych. Dalej pisze: „Zaczęłam od pracy z dziewczynami, rok później zaczęłam z mężczyznami. Kocham moje życie". Na blogu można zobaczyć, jak nago staje na rękach czy pozuje z przyjaciółkami na muzycznym festiwalu albo dostaje głupawki na imprezie.

Podobne podejście wybrała także Jessie Andrews, którą nazywa się kolejną, po Sashy Grey, księżniczką hipsterskiego porno. Jej ostatni film „Portret Call Girl" zaczynał się od cytatu z Jean-Paula Sartre'a. Na jej stronie można znaleźć cały zbiór fotek z Instagrama, sety, które nagrywa (jest także didżejką), są do odsłuchania na SoundCloudzie. Mamy tam również link do YouTube'a, Facebooka, Twittera i do podstrony z biżuterią, którą projektuje. W wywiadzie dla „VICE" mówi o swoim dniu: „Budzę się, tweetuję na dzień dobry, idę na plan albo nie, wrzucam jakieś zdjęcia na stronę, idę do Starbucksa, tweetuję, idę na zakupy, potem na hula-hoop, siedzę na Facebooku, pracuję nad muzyką, jem, coś jeszcze wrzucę na stronę, tweetuję na dobranoc i idę spać".

Emoporno od anioła

Stoya ma bladą cerę, naturalne piersi i twarz, której uroda kojarzy się z ładnymi, nastoletnimi dziewczynami wrzucającymi do sieci swoje zdjęcia robione telefonem z wyciągniętej ręki. Bywa nazywana „gotycką dziewczyną z sąsiedztwa". Tata Stoi pracował w IT i pewno dlatego jego córka od dzieciństwa pasjonowała się elektroniką i grami komputerowymi. Miała trzy lata, kiedy potrafiła używać DOS-u. Więc może nie przypadkiem stała się królową alternatywnego porno w Internecie. Alternatywnego, to znaczy sytuującego swoje modelki i aktorki w subkulturowym kontekście. W ciągu ostatnich lat w sieci pojawiło się wiele stron pornograficznych, które kładą nacisk na profilowanie estetyczne pod taki typ dziewczyn – Suicide Girls, Supercult czy Deviant Nation to jedne z najbardziej popularnych w gatunku soft-porno-emo-goth-pin-up. Popularność Stoi została doceniona też przez świat sztuki. Gwiazda wystąpiła w wideo wyreżyserowanym przez Stevena Kleina dla „Richardson Magazine", internetowego oraz papierowego magazynu słynnego i kontrowersyjnego fotografa Terry'ego Richardsona.

Pismo fotografa Terry'ego Richardsona pokazuje, jak pożenić porno z ambitną popkulturą.

Choć dziś wygląda jak punkowa Amy Winehouse, Joanna Angel była wychowywana na ortodoksyjną żydówkę. Studiowała i pracowała w koszernej nowojorskiej restauracji. Z dyplomem z literatury angielskiej i licencjatem z filmoznawstwa przeniosła się na brooklińskiego Williamsburg i przestała być grzeczną dziewczynką – pofarbowała włosy, zrobiła sobie tatuaże i założyła stronę BurningAngel, gdzie wraz ze współlokatorką gromadziły zdjęcia i filmy pornograficzne określane jako „alternatywne". Wieczorami pracowała jako striptizerka. Alternatywne dziewczyny na BurningAngel mają dredy, tatuaże, kolczyki, kolorowe włosy i emogrzywki. Jej strona naśladuje, a jednocześnie krytykuje Suicide Girls, które Joanna nazywała „McDonaldem alternatywnego porno". Angel uważa, że jej oddolna, antykorporacyjna działalność, w przeciwieństwie do Suicide Girls, które stały się maszyną do zarabiania pieniędzy na hipsterach, może prowadzić do prawdziwej zmiany w funkcjonowaniu pornobiznesu. „Na mojej stronie nie promujemy klasycznej pornodziewczyny – wszystkie nasze bohaterki mają swoje profile i blogi, ludzie, którzy nas odwiedzają, tworzą wspólnoty znajomych. Publikujemy wywiady z zespołami muzycznymi, informujemy o interesujących wydarzeniach. To raczej mała społeczność, która lubi tę samą subkulturę, ma podobne fetysze estetyczne, niż tylko miejsce dla tych, którzy chcą zobaczyć jakikolwiek filmik, żeby się masturbować".

Okładka to namaszczenie

Terry Richardson znany jest ze swojego zamiłowania do fotografowania nagości, i to raczej nie wyestetyzowanej. Rozbiera większość swoich modelek i fascynuje się światem branży porno oraz jej wizualnością. „Richardson Magazine" patrzy na porno z punktu widzenia sztuki, zgrywy, ideologii politycznej czy estetycznej fiksacji. Na okładce magazynu Richardsona pojawiła się, oprócz Stoi, Sasha Grey czy Jenna Jameson. Okładka u Terry'ego to swoiste namaszczenie na crossover star, na ikonę pop i pornokultury, na muzę artysty i obiekt westchnień osób, które nigdy w życiu nie umieściły się w targecie filmów porno.

Dla takiej grupy odbiorców powstał także magazyn „Jacques" – stylizowany na „Playboye" z lat 70. magazyn soft-pornograficzny, w którym rozbierały się zwykłe dziewczyny, a nie aktorki z branży, a każda sesja była próbą stworzenia współczesnego pin-upu, który nie zamykałby magazynu w pornoniszy, ale raczej sytuował go na półce lifestyle. Niestety, przedsięwzięcie skończyło się porażką – jedynym klientem, który kupował reklamy, był American Apparel. Do tego doszły problemy z dystrybucją w dużych sieciach księgarni takich jak Barnes & Noble. Pokłócili się także jego założyciele. Jonathan Leder i Danielle się rozwiedli, więc magazyn został zamknięty.

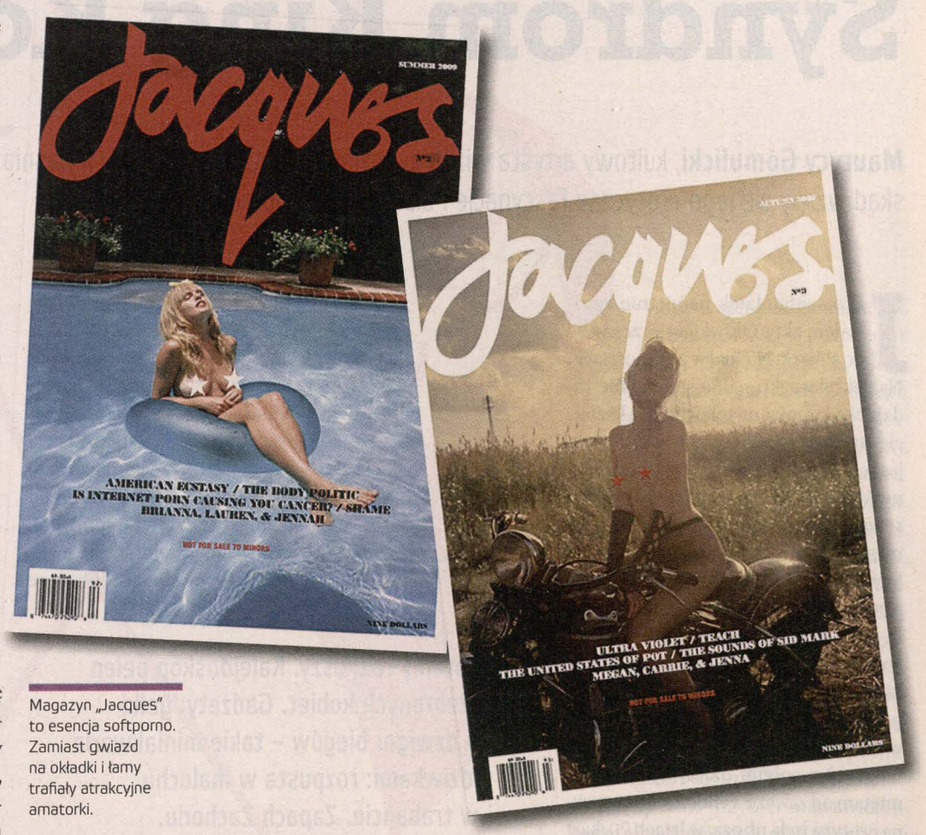

Magazyn „Jacques" to esencja softporno. Zamiast gwiazd na okładki i łamy trafiały atrakcyjne amatorki.

Pozostawił jednak po sobie otwartą furtkę dla kolejnego, nieoczywistego spojrzenia na pornografię. Im więcej takich spojrzeń, tym większa szansa na to, że rosnąca liczba nowych odbiorców pornografii będzie żądało od niej więcej – i to nie więcej do zobaczenia, ale więcej etyki, świadomości gatunkowej, podmiotowości kobiet i ich głosu w biznesie, dywersyfikacji estetycznej, walki ze stereotypami i kanonami napompowanego piękna, a także walki o lepsze warunki pracy, godne traktowanie i przeciwko stygmatyzacji. Zdaniem sex coacha Marty Niedźwieckiej, współprowadzącej Pussy Project, projekt edukacji i rozwoju seksualności dorosłych, taką wojowniczką jest właśnie Sasha Grey. – Jest jak Chuck Norris porno – to nie ona jest eksploatowana, to ona eksploatuje – podkreśla Niedźwiecka.

Eksploatuje, edukuje i zmienia oblicze tej branży. Dzięki niej nadmuchiwane lalki z sex-shopów zaczynają mówić. Okazuje się, że to, co mają do powiedzenia, często podnieca bardziej niż ich udział w silikonowym wyścigu zbrojeń.

MAURYCY GOMULICKI

Syndrom King Konga

Maurycy Gomulicki, kultowy artysta wizualny, miłośnik zmysłowej sztuki, wyjaśnia „Przekrojowi", skąd wzięły się jego erotyczne fascynacje i dlaczego lubi pornografię.

Jako sześciolatek namiętnie rysowałem akty. Ołówkiem w zeszycie do słówek. Niemal w ciemnościach. Na sekretarzyku paliła się jedynie radziecka lampka na telewizor w kształcie startującej rakiety. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że jest to artefakt falliczny. W ogóle niewiele wiedziałem. Rysowane przeze mnie księżniczki były niesłychanie pokraczne i miały haczykowate nosy. Stały pod prysznicem albo siedziały na sedesie – tak daleko sięgała moja dziecięca wyobraźnia. Potem wydzierałem kartki i składałem w tutki. Najpierw trzymałem je w pudełku po cygarach Prince Albert, a później w książeczce „Strzelba Zajączka".

Karty z gołymi dziewczynami pamiętam od zawsze. I choć komunistyczna erotyka była uboga, w latach 70. kart nie mogło zabraknąć. 52 obrazki. Jockery. Lepiej niż w „Playboyu". No a poza tym karty zapewniały większą intymność. Pod kołdrą można oglądać. Z latarką. Prawdziwy sekret. Wróciły do mnie zimą 1986 r. Wyjątkowo była paskudna: na Krakowskim lodowata breja. Pałac zimny, nie zimowy – czekałem w ASP na korekty. Do mojego profesora wpadła jedna z jego studentek. Konkretna sucz. Ładna nie była. Miała szare, drogie, wełniane palto, długie, proste, tlenione włosy, wyraźną przerwę między zębami, lekko opuchniętą twarz. Ociekała seksem. Opowiadała o tym, jak wracała samolotem z wielkiego świata: z Londynu czy innego Paryża, a koleś, który leciał obok niej, układał sobie pasjansa „duńskimi" kartami. Tematem było robienie lodów. Ja byłem raczej nieśmiały, ale rzecz była o stylu. I tak ją sobie zapamiętałem. Zmaterializowały mi się wtedy i do tej pory mam przed oczami mankiety ze złotymi spinkami, sygnet, wypielęgnowane dłonie leniwie, ale ostentacyjnie pieszczące lubieżne obrazki. Wówczas po raz pierwszy obudził się we mnie wirtualny alfons.

Fantomy rozkoszy. Kalejdoskop pełen rozebranych kobiet. Gadżety: gałki do dźwigni biegów – takie miniakwaria z dziwkami: rozpusta w maluchu i w trabancie. Zapach Zachodu.

Przez lata kolekcjonowałem erotyczne talie. Miłe, grzeczne: burleska, girlaski. Striptizerki z lat 50. Ciała nie z tego świata. Stożkowate cycki od Felliniego. Lubiłem. W pewnym momencie przestałem się dziwić. Później kupiłem jeszcze w Meksyku ogromne Royal Flushes, ale oddałem je koledze. Miał wypieki i błyszczały mu oczy – odkrywał vintage erotica, a ja uzupełniałem już tylko panoptikum.

Wbrew pozorom wśród takich kart trudno znaleźć talie naprawdę dla dorosłych. Z ruchańskiem, znaczy się. Kiedyś jeden taki pakiet zaraz po kupieniu wyrzuciłem do śmietnika – śmierdział meliną. Na zdjęciach ciała blade, twarze obojętnie nieszczęśliwe – nie mogłem tego znieść. Później długo nic. W końcu przyjaciel podarował mi dwie talie Private – nówki sztuki, późne lata 90., Pyramid i Hardcore. Wyciągnąłem je na przyjęciu i uczyłem mojego szwagra biologa grać w chuja. Miał, myślę, konkretną frajdę. Dodam, że szwagier profesor. Ale na uniwersytecie tego nie uczą.

W styczniu na Olimpii wpadła mi kolejna talia. Kupiłem ją od żulicy. Nie dała mi obejrzeć, ale jak zobaczyłem, że jest bez pudełka, przewiązana zieloną wysmotruchaną „jedwabną" wstążką z kokardą, z miejsca mi serce pękło. Jeden z kolesi na obrazkach ma klasyczne więzienne dziary. Ma też tatuaż na chuju. Skromny, ale zawsze nie byle co. Dziewczyny obrośnięte jak wilkołaki. Dają z siebie wszystko. Jednak coś jest w tym brudzie: „Innocent Until Proven Filthy".

Fantomy rozkoszy. Kalejdoskop pełen rozebranych kobiet. Gadżety: gałki do dźwigni biegów – takie miniakwaria z dziwkami: rozpusta w maluchu i w trabancie. Zapach Zachodu. Lubieżna woń. Plastik pachnący seksem. Breloczki, spinki do mankietów. Klisze ORWO – purpurowe ciała. Moja dziecinna buzia rozpłaszczona na szybie sklepu z pamiątkami w Krynicy Morskiej. Nos przyklejony do witryny. Chciałem mieć te wszystkie breloczki. Zapalniczki. Etui na zapałki. Plastikowe telewizorki. Trójwymiarowe pocztówki. Pożądałem ich. Seks w miniaturze. Chciałem go mieć. Cały ten seks. Żżerał mnie głód erotyki. Mało tego było. Niemal pustynia. Kupiłem breloczek, schowałem pod materacem – mama znalazła, uśmiechnęła się, oddała, powiedziała tylko, żebym dobrze pilnował.

Każdy tatuś inżynier miał świerszczyka albo chociaż jakiegoś „Playboya": na półce za książkami, gdzieś na dnie szafy, w tapczanie. Skrzętnie poukrywane. Ja nie miałem tatusia. Ani inżyniera, ani w ogóle. Więc przyszedłem do mamy. Mama miała klaser. W nim znaczki z Paragwaju. Trochę nagości. Rubens, Renoir. Za mało.

Z mamą sztama – mądra mama. Powiedziałem, że koledzy w podstawówce o „Playboyu" opowiadają i że ja też chcę. Mama zadzwoniła do wujka. Wujek miał wąsy, używane audi i zegarek dla płetwonurka, co to go zawsze do szklanki z wodą na moje życzenie wkładał, gdy nas odwiedzał. Wujek zabrał mnie

Silly Thing, grafika cyfrowa, Maurycy Gomulicki, 2008

Na górze: Josephine Moore (aka Anette Dybdal, Jacqueline Crowther, Maggie Lan), 1977
Obok: akt z wczesnych lat 70.

do lasu z psem biegać, brykać, a potem do siebie do domu. Do bloku. Betonowego. W fotelu posadził, światło rokokowe zapalił, dwa francuskie pisemka kolorowe do oglądania dał, a sam poszedł kawę sobie robić. Rumieńce mam do tej pory. „Oui" i „Lui" – oba dostałem, oba przepadły, ale tych ciał, tych powłóczystych spojrzeń nigdy nie zapomnę. Ona była zimną blondynką jak Marlena Dietrich. Miała sweter z czerwonej włóczki w duże oka. Z japońską parasolką pławiła się w zbożu. A ta druga patrzyła jak sarna, takim piwnym mokrym leśnym okiem. Sarna na koturnach – ta piękna, najpiękniejsza.

W telewizji Elżbieta Dmoch tańczyła w przezroczystej bluzce. A w kiosku straszyła „Karuzela". Boże, jakie to było ohydne. Satyryczne pismo dla robotników, dolna półka. Ale sutki tam były na niektórych rysunkach zaznaczane pod bluzkami. Więc jednak kusiło. Podobnie miałem z „Bajkami dla dorosłych" publikowanymi przez Janusza Christę w „Relaksie". Wtedy poznałem, czym jest dualizm. Obrzydzenie-pożądanie – na szczęście dziś już nie mam z tym problemu. W „Szpilkach" też momenty były. Minikomiks taki: Lucjan Leuwen – igraszki ze Stendhalem – bikolor czarno-czerwony. Pod czerwonymi muślinowymi sukienkami (corte princesa, tzn. wysoki stan) rysowały się czarne trójkąciki.

Na sąsiedniej stronie: obraz z serii Still Life (na górze) oraz „Carol Nude" Toma Wesselmanna (na dole)

Jestem anachronizmem! Wszystkim tym, co ocalało z rozerotyzowanej niewinności: Raymondem Peynetem, Mają Berezowską! „Na miłość boską, Montresorze! Na miłość boską". Po ojcu książka została. Pop-art. A tam Tom Wesselmann. Ona w wannie. Wyciera się. Bez twarzy, ale znowu ten bermudzki trójkąt magnetyzuje, że aż strach. Ciarki, dreszcze rozkoszne człowieka przechodzą. „Razem", „Film", „Ekran" – każdy akt był dobry. Venus polska i niepolska, nowa fala włoska – czarno-białe, kolorowe – byle sutek rozświetlił duszę. Rozjechane kolory. Nie ma sprawy.

Składzik makulatury był doskonałym terenem łowieckim. Polowało się tam na samochody i gołe baby. Gruby miął, zbijał w kule i wciskał pod sweter. Ja nie gniotłem, dmuchałem chuchałem, chociaż może też się trochę bałem – nauczycieli, bo mama i babcia raczej po słomianym łebku głaskały. Babcia nawet długopis z rozbierającą się dziewczyną mi podarowała. Babcia Halinka. Mam jej zdjęcia golutkiej pośród brzeziny. Z 1936 r. Dziadek Alfred jej zrobił. Miała wtedy 18 lat. To jest coś. Dziękuję, Życie. Dziadkowie. Rodzice.

Te zdjęcia z makulatury wklejało się potem do zeszytu. Klej roślinny był okrutny: zdjęcia przemiękały, tworzyły się zacieki. Sztywna, krusząca się skorupa. Nigdy nie doszedłem do perfekcji, ale po latach na bazarze trzy notatniki akademickie kupiłem takie, że mi w oczach pociemniało z miejsca. I to nie dlatego, że dziewczyny czy seks, ale ta pieczołowitość wykonania, ta skrzętność, tkliwość mnie rozwaliła – to po prostu fundamentalne. Jak ktoś chce zrozumieć facetów, powinien obejrzeć te „pamiętniki". To niekończące się marzenie. Fascynacja. I żeby nie

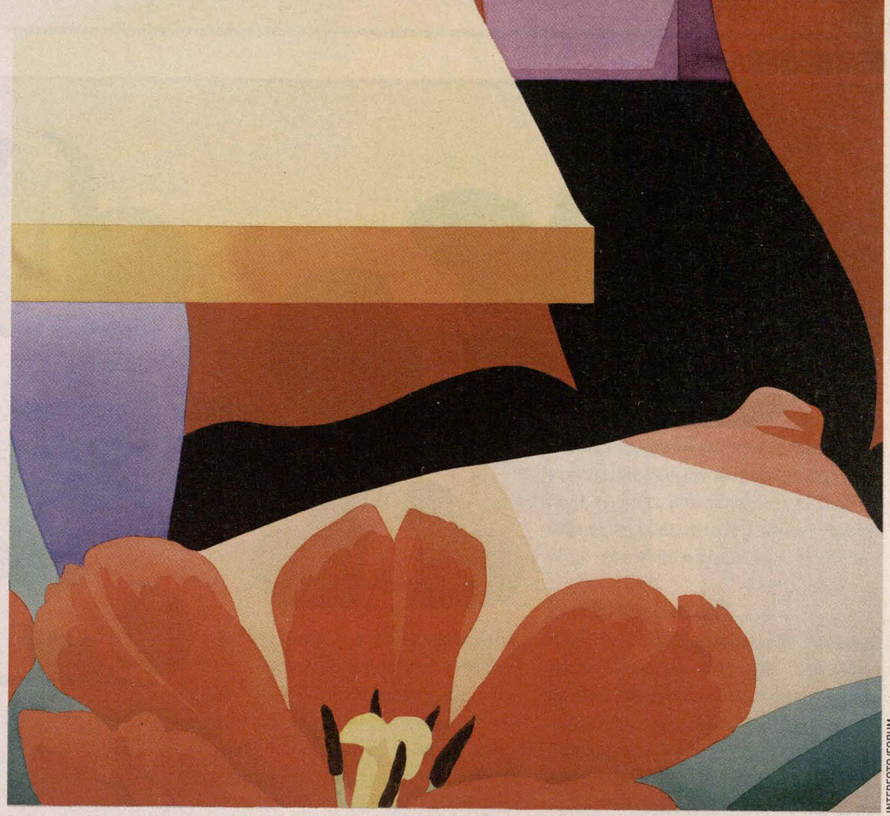

INTERFOTO/FORUM

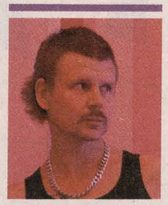

MAURYCY GOMULICKI
Urodził się w 1969 r. Artysta, grafik, edytor, kurator. W 2006 r. zorganizował w stołecznym CSW wystawę „Pink not dead!". W ramach projektu „MEXXXICO Erotica Shop" zaprojektował w Meksyku sieć różowych sex-shopów. Mieszka w Warszawie i w Meksyku.

wiem jak prymitywne formy przybierała, zachwyt jest jednak jej podstawą. I to mnie zachwyca. We dream about pussy. We fly dreaming about it.

Kiedy byłem z dziadkiem w Ustce, w sklepie z pamiątkami zobaczyłem gumowego King Konga, który ściskał w łapie nieforemną plastikową blondynkę. Dwie plamki czerwonej farby w miejsce sutków. O Matko! Jak ja go chciałem mieć! Dziadek kupił mi innego, z wężem – jak się uprzeć, też erotyczna symbolika, ale jednak nie to samo. Teraz mam kolekcję cudownych japońskich laleczek hentai. Perwersja, finezja, wdzięk – wszystko w jednym. Ale tamtej koślawej figurki z polietylenowymi zaciekami nie zapomnę. Cierpię na syndrom King Konga.

Moje największe marzenie w roku 1980: żeby na „Perskim" wszyscy zniknęli i żebym został tylko ja sam. A tam płyty Kissów i pisma z gołymi dziewczynami wszystkie dla mnie. Brać, wybierać. Gołe baby. Gołe panie. Dziewczyny bez majtek. Uwielbiam to.

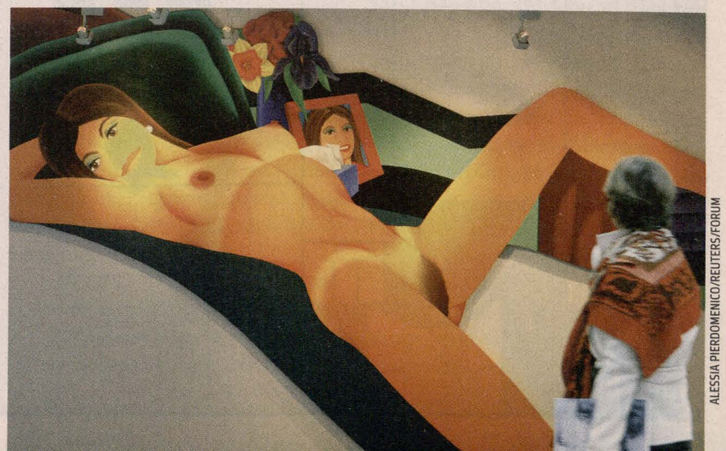

ALESSIA PIERDOMENICO/REUTERS/FORUM

OLGA ŚWIĘCICKA, ILUSTRACJE PATRYK MOGILNICKI

Celibat 2.0

Są młodzi, wykształceni, ambitni. Mają pasje, plany na życie i potrzebę bliskości. Latami nie uprawiają seksu. Bez skrępowania mówią o sobie „aska" i „as". **Aseksualność – orientacja, która wychodzi z szafy.**

Ona mieszka i studiuje w dużym mieście. Jest zadbana i atrakcyjna. Ma 25 lat, a za sobą zaledwie kilka kontaktów fizycznych. Nie jest ofiarą gwałtu, wychowała się w normalnym, ciepłym domu, nie ma traumy związanej z fizycznością. Chętnie spotyka się z mężczyznami, lubi flirtować i umawiać się na randki. Nie lubi seksu. On jest trochę starszy. Za sobą ma kilkuletni związek. Od ośmiu lat nie był blisko z żadną kobietą. Nie masturbuje się, nie ogląda pornografii, nie czuje pociągu fizycznego. Jest duszą towarzystwa, ma ciekawe pasje i mnóstwo pomysłów na życie. Seks nie ma dla niego większego znaczenia. Ona i On są aseksualni. Ich związki opierają się na czułości, przyjaźni i zrozumieniu. Zamiast próbować w sypialni nowych pozycji, wolą trzymać się za rękę, od przygodnych stosunków wolą rozmowy, szukają miłości, ale tylko tej romantycznej.

– Pamiętam, że w liceum nie mogłam zrozumieć koleżanek, które cały czas uganiały się za chłopakami – mówi Ona, która w świecie „asów" funkcjonuje jako Wicherek. – Przyjaciółki opowiadały mi o pierwszych razach, ekscytowały się pocałunkami i erotycznymi przygodami, a mi wydawało się to dziwne i dość obrzydliwe. Przełom nastąpił, kiedy jedna z nich opowiedziała mi o swoich fantazjach erotycznych. Najpierw pomyślałam, że coś z nią jest nie tak. Sama nigdy nie miałam takich myśli. Po kilku latach trafiłam na artykuł o osobach aseksualnych. Zrozumiałam, że to moja historia. Od tego czasu przestałam, ze sobą walczyć i zaczęłam to akceptować – tłumaczy Wicherek.

Aseksualność jest cechą wrodzoną, zwykle jednak do jej odkrycia dochodzi w wieku młodzieńczym, kiedy następuje zderzenie z rówieśnikami. Tak też było w przypadku Adama, który dopiero po latach zaakceptował własną orientację. – W dzieciństwie dużo grałem w koszykówkę. Kiedy byliśmy nastolatkami, pojechaliśmy z naszą drużyną na obóz – opowiada Adam. – W tamtych czasach wszyscy podkochiwaliśmy się w Brendzie z serialu „Beverly Hills 90210". Kolega nawet zabrał jej plakat, żeby powiesić w pokoju. Pewnego dnia wpadłem do naszej sypialni i zobaczyłem, jak się masturbuje, patrząc na aktorkę. Penisem dotykał jej twarzy. Byłem zdruzgotany. Podbiegłem i zerwałem plakat. Czułem, jakby ktoś ją zbezcześcił. Sam z Brendą chętnie potrzymałbym się za rękę czy porozmawiał, nigdy jednak nie myślałem o niej jako o obiekcie seksualnym – dodaje On.

Nie jest efektem traumy z dzieciństwa albo chwilową fanaberią, aseksualność to obok hetero, homo i bi czwarta orientacja seksualna. Homoseksualiści przestali już być tabu, teraz czas na „aski" i „asów", którzy od seksu wolą rozmowę.

Takie pozornie małe doświadczenia po latach zbierają się w całość. Adamowi i Wicherkowi kilka lat zajęło zrozumienie własnej sytuacji. Dziś otwarcie mówią o tym, że są aseksualni, i walczą o swoje prawa. – Aseksualność to czwarta orientacja seksualna. Homoseksualiści wyszli już z szafy, teraz czas na nas – mówi Wicherek. – W Polsce brakuje kogoś na miarę Davida Jaya, amerykańskiego aktywisty, który walczy o nasze prawa. Boli mnie, że w mediach przedstawia się osoby aseksualne jako chore, nieprzystające do rzeczywistości. Wielokrotnie, kiedy opowiadam o mojej orientacji, słyszę, że to fanaberia albo efekt traumy z dzieciństwa. Mało kto bierze moje wyznanie na poważnie – żali się.

Czwarta orientacja

Aseksualność dotyczy co setnego człowieka, choć jak przyznaje seksuolog dr med. Michał Lew-Starowicz, trudno jednoznacznie oszacować, jak liczna jest ta grupa. Niejasne jest też uznanie aseksualności jako czwartej orientacji. – Tego typu podziały często są mniej uwarunkowane względami klinicznymi czy naukowymi, a bardziej społecznymi – mówi dr Lew-Starowicz. – W dzisiejszych czasach można mówić o pięciu orientacjach. Oprócz powszechnie znanych homo, hetero i bi mamy jeszcze orientację aseksualną i autoerotyczną, przez którą rozumie się ograniczenie preferowanej aktywności seksualnej jedynie do masturbacji. Te podziały nie są jeszcze formalnie uznane, bo granica jest dość płynna. Do mojego gabinetu często trafiają osoby, które deklarują się jako aseksualne, kiedy jednak spotkają odpowiedniego partnera, bywa, że to się zmienia. Warto pamiętać, że ludzka seksualność jest bardzo zmienna. Inne potrzeby mamy w okresie krótkotrwałego zakochania, inne w połogu czy w czasie menopauzalnym. Wyznacznikiem może być więc akceptacja. Jeżeli fakt obniżonego libido nie budzi w nas poczucia dyskomfortu, nie przynosi cierpienia, to możemy mówić o aseksualności jako o wyrazie ludzkiej różnorodności, a nie zaburzeniu – tłumaczy specjalista.

Zanim jednak On i Ona zaakceptowali fakt nieodczuwania pociągu seksualnego, próbowali z nim walczyć, wchodząc w różne relacje. Ona była w dwóch

dłuższych związkach, on w jednym, wszystkie jednak skończyły się niepowodzeniem. – Chłopcy, z którymi się spotykałam, uważali, że mój brak popędu jest oziębłością. Sugerowali, że można ją wyleczyć – opowiada Wicherek. – Mimo że od samego początku mówiłam im o moim stosunku do seksu, nie do końca mi wierzyli. Podejmowali próby, które kończyły się niepotrzebną frustracją i złością. W końcu sama doszłam do wniosku, że nie ma co próbować na siłę. Dziś partnerów szukam tylko wśród asów – deklaruje dziewczyna.

Choć doświadczenia Wicherka nie napawają optymizmem, to sprawa wcale nie jest przesądzona. – Do mojego gabinetu przychodzą pary mieszane – mówi dr Michał Lew-Starowicz. – Zwykle osobą inicjującą jest partner, który odczuwa potrzeby. Taki związek wbrew pozorom wcale nie jest skazany na straty. Wszystko zależy od motywacji i empatii obu stron. Satysfakcję seksualną można odczuwać na bardzo wielu poziomach. Może ją przynieść świadomość przyjemności, jaką dajemy partnerowi, może ją też dać poczucie bliskości czy bezpieczeństwa. Pożądanie może pojawić się także dopiero podczas stosunku, w wyniku stymulacji seksualnej. Możliwości jest wiele, wszystkie jednak wymagają zrozumienia i pracy z obu stron – dodaje lekarz.

Aseksualny, czyli brzydki

Na forum Sieci Edukacji Aseksualnej roi się od matrymonialnych ofert „asek" i „asów". Użytkownicy dzielą się swoimi historiami, radzą się i wspólnie przeżywają ciężkie chwile. Spora część dopiero dzięki forum zdała sobie sprawę, że ich przypadłość nie jest chorobą, tylko po prostu sposobem bycia. Akceptacja samego siebie to pierwszy krok w stronę zadowolenia. Niestety, do pełni szczęścia potrzeba nie tylko samoświadomości, ale także zrozumienia ze strony otoczenia. Z tym bywa różnie. Szczególnie wśród najbliższej rodziny.

– Każda wizyta u moich rodziców kończy się pytaniem: „Kiedy w końcu przyprowadzisz jakąś dziewczynę?" – zwierza się Adam. – W moim domu nie rozmawia się o seksie otwarcie, ale często wplata się takie tematy między wierszami. Niedobrze mi się robi, gdy przypominam sobie wujka, który między jedną a drugą łyżką pomidorowej mruga do mnie, sugerując, że powinienem wreszcie kogoś „przelecieć". To, co mnie najbardziej drażni w mojej orientacji, to właśnie niemożność skomunikowania się z rodziną, która moje szczęście postrzega przez pryzmat posiadania kobiety – mówi Adam.

Coming out to jeden z popularniejszych wątków na forum osób aseksualnych. Nieznajomość tematu i słaby dostęp do informacji dotyczących „czwartej orientacji" sprawia, że wiele osób spotyka się ze strony bliskich z niezrozumieniem. – Większość społeczeństwa myśli, że aseksualność oznacza nieatrakcyjność fizyczną – żali się Wicherek. – Boję się, że gdybym wyznała najbliższym, że postrzegam siebie jako osobę aseksualną, toby spanikowali i obrócili wszystko w żart. Na razie wszelkie docinki zbywam uśmiechem i mówię, że jestem zbyt zajęta, żeby wchodzić w związki. Swoją drogą fakt, z kim chodzę do łóżka i co w nim robię, nie powinien nikogo interesować. – mówi.

Odpowiedź na gonitwę orgazmów

Dzisiejszy świat nie ułatwia zadania osobom aseksualnym. Z jednej strony związki są coraz mniej trwałe, więc brak posiadania partnera specjalnie nikogo nie dziwi. Z drugiej jednak strony zewsząd jesteśmy epatowani seksem. Liczba partnerów seksualnych świadczy o naszej wartości, panuje kult orgazmów i przeświadczenie, że udany seks jest wyznacznikiem szczęśliwego życia. W reklamach pojawiają się hasła: „seks jest najważniejszy", w kolorowych magazynach celebryci wprowadzają do swojej alkowy, a słowo „tabu" dawno już opuściło sferę intymną.

– W naszych czasach panuje kult młodości i sprawności – tłumaczy dr Michał Lew-Starowicz. – Trudno powiedzieć, żeby aseksualność była

W świecie, w którym panuje kult orgazmów, a liczba seksualnych partnerów ma świadczyć o naszej wartości, ludziom nie mieści się w głowie, że życie bez seksu może być udane i szczęśliwe.

świadomą reakcją na atakującą nas rzeczywistość, ale może się zdarzyć, że w niektórych przypadkach dochodzi do takiej sytuacji. Osoby nieprzystające do powszechnie uznanego modelu mogą próbować na siłę dorównać wzorcom kulturowym lub je zanegować i się wycofać. Dlatego ważne jest poszanowanie odmienności, akceptacja różnych wariantów przeżywania (lub nieprzeżywania) seksualności – tłumaczy.

Trudno hiperseksualność naszych czasów postrzegać jako przyczynę tego zjawiska. Od kiedy jednak seks stał się sprawą publiczną i wszechobecną, problem zaczął być widoczny. Dopóki strefa seksualności była sprawą prywatną, jej brak również był prywatny. Oczywiście zawsze mówiło się o białych małżeństwach, ale na domysłach i insynuacjach się kończyło. Ponieważ takie zachowania pozostawały w cieniu, nie było potrzeby nazywania tego „problemu". Brak terminu, który by je określał, sprawił, że ludzie nie opierali na nim swojej tożsamości. Wraz z większą świadomością, czym jest aseksualność, rozwojem mediów i możliwością komunikacji przez Internet wszystko się zmieniło.

Aseksualność to wybór

Według badań amerykańskich naukowców prawie 43 proc. kobiet na świecie posiada jakąś dysfunkcję seksualną. Jednak tylko ich mały procent odczuwa z tego powodu dyskomfort. Podobnie jest z aseksualnością. Spadek libido może mieć bardzo różne podłoże: hormonalne, emocjonalne czy fizyczne. Dopóki jednak jego obniżenie nie budzi uczucia dyskomfortu czy odmienności, nie ma mowy o zaburzeniu. Ocena problemu zależy więc od indywidualnego podejścia. Jeżeli zastana sytuacja rodzi cierpienie, warto przejść się do seksuologa i poszukać jej źródła. W większości przypadków osoby aseksualne nie przychodzą do gabinetu, bo po prostu nie widzą żadnego problemu.

Mimo pełnej akceptacji osoby, z którymi rozmawiałam, poprosiły o anonimowość. – Nie chcę pokazywać swojej twarzy, bo boję się, że ludzie wytkną mnie palcami – mówi Wicherek. – Większości nie mieści się w głowie, że życie bez seksu może być udane i szczęśliwe. Niczym nie odstaję od innych dziewczyn w moim wieku. Lubię ładnie wyglądać i podobać się mężczyznom, ale mój świat, w przeciwieństwie do świata większości ludzi, nie jest kierowany popędem. W sumie to bardzo wygodna sytuacja. Moje koleżanki ciągle przeżywają miłosne dramaty i są zaabsorbowane sferą seksualną. Ja ten problem mam z głowy. Dzięki temu mam czas na rozwijanie zainteresowań i naukę – deklaruje Wicherek.

– Seks nie jest dla mnie sprawą priorytetową – dodaje Adam. – Być może spotkam kobietę, z którą poukładam sobie życie seksualne. Od ekscesów pod kołdrą ważniejsze jest jednak dla mnie zrozumienie, poczucie bezpieczeństwa i troska. Moja postawa nie jest rezygnacją, tylko wyborem. Wiele osób dziwi się, jak można tak żyć. Dla nich potrzeby seksualne są jak oddychanie. Dla mnie nie. Nie uprawiałem seksu od ośmiu lat. Jestem 30-letnim mężczyzną z dużego miasta. Jestem szczęśliwy – mówi.

ANNA PRZYBYLL, ILUSTRACJA KAROLINA KOTOWSKA

Kobiety do garów

Pół wieku po opublikowaniu przez Betty Friedan książki „Mistyka kobiecości", biblii feministek z lat 60., **kobiety w USA rezygnują z kariery zawodowej** na rzecz utrzymania swoich związków. A te, które chcą zarabiać więcej niż mężczyźni, decydują się na życie singielek.

Przewaga ekonomiczna kobiet w związku z mężczyzną jest prostą drogą do smutnego finału. Z tym głęboko zakorzenionym u pań przekonaniem nie poradziła sobie rewolucja feministyczna. Mimo że w większości rozwiniętych krajów to kobiety są lepiej wykształcone, nie wahają się przed wyborem gorzej płatnej pracy, bo zdają sobie sprawę z tego, że tradycyjny podział ról nadal rządzi związkami. Tak mówią najnowsze dane zebrane w jednym z najbogatszych krajów świata. Badanie przeprowadzone na reprezentatywnej grupie 4 tys. par małżeńskich z USA sugerują, że liczba osób deklarujących się w małżeństwie jako „bardzo szczęśliwe" spada, gdy kobieta zarabia więcej niż mąż. Wtedy też rośnie ryzyko rozwodu. Dlatego mentalnie panie nadal tkwią po uszy w czasach sprzed rewolucji feministycznej i zgadzają się na życie, w którym mężczyzna siedzi w biurze, a one w domu.

Boginie domowego zacisza

Do takich wniosków doszli właśnie amerykańscy badacze: ekonomistka Marianne Bertrand i profesor ekonomii Emir Kamenica z Uniwersytetu Chicago Booth. Wspólnie z Jessicą Pan z National University of Singapore zbadali zależność między zarobkami i relacjami w związkach. Ich raport o „Tożsamości płciowej i relatywnych dochodach gospodarstw domowych" (Gender Identity and Relative Income Within Households) potwierdza, że tradycyjne role społeczne tylko pozornie się zacierają. Okazuje się, że mężczyźni wciąż oczekują, że kobieta będzie zarabiała mniej od nich, za to zadba o dom i o wychowanie potomstwa. Jeśli zaś zdarza się, że to kobieta zarabia więcej od mężczyzny, stara się mu rekompensować poczucie niższości poprzez pielęgnację ogniska domowego, a czasami rezygnuje nawet z pracy zawodowej, byle tylko utrzymać związek.

Do badań amerykańscy ekonomiści wykorzystali teorię tożsamości społecznej wywiedzioną z psychologii społecznej. Teoria ta zakłada, że jednostki definiują się jako członkowie grup, które wymagają od nich konkretnych zachowań. I okazuje się, że te ostatnie nie zmieniły się aż tak bardzo od czasu wydania książki-manifestu Friedan. Wciąż pokutuje przekonanie, że mężczyzna buduje własne poczucie dumy na sukcesie zawodowym, wysokości zarobków i stanie posiadania. Kobieta, której udałoby się osiągnąć to, o czym marzy każdy mężczyzna, wciąż odczuwa zobowiązanie, aby być równocześnie dobrą żoną i matką. Dobrą, czyli taką, która nie pozbawia męża satysfakcji z jego pracy i nie stanowi dla niego konkurencji w wyścigu zawodowym. Jest po prostu boginią zacisza domowego, dbającą o atmosferę, dobry posiłek i porządek.

Zespół z Booth przeanalizował dochody młodych par z 2010 r., i to takich, u których występuje niskie prawdopodobieństwo tradycyjnych poglądów patriarchalnych. W 13 proc. związków mężczyźni zarabiali nieznacznie więcej od kobiet, podczas gdy kobiety zarabiały trochę więcej od mężów w przypadku 8 proc. Co ciekawe jednak, mimo że średnie zarobki kobiet stale rosną, różnica pomiędzy liczbą rodzin, w których więcej zarabia mężczyzna, a tymi, gdzie zarobki żony górują nad zarobkami męża, utrzymuje się od lat 70. na podobnym, stałym poziomie. Gdzie więc ukrywają się lepiej zarabiające panie?

Wzrost potencjału zarobkowego u kobiet związany z ich emancypacją i lepszą edukacją powoduje, że mężczyznom coraz trudniej znaleźć kobietę, która gwarantowałaby, że zawsze będzie od niego zależna finansowo, a tym samym nie odbierze mu satysfakcji z bycia zdobywcą. Z tego powodu coraz więcej osób rezygnuje z małżeństwa, a wiele kobiet pracuje poniżej kwalifikacji lub wcale, aby nie narazić związku na szwank.

Kobiety, które na podstawie swojej edukacji i doświadczeń mogłyby być aktywne na rynku pracy, ograniczają się do aktywności domowej. Te, które jednak pracują, zarabiają w rzeczywistości znacznie mniej, niż wskazywałby na to rynkowy model zarobków uwzględniający ich umiejętności. Tu tkwi rozwikłanie zagadki – kobiety mogące zarabiać lub zarabiające więcej niż mężczyźni zostają singielkami lub rezygnują z własnych pieniędzy, aby uszczęśliwić męża. „Stwierdziliśmy, że kobiety zarabiające więcej ostatecznie wykonują nie mniej, ale więcej obowiązków domowych niż ich mężowie" – pisze w raporcie Marianne Bertrand.

Panie buntują się jednak przeciw takim tradycyjnym podziałom częściej niż kiedyś. „Gdy stajemy przed wyborem: szczęśliwe małżeństwo czy szczebel wyżej na drabinie kariery zawodowej, aż 1/3 z nas wybiera sukces materialny" – pisze Bertrand. Nic dziwnego, że według statystyk w grupie wiekowej 25–39 liczba małżeństw spadła z około 81 proc. w 1970 do 51 proc. w 2010 r. Autorzy badania szacują, że 29 proc. niedoszłych małżeństw to efekt strachu przed ich rozpadem z przyczyn finansowych. Mężczyźni boją się utraty prestiżu, a kobiety – sfrustrowanych mężów.

Konkluzją badania Bertrand i Kamenicy jest stwierdzenie, że pary, w których kobiety zarabiają więcej, są mniej szczęśliwe i notują więcej rozwodów. W związkach tradycyjnych, gdzie na konto męża wpływa co miesiąc większa kwota niż na rachunek żony, blisko połowa par oceniła swoje pożycie jako bardzo szczęśliwe. U par, gdzie zależność jest odwrotna, szansa na „bardzo szczęśliwe" małżeństwo spada u obojga małżonków o 6 pkt proc. i o tyle samo wzrasta prawdopodobieństwo, że w ciągu ostatnich 12 miesięcy małżonkowie rozmawiali o separacji. Tam, gdzie żona zarabia więcej niż mąż, o połowę zwiększa się ryzyko rozwodu.

Grunt to dobry seks

Kilka innych przeprowadzonych ostatnio amerykańskich badań również dowodzi, że kariera zawodowa kobiet nie idzie najczęściej w parze ze szczęściem w związku. Raport naukowy Uniwersytetu Waszyngtona opublikowany w najnowszym American Sociological Review wskazuje, że kluczem do szczęśliwego pożycia małżeńskiego jest równy podział obowiązków domowych, ale wzdłuż linii tradycyjnych zadań męskich i kobiecych. Facet zajmujący się dzieckiem ma nikłe szanse na udany seks z żoną, która nałogowo przycina krzewy w ogrodzie i układa panele podłogowe.

Zespół pod kierownictwem dr Sabino Kornrich z Juan March Institute w Madrycie po przebadaniu 4500 heteroseksualnych amerykańskich par w wieku ok. 45 lat ustalił, że w małżeństwach, gdzie obowiązuje tradycyjny podział ról, partnerzy uprawiają seks średnio pięć razy w miesiącu. – Pary, w których mężczyźni wypełniają obowiązki przypisane historycznie kobietom, mają niższy popęd seksualny. Z kolei mężowie, którzy pełnią obowiązki kojarzone z domeną męską, jak dbanie o samochód czy prace remontowe, uprawiają seks 20 razy częściej niż mężowie sfeminizowani – mówi Kornrich.

Jednak tam, gdzie ciężar pracy domowej spada wyłącznie na kobietę, małżonkowie odbywają tylko o 1,6 raza więcej stosunków na miesiąc niż pary o odwróconym podziale ról. Wynika to z faktu, że kobieta czuje się zaniedbana i nie odczuwa satysfakcji z małżeństwa, w którym podział obowiązków jest asymetryczny.

ROZMAWIA ANNA PRZYBYLL

Szklany sufit to wymówka

Współczesnym mężczyznom kończą się już pomysły na to, jak zaimponować kobietom, dlatego wolą nietrwałe związki, a kobiety, które marzą o ślubie, muszą wybierać: mąż albo kariera – mówi „Przekrojowi" **Emir Kamenica**, współautor raportu „Tożsamość płciowa i relatywne dochody gospodarstw domowych".

ANTONY JONES/EAST NEWS

Skąd wziął się pomysł zbadania zależności między wysokością dochodów a poziomem zadowolenia w związku?

W innym, wcześniejszym badaniu odkryliśmy, że uczestnicy szybkich randek preferują u potencjalnych kandydatów tradycyjne role związane z płcią. Zaintrygowało to nas i postanowiliśmy z Marianne Bertrand sprawdzić, czy takie preferencje wpływają również na późniejszy etap, jakim jest małżeństwo. Okazało się, że wynagrodzenie jest tym czynnikiem, który dla dobra związku powinien pozostać na poziomie tradycyjnej roli związanej z płcią, czyli niższym u kobiety, a wyższym u mężczyzny.

Obie strony aż tak dokładnie kalkulują?

Nasze badania nie potwierdzają wyraźnie formułowanych obaw żadnej z płci dotyczących zarobków. Po prostu związek, w którym to mężczyzna zarabia mniej, narusza tradycyjne normy społeczne, a takie związki z natury są mniej stabilne. Relacje, w których występuje jakakolwiek nierówność – wieku, dochodu czy wykształcenia – statystycznie rzecz ujmując, częściej się rozpadają i kończą rozwodem. To nie jest jednak jakaś złota reguła. Przecież każdy szczęśliwie zakochany wie, że dochody partnera są sprawą drugorzędną (śmiech). Najważniejsza jest miłość i szacunek.

Dlaczego więc wyraźnie spada zadowolenie z małżeństwa w przypadku, gdy to kobieta więcej zarabia?

Przede wszystkim częściej niezadowoleni są mężczyźni. Nie podoba im się to, że kobieta „kradnie" ich zadania. Jednak wraz z pogłębiającą się różnicą w dochodach rośnie także niezadowolenie kobiet. To, które zwracają uwagę na różnice w dochodach, zaczynają baczniej przyglądać się mężowi i są skłonne wymienić go na młodszy, bardziej atrakcyjny model. Kobiety, dla których jedynym celem życiowym jest pomnażanie zysków i sukces zawodowy, zaczynają postrzegać relację z mężczyzną w kategoriach rynkowych. To, które utrzymują rodzinę, np. dlatego, że mają lepiej płatny zawód, ale budżet domowy jest wspólny, bez podkreślania, że to moje pieniądze, a to twoje, doceniają u męża jego niematerialny wkład w związek. Trzeba pamiętać, że w dobie kryzysu role te mogą szybko się zamienić. Już dziś w jednej czwartej par w USA w wieku 18–65 lat to kobiety zarabiają więcej. Jest to w dużej mierze efekt kryzysu finansowego, który dotknął wielu typowo męskich zawodów.

W świecie celebrytów o rozpadzie związku wciąż chyba decydują zdrady?

Zbyt silna pozycja kobiet. Z tego powodu rozpadło się na przykład małżeństwo Kate Winslet z reżyserem Jimem Threapletonem. Aktorka przeżywała wielki powrót na ekrany po kilku latach przerwy po „Titanicu", nagrała nawet piosenkę. Mniej znany filmowiec przestał pasować do jej nowego wizerunku gwiazdy światowego formatu. Podobnie w 2010 r. walijska piosenkarka i prezenterka telewizyjna Charlotte Church rozstała się po pięciu latach z narzeczonym, zawodowym graczem w rugby Gavinem Hensonem. Przyjaciele pary twierdzili, że główną przyczyną zakończenia związku była nierówność w dochodach. W obu przypadkach mężczyźni zarabiali cały czas tyle samo, to ich partnerki zaczęły zarabiać lepiej. I wtedy dochody mężczyzn wydały im się relatywnie zbyt małe, nieprzystające do ich aspiracji finansowych, a także wizerunkowych.

Ale istnieją przecież takie zawody, w których kobiety zwyczajowo zarabiają lepiej od mężczyzn.

Nie powinno się już mówić o zawodach typowo męskich czy typowo kobiecych, bo to seksizm. Ale wszyscy wiemy, o co chodzi. Z danych statystycznych wynika, że jest kilka zawodów, w których kobiety mają przewagę zarobkową. We wszystkich pracach, które wiążą się z potrzebą empatii, a to u kobiet cecha częściej występująca niż u mężczyzn, np. rehabilitantki, nauczycielki, kelnerki czy dietetyczki, zarabiają więcej niż mężczyźni. Co ciekawe, więcej zarabiają też te kobiety, którym uda się zostać dyrektorem w dużej korporacji. Może dlatego, że kobiet na takich stanowiskach jest naprawdę niewiele, więc jeśli już tam są, to mają wyjątkowe kompetencje i są za nie lepiej wynagradzane.

Czy można powiedzieć, że kobiety instynktownie wyczuwają, że jeśli zarabiają więcej od mężczyzny, to naturalny porządek rzeczy jest zachwiany?

O tym traktuje wydana w ubiegłym roku książka amerykańskiej dziennikarki Lisy Mundy „Bogatsza płeć" (The Richer Sex). Mundy przytacza w niej rozmowę z kobietą, która „zamieniła" się z mężem na role – on wychowuje dzieci w domu, ona pracuje zawodowo. Po kilku latach takiego życia musiała przyznać z zaskoczeniem, że przestała szanować swojego partnera jako mężczyznę. Wciąż był świetnym ojcem i kucharzem, ale coś w środku niej powodowało, że nie mogła go traktować tak jak wcześniej. Takie świadectwa przemawiają za tym, że kobiety instynktownie też wolą silnych – w tradycyjnym sensie – mężczyzn.

Trudno się dziwić, że mężczyźni czują się zdezorientowani.

W 1970 r. ponad 80 proc. młodych ludzi brało śluby. Dziś wskaźnik ten przekracza nieznacznie połowę i wykazuje tendencję spadkową. Duży spadek liczby zawieranych małżeństw przez osoby w wieku 25–39 z naszych szacunków wynika w blisko 1/3 z niechęci mężczyzn do kobiet nastawionych na karierę. Nasze obliczenia opieraliśmy na twardych danych, ale w rzeczywistości nie chodzi tylko o pieniądze. Kobieta, która chce zrobić karierę, a zupełnie nie myśli o domu, jest fajną bohaterką serialu, ale niekoniecznie dobrym materiałem na żonę. Współczesnym mężczyznom kończą się pomysły, jak zaimponować kobiecie. Wyższe zarobki, utrzymywanie rodziny to jedno z zadań tradycyjnie męskich. Pozbawieni go mężczyźni czują się zagubieni, zagrożeni, a nawet zawstydzeni. I wolą nietrwałe związki, które jest łatwiej zakończyć.

Kobiety nie lubią nieudaczników. Małżeństwo Kate Winslet z reżyserem Jimem Threapletonem (na zdjęciu na poprzedniej stronie) skończyło się w momencie, kiedy mniej znany mąż przestał pasować do jej nowego wizerunku gwiazdy światowego formatu.

Jednak, jak wynika z państwa badań, są kobiety, które poświęcają dla dobra związku dobrze rokującą karierę. Czy można w takim razie zaryzykować tezę, że zjawisko szklanego sufitu niektóre kobiety stwarzają sobie same?

Niezupełnie, choć w niektórych wypadkach tak. Szklany sufit to nienamacalna przeszkoda utrudniająca kobietom awans na stanowiska kierownicze. Czasami kobieta woli wierzyć w szklany sufit, bo boi się przyznać, że ważniejsze dla niej jest szczęście rodzinne i dbanie o dom niż realizowanie się w pracy. Takie poglądy dziś budzą zdziwienie, a nie należą wcale do rzadkości! Wtedy taka kobieta będzie celowo uciekała w gorszą pracę czy w ogóle z niej zrezygnuje. Będzie to tłumaczyła chęcią zachowania szczęśliwego związku, dogodzenia mężowi, który zarabia mniej i nie może się wykazać. A w rzeczywistości kobieta robi to dla siebie, aby czuć się szczęśliwa. Zupełnie czym innym jest poświęcanie swoich ambicji, które prowadzi do frustracji, pod presją męża. A czym innym jest suwerenna decyzja o rezygnacji z wielkiej kariery na rzecz poświęcenia czasu dla domu i rodziny, choćby na kilka lat. Wszystko zależy od systemu wartości kobiety. W każdym razie ważne, aby dobrze czuła się w swojej roli bez względu na to, co piszą kolorowe magazyny dla kobiet czy mówią przyjaciółki.

EMIR KAMENICA

Profesor w Booth School of Business University of Chicago. Zajmuje się badaniami nad mikroekonomią stosowaną, za pomocą której analizował m.in. behawioralną teorię organizacji przemysłowej, dyskryminację i związki małżeńskie. Publikuje w „American Economic Review", „Quarterly Journal of Economics" i „Review of Economic Studies".

JOANNA ĆWIEK, ILUSTRACJA KAROLINA KOTOWSKA

Przynieś mi mamuta, kochanie

Polacy są tradycjonalistami. W sondażach opowiadają się za równym podziałem ról w związku, ale w praktyce to na mężczyznach spoczywa obowiązek utrzymania rodziny. Jeśli panowie sobie z tym nie radzą, uchodzą za nieudaczników. Co ciekawe, **wymagania społeczne wobec kobiet** są znacznie mniejsze.

Wieloletnia walka o równouprawnienie pań na rynku pracy i w rodzinie przynosi rezultaty. Polki, jeśli chcą, mogą pracować, robić karierę i sporo zarabiać – choć ciągle mniej niż ich mężowie lub partnerzy. Mogą także pozostawać na utrzymaniu mężów, zajmować się domem. Wybór należy do nich. Z kolei mężczyźni, jeśli nie zarabiają na dom, są stygmatyzowani. A jeśli zarabiają mniej od swoich kobiet, uchodzą za nieudaczników. Takie wnioski to efekt badań przeprowadzonych przez studentów Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej.

40 kobiet i 40 mężczyzn zapoznano z dwiema historiami. Połowie badanych opowiedziano o kobiecie zależnej finansowo od partnera, a reszcie – o kobiecie niezależnej od partnera. I poproszono o komentarz. Okazało się, że mężczyźni, którzy zarabiają więcej od partnerki, zostali ocenieni jako bardziej zadowoleni z życia. Natomiast oceny bohaterki w obu przypadkach: zależnej i niezależnej finansowo nie różniły się znacząco. – Polacy nadal postrzegają związki w dość tradycyjny sposób. Mężczyzna powinien być tym, który przynosi do domu mamuta. Jeśli tego nie robi, to nie wypełnia swojej męskiej roli i wielu może sądzić, że nie ma prawa być szczęśliwy – mówi dr Joanna Roszak, psycholożka z SWPS, koordynatorka badań. I dodaje: – Stereotypowe wymagania społeczeństwa dotyczą bardziej mężczyzn. Natomiast kobieta, jeśli chodzi o pracę i zarabianie pieniędzy, ma wolną rękę.

Kobiety z charyzmą

Z przeprowadzonego w ubiegłym roku sondażu CBOS dotyczącego preferowanego modelu rodziny wynika, że niemal połowa ankietowanych (48 proc.) uważa, że ideałem jest sytuacja, w której oboje małżonkowie po równo dzielą się obowiązkami rodzinnymi i poświęcają pracy. Mniej więcej co czwarty badany popiera model, w którym oboje pracują, ale mężczyzna więcej czasu poświęca pracy, a kobieta dzieciom. Tylko co piąta osoba uważa, że utrzymaniem rodziny powinien zajmować się wyłącznie mąż. Natomiast jeden na stu ankietowanych uważa, że kobieta powinna pracować, a mężczyzna zajmować domem i dziećmi.

Panie zarabiają w Polsce średnio o 20 proc. mniej niż mężczyźni. Ma na to wpływ powszechny brak przekonania, że od kobiety powinien zależeć byt jej rodziny, oraz fakt, że dla ciekawej pracy, którą łatwo daje się połączyć z życiem rodzinnym, kobiety są w stanie iść na ustępstwa finansowe. Różnice w zarobkach są szczególnie widoczne w przypadku stanowisk menedżerskich. Z opracowanego w ubiegłym roku raportu firmy doradczej Kienbaum wynika, że w Polsce przeciętny menedżer mężczyzna najwyższego szczebla zarabia 484 tys. zł rocznie. Zatrudniona na tym samym stanowisku kobieta ma szanse na zaledwie 433 tys. zł rocznie. Na stanowiskach średniego stopnia ta różnica wynosi już tylko 5 tys. zł rocznie, a wśród szeregowych pracowników 700 zł.

– Te różnice to czasami także skutek tego, że dla kobiety wynagrodzenie nie jest aż takim priorytetem jak dla mężczyzny. Często też nie wierzy, że może sięgnąć po najwyższą stawkę, i w negocjacjach płacowych jest bardziej elastyczna niż aplikujący na to samo stanowisko mężczyzna – mówi Lucyna Pleśniar z agencji doradztwa personalnego People.

Na szczęście sytuacja kobiet na rynku pracy zaczyna się jednak powoli zmieniać, zwłaszcza w przypadku tych pań, które sięgają po najwyższe stanowiska. – Kobiety rekrutowane na członków zarządu, prezesów, dyrektorów zarządzających, menedżerów wyższego szczebla coraz częściej dostają takie same uposażenia jak mężczyźni. Dla pracodawcy nie jest ważna płeć, ale kompetencje. Wybierają po prostu najlepszą osobę na dane stanowisko, która ma silną osobowość, umie pracować pod presją, ma doświadczenie i charyzmę – mówi Bernhard Matussek z międzynarodowej firmy doradczej Kienbaum.

Kryzys dobry dla pań

Paradoksalnie, impulsem do działania może być dla kobiet obecny kryzys gospodarczy. Bo choć z jednej strony kobiety są zwalniane częściej niż do tej pory, to z drugiej wielu przedsiębiorców przyznaje, że woli zostawić w pracy kobiety, a nawet awansować je na wyższe stanowiska, bo są tańsze, lepiej zarządzają w kryzysie i z obawy przed utratą płynności finansowej swoich rodzin godzą się pracować dłużej za takie same lub nawet mniejsze pieniądze.

Kobiety są elastyczniejsze i łatwiej dostosowują się do nowej sytuacji. Stąd kryzys to dla nich szansa na awans i wyższe zarobki

Firmy niechętnie zwalniają pracowników niższego szczebla i tych, którzy pracują w produkcji, redukują za to zatrudnienie na wyższych stanowiskach, czyli tną w miejscach, gdzie najwięcej jest mężczyzn: np. w bankach, zarządach firm budowlanych, reklamie czy marketingu. – W takiej sytuacji facet załamuje się i idzie pić, a kobieta od razu szuka nowego zajęcia lub zakłada firmę – tłumaczy prof. Janusz Czapiński, psycholog społeczny. – Kobiety często są elastyczniejsze i nieco łatwiej dostosowują się do nowej sytuacji, na przykład przekwalifikowują się i dokształcają. Stąd kryzysto dla niektórych z nich wręcz szansa na znalezienie odpowiadającej im pracy, a nawet na wyższe zarobki – dodaje Joanna Roszak.

Niestety, przerzucenie obowiązku utrzymania rodziny na barki kobiety powoduje, że w wielu rodzinach zaczyna się źle dziać. – Mężczyzna na utrzymaniu żony czy taki, który tylko zarabia nieco mniej niż ona, często nie jest w stanie się z taką sytuacją pogodzić. Zamyka się w sobie, frustruje, a narastające w nim napięcie coraz bardziej odbija się na jego relacjach z żoną – mówi prof. Czapiński i dodaje, że dla trwałości rodziny jest zdecydowanie lepiej, gdy to mężczyzna przynosi do domu więcej pieniędzy.

Zdaniem prof. Mariusza Jędrzejki z Wyższej Szkoły Biznesu problemy wynikające z niezależności finansowej pań są szczególnie widoczne na wyższych uczelniach, gdzie robiące karierę naukową kobiety tuż po czterdziestce bardzo często porzucają dotychczasowe związki i wybierają lepiej zarabiających mężczyzn na wyższych stanowiskach – Moim zdaniem rozwody biorą się z tego, że kobiety wychodzą za mąż na początku kariery zawodowej. Potem szybko rozwijają się zawodowo, a wraz z tytułami przychodzą pieniądze, tymczasem ich mężowie pozostają wciąż w tym samym miejscu. W końcu okazuje się, że nie mają o czym rozmawiać – tłumaczy prof. Jędrzejko.

Do rozwodu najczęściej dochodzi w związkach, w których od samego początku istniał bardzo sztywny podział ról na typowo męskie i typowo kobiece. – Takim osobom trudniej jest zaakceptować sytuację odwrotną: gdy kobieta jest niezależna finansowo, a partner sobie nie radzi na rynku pracy. Z kolei tym, którzy do podziału obowiązków podchodzili bardziej na luzie, łatwiej jest zaakceptować zmianę ról – mówi dr Roszak.

Eksperci doradzają, że sposobem na złagodzenie skutków finansowej niezależności kobiet jest postawienie sobie wspólnego celu, np. zarabianie, żeby spłacić kredyt. To daje czas na zaakceptowanie nowej sytuacji i wypracowanie nowego podziału ról w rodzinie. – Gorzej jest jednak wtedy, gdy ten wspólny cel zostanie zrealizowany. Jeśli przez ten czas rodzina nie wypracuje nowych sposobów funkcjonowania, taki związek może się jednak zakończyć rozwodem – podsumowuje prof. Czapiński.

Jak zarabiają panie

W bankowości kobiety mogą czuć się dyskryminowane: w tej branży zarabiają przeciętnie o **2100 zł** mniej niż mężczyźni.

Mniejsze dysproporcje występują **w energetyce i ciepłownictwie** – tu różnice w płacach oscylują wokół **550 zł**.

Najmniejsze różnice w wynagrodzeniach występują w branżach, w których zarabia się słabo: **w kulturze, nauce i szkolnictwie wyższym**: wynoszą około **200 zł**.

Kobiety mają za to przewagę nad panami **w organizacjach pozarządowych**, gdzie zarabiają średnio o **200 zł** więcej.

źródło: Ogólnopolskie Badanie Wynagrodzeń portalu **wynagrodzenia.pl**

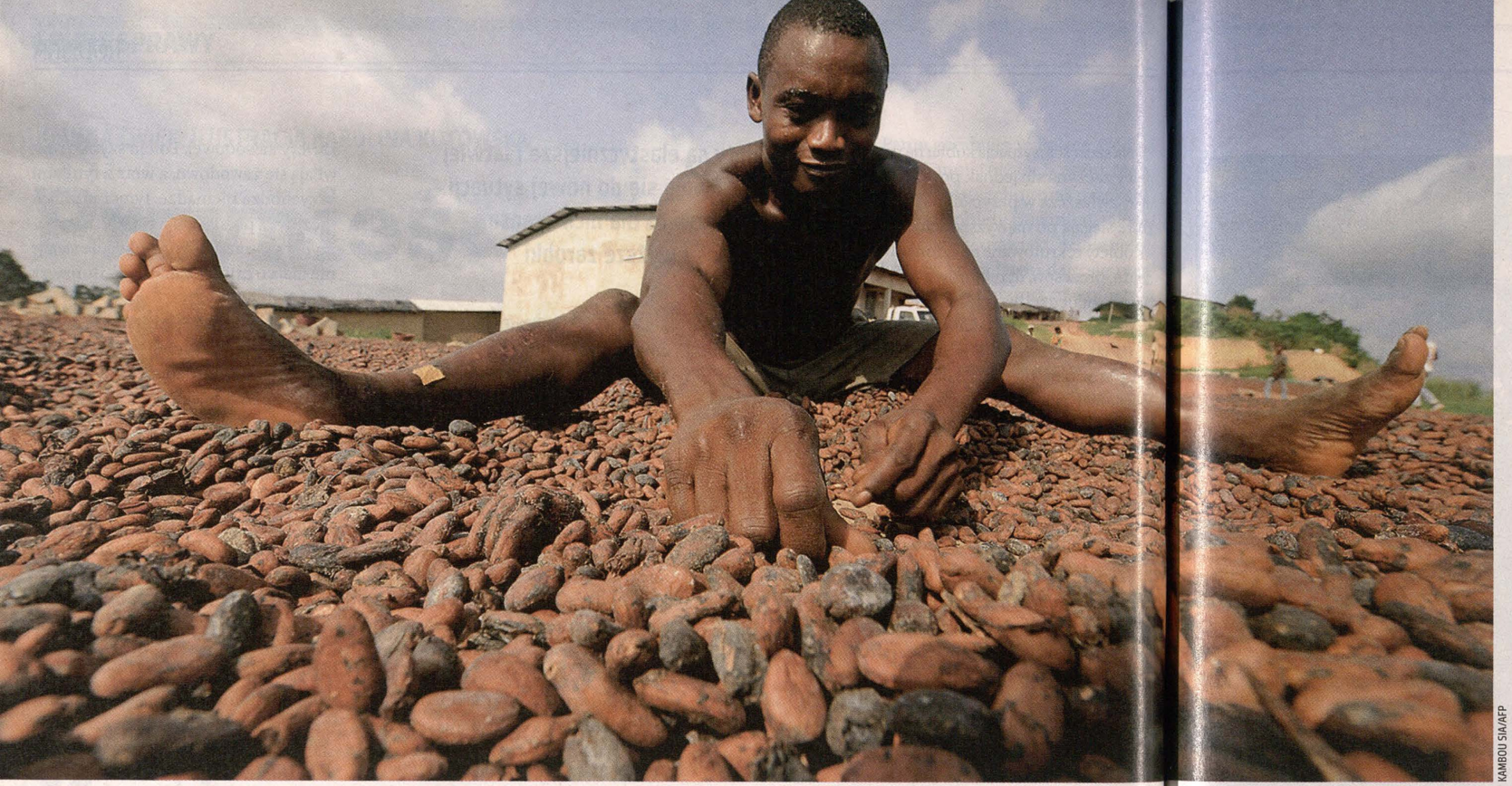

KAMBOU SIA/AFP

ANNA KOWALCZYK

Przeklęta czekolada

Idea sprawiedliwego handlu, tzw. fair trade, to według wielu plantatorów kakaowca mit stworzony na użytek europejskich konsumentów. Dla Wybrzeża Kości Słoniowej, największego producenta kakao na świecie, uprawa czarnego złota wciąż jest mało opłacalna. O tym, co naprawdę kryje się za słodką tabliczką, mówią „Przekrojowi" **Katarzyna Szeniawska i Błażej Popławski**, autorzy książki „Gorzka czekolada".

Czego Polacy mogą szukać na Wybrzeżu Kości Słoniowej? Kiedyś było gospodarczą potęgą, ale ostatnio nie jest o nim specjalnie głośno.

Błażej Popławski: Jest największym producentem kakao. Jeśli jemy czekoladę, możemy sądzić, że prawie na pewno zrobiono ją z tamtejszych ziaren.

Katarzyna Szeniawska: No i tam wszystko się splata. Na przykładzie kakao widać najważniejsze problemy globalnego Południa, których korzenie tkwią w czasach kolonialnych. Rząd ulegający wpływom dawnej metropolii (Francji) doprowadził do tego, że Wybrzeże Kości Słoniowej produkuje dziś głównie kakao i jest od niego mocno uzależnione. Do tego dochodzi kwestia relacji Afryki Zachodniej z Unią Europejską, która wspiera eksport niskoprzetworzonych surowców, szczególnie takich, które Europa lubi, ale utrudnia rozwój afrykańskiego przemysłu. No i pytanie o fair trade, ideę sprawiedliwego handlu. Na ile takie rozwiązania mogą cokolwiek zmienić.

B.P.: To też bardzo ciekawe społeczeństwo. W latach 60. i 70. Wybrzeże było „afrykańskim tygrysem gospodarczym", krajem, który rozwijał się w tempie Singapuru, Korei. I nagle ten dynamiczny wzrost się załamał. Bardzo radykalnie i dotkliwie dla mieszkańców. Przyczyny ściśle wiążą się z gospodarką kakaową, z modelem rozwojowym, który zostawili po sobie Francuzi. To ten model przekształcił Wybrzeże w monokulturę, jedną wielką plantację kakao. Mimo że ta plantacja na siebie zarabiała i nadal zarabia, to taką gospodarkę bardzo łatwo jest zdestabilizować. Żeby system działał sprawnie, musiał być oparty na pracy migrantów, ich napływ skończył się jednak konfliktem etnicznym. Pierwsza wojna iworyjska od początku XX wieku do wiosny 2011 r. to czas walki o władzę i sporu o definicję obywatelstwa, czyli także o prawo do ziemi i czerpanie profitów z gospodarki kakaowej.

Kakao jest jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem?

B.P.: Iworyjskie wojny domowe stanowiły przykład wojen surowcowych. Kakao jest bogactwem narodowym, kupowano za nie broń, a dostęp do rynków zbytu decydował o układzie władzy. Społeczeństwo iworyjskie jest bardzo podzielone. I to widać też w ich stosunku do kakao. Dla ułamka Iworyjczyków czekolada jest tylko „słodka", bo czerpią z niej profity. Dla plantatorów jest „słodko-gorzka", bo co prawda dzięki zyskom ze sprzedaży kakao ich dzieci mogą pójść do szkoły, a córki wyjść za mąż, ale te zyski są za małe. Świadomość, że kakao to „czarne złoto" jest powszechna, ale co najmniej równie powszechne jest przeświadczenie, że to także przekleństwo Wybrzeża Kości Słoniowej.

K.S.: Uprawa kakao jest delikatną sprawą. Przez swoją wrażliwość na klimat, przez nierówne rozmieszczenie upraw w kraju, przez uzależnienie od konsumpcji poza Afryką. Los Iworyjczyków zależy od zmiennych gustów mieszkańców globalnej Północy, bo w Afryce kakao właściwie się nie konsumuje. Zależy też od praktyk firm, które produkują czekoladę, a te są głównie w Europie i Stanach Zjednoczonych. Nie ma więc mowy o inwestycjach azjatyckich, które otwierają dla wielu krajów afrykańskich jakiś, choć często krytykowany, wybór polegający na tym, czy współpracować z kapitałem europejskim albo amerykańskim, czy może z katarskim albo chińskim. Plantatorzy kakao nie mają alternatywy. Na dodatek firm, którym sprzedają plony, jest dosłownie kilka. W warunkach oligopolu to one dyktują warunki i ceny.

Piszecie, że sytuacja, gdy plantator wdrapuje się na najwyższe drzewo w okolicy i na nowoczesnym smartfonie sprawdza ceny kakao na londyńskiej giełdzie, choć brzmi to surrealistycznie, zdarza się często. Nie jest więc bezradnym, nieuświadomionym, wyzyskiwanym przez Europejczyków rolnikiem. Co więc najbardziej hamuje emancypację gospodarczą Wybrzeża Kości Słoniowej?

K.S.: Trzeba pamiętać, że to kraj świeżo po wojnie domowej. Nikt tam nie ma oszczędności. Rozmawiałam z rolnikiem, który mieszka 500 metrów od największej spółdzielni w kraju działającej pod szyldem „fair trade", ale nie należy do niej. Nie ma żadnych oszczędności, a spółdzielnia nie płaci od razu. Najpierw zbiera ziarno od wszystkich członków, potem zawozi do portu, negocjuje cenę i wraca z pieniędzmi. To trwa 2–3 tygodnie. On nie może tyle czekać.

Inną barierą jest brak infrastruktury, drogi w fatalnym stanie. Gdy nie ma dobrych dróg, rosną koszty pośredników, którym płacą, oczywiście, rolnicy. UNCTAD (Konferencja Narodów Zjednoczonych ds. Handlu i Rozwoju) szacuje, że ze wszystkich producentów kakao na świecie rolnicy z Wybrzeża Kości Słoniowej dostają najmniejszy procent ceny rynkowej. Właśnie ze względu na te koszty. Brak dobrych dróg hamuje też rozwój sprawiedliwego handlu, bo nie wszyscy mogą dojechać do spółdzielni, w tym spółdzielni fair trade, które mieszczą się raczej w miasteczkach, a nie w wioskach.

B.P.: W naszym myśleniu o Afryce pokutuje stereotyp, że Afrykańczycy pozbawieni są zmysłu przedsiębiorczości. Ja uważam, że to jest raczej inna wrażliwość ekonomiczna. W spółdzielniach rolniczych drzemie olbrzymi potencjał, wynikający z ducha wspólnoty, komunitarianizmu, którego nam, europejskim indywidualistom brakuje. To jest inny typ przedsiębiorczości. Kolektywny. Dlatego wierzę, że tam też powstają kreatywne rozwiązania godzące tradycję z nowoczesnością. Choćby idea fair trade, oparta właśnie na takim duchu wspólnotowym.

W książce podważacie jednak bezkrytyczną wiarę w sens sprawiedliwego handlu: „Nie jest możliwe decydowanie o przyszłości rolników w sklepie, to pewne" – piszecie. Czyli fair trade to ściema?

K.S.: Dla mnie jako osoby, która od lat promuje sprawiedliwy handel, to było trudne odkrycie. Ale nie da się ukryć, że z fair trade'em na Wybrzeżu Kości Słoniowej są problemy. Po pierwsze, cena minimalna w sprawiedliwym handlu od lat jest poniżej ceny rynkowej. Po drugie, popularność sprawiedliwego handlu wśród plantatorów na razie bardziej im szkodzi, niż poma-

BŁAŻEJ POPŁAWSKI

Doktor historii, socjolog, autor wielu publikacji na temat współczesnych stosunków międzynarodowych w Afryce, członek Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego.

KATARZYNA SZENIAWSKA

Studiowała psychologię społeczną i afrykanistykę. Współzałożycielka i jedna z liderek stowarzyszenia Grupa eFTe Warszawa, promującego odpowiedzialną konsumpcję i sprawiedliwy handel. Trenerka i koordynatorka projektów z zakresu edukacji globalnej. Mieszka w Brukseli.

PHILIPPE DESMAZES/AFP

GEORGES GOBET/AFP

System fair trade najczęściej się iworyjskim plantatorom kakaowca nie opłaca, poza tym uprawa kakao utrwala monokulturę, a ta jest przekleństwem Wybrzeża Kości Słoniowej.

ga. Gdy byliśmy tam rok temu, istniało około 10 spółdzielni fair trade, teraz jest ich już ponad 20. Co z tego, skoro w 2010 r. wyprodukowano 100 tys. ton kakao w takich spółdzielniach, ale z tego tylko 35 proc. zostało sprzedane w ramach sprawiedliwego handlu. Na resztę nie było popytu. Gdyby było więcej firm produkujących fairtrade'ową czekoladę, miałoby to większy sens. Rolnicy na certyfikaty wydają mnóstwo pieniędzy, rezygnując z pestycydów, produkują mniej, a i samo prowadzenie spółdzielni kosztuje. Tymczasem za kakao płaci się im tyle samo.

B.P.: Fair trade to jedno z możliwych narzędzi deregulacji tego rynku, ale nie stanowi panaceum na wszystkie niedomagania tej gospodarki. Wprowadza twórczy zamęt, może zmienić pewne relacje społeczne, kulturowe, ale nie rozwiązuje problemu. Jadąc do Wybrzeża Kości Słoniowej, mieliśmy bardziej idealistyczne wyobrażenia. Okazało się, że owszem, te spółdzielnie działają, ale system fair trade'u ma wiele niedoskonałości. Głównie taką, że często się tym rolnikom nie opłaca. A skoro im się nie opłaca, nie będą tego robili. Proste. Poza tym certyfikat sprawiedliwego handlu dla kakao znów utrwala logikę eksportu nieprzetworzonego surowca, czyli monokulturę gospodarczą, a to właśnie ona jest przekleństwem Wybrzeża Kości Słoniowej.

Co więc musiałoby się zmienić, żeby naprawdę poprawiła się sytuacja iworyjskich plantatorów?

B.P.: Musieliby przestać być tylko plantatorami. To tak jak w Polsce pańszczyźnianej. Co z tego, że dzięki trójpolówce byliśmy potęgą w eksporcie zboża. W porównaniu z płodozmianem na małych poletkach w Niderlandach wydajność była znikoma. Oni przyjęli bardziej efektywny model gospodarowania. Iworyjczycy też muszą to zrobić. Muszą się rozwinąć inne sektory ekonomiki kraju. Choćby przetwórstwo kakao. I nawet próbuje się to robić, ale bez wielkich sukcesów. Iworyjska czekolada jest bezsmakowa.

Za tym muszą przyjść świadomość kultury komercyjnej, rozwój usług, a na początek zmiany w systemie edukacji, bo potrzeba osób, które te zmiany przeprowadzą. I dobrze, żeby to znów nie byli Francuzi.

I nawet uświadomiony, zatroskany klient naprawdę nic nie może zmienić? Co z głosowaniem za pomocą portfela?

K.S.: Uważam, że mimo wszystko lepiej kupować czekoladę z etykietą „fair trade". Nawet jeśli to na stałe nie zmienia sytuacji, to przynajmniej wiadomo, że nie pochodzi ona z najgorszego wyzysku. To, co też może zrobić każdy, to mądrze głosować. Dosłownie. Choćby na europarlamentarzystów. Wybierać takich, którzy znają się na współpracy rozwojowej i mają wizję wsparcia nie tylko dla Polski, ale też dla innych krajów. Bo liczy się też kształt umów handlowych między UE a Afryką Zachodnią i polityka migracyjna.

Kakao zniszczyło też środowisko naturalne Wybrzeża Kości Słoniowej. Tylko 6 proc. kraju to lasy tropikalne pod ochroną. Resztę wykarczowano.

K.S.: Nie byłoby tego problemu, gdyby cena kakao była lepsza i nie było takiej presji, by produkować więcej i szybciej. Gdyby kakao rosło tak, jak powinno, powoli, w cieniu, w zagajnikach między innymi roślinami. Wtedy ziemia zachowałaby równowagę. Żeby przyspieszyć wzrost, wycina się rośliny dookoła.

Wówczas kakao staje się bardziej podatne na szkodniki, potrzeba pestycydów, by zachować plon. Ziemia szybko więc jałowieje i trzeba karczować kolejne połacie pod uprawy.

Inną ciemną stroną gospodarki kakaowej na Wybrzeżu Kości Słoniowej jest praca nieletnich. Połowa iworyjskich dzieci pracuje, w tym jedna piąta przy uprawie kakao. A wy, o zgrozo, piszecie, że nie każda praca dzieci jest zła. Jest jakaś dobra?

K.S.: Jest lepsza i gorsza. Ta gorsza to prostytucja, praca przymusowa, praca przy działalności przestępczej i taka, która zagraża zdrowiu albo życiu. Wielu dzieci z Wybrzeża Kości Słoniowej dotyczy ten ostatni typ „złej pracy". Dość powszechnie, bo chodzi głównie o rozpylanie pestycydów i noszenie ciężkich ładunków. Ale to nie jest praca przymusowa. Większość dzieci pracuje w rodzinnych gospodarstwach, do których trafiają kampanie społeczne i które zaczynają je chronić. Trudno też powiedzieć, że cierpi na tym edukacja tych dzieci. Chodzą do szkoły prawie tak często jak niepracujące. Czyli rzadko, tylko co drugie. Iworyjscy rodzice doskonale zdają sobie sprawę z wartości edukacji. Nie spotkałam nikogo, kto by nie chciał, by jego dzieci skończyły szkołę, a najlepiej uniwersytet. Problemem jest jednak brak szkół.

Jest też gorsze oblicze pracy nieletnich w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Dotyczy pewnie, bo dokładną skalę trudno oszacować, kilkunastu tysięcy dzieci, które pracują w warunkach pracy przymusowej. To najczęściej emigranci z biedniejszej północy albo z krajów ościennych – Burkina Faso, Mali. One albo ich rodzice są wabieni kłamliwymi obietnicami dobrych zarobków na plantacjach kakao. Funkcjonuje też regularny handel dziećmi, a w skrajnych przypadkach porywanie ich z pogranicza. Chociaż Międzynarodowa Organizacja Pracy i Interpol próbują z tym walczyć, proceder trwa.

THOMAS NECKERMANN/EAST NEWS

Skąd polskie marki czekolady biorą kakao? Oczywiście z Wybrzeża Kości Słoniowej. Choć kiedyś Wedel planował uprawiać kakaowce na... Mazowszu.

Jaka część winy za taki chory model gospodarki kakaowej leży po stronie Francji i reszty Europy?

B.P.: Nie jest tak, że całą winą za niedorozwój pewnych regionów Afryki trzeba obarczać byłych kolonizatorów, ale z pewnością czasy kolonialne stworzyły model gospodarczy, który był namiętnie kopiowany przez Félixa Houphouëta-Boigny'ego, przez trzy dekady jego rządów. Gdyby za jego czasów doszło do dywersyfikacji gospodarki, do usamodzielnienia od Francji, losy tego kraju mogłyby się potoczyć inaczej. Np. w latach 70. na szelfie iworyjskim odkryto pokłady ropy i wiele sobie po nich obiecywano. Ale wszystkim opłacało się nie rozwijać wydobycia, celowo utrwalono system gospodarczy oparty na plantacjach kakao i kawy. Taka była polityka władz – skorumpowanych, ale też niesuwerennych. Wpływ Francji do dziś określa politykę tego kraju. Bez interwencji Paryża, Ouatara, obecny prezydent nie sprawowałby mandatu.

Jak oceniacie zaangażowanie wielkich koncernów czekoladowych w plan odbudowy i rozwoju Wybrzeża Kości Słoniowej? Naprawdę pomagają czy tylko uprawiają eko-PR?

B.P.: Pobudki są czysto PR-owe. Żeby zwiększyć sprzedaż, trzeba pokazać, że jest się uczciwym producentem. Może i te projekty są nieraz realizowane przez idealistów, ale pieniądze, które za nimi stoją, to ułamek w budżetach tych koncernów i mają one służyć głównie poprawie wizerunku. Warto jednak podkreślić, że z perspektywy plantatorów skutki są bardzo pozytywne.

K.S.: To może być rzadki przypadek sytuacji typu win-win. Dobrym przykładem jest rozdawanie sadzonek. Sady kakaowe się starzeją. Większość założono w latach 60. i 70., a kakaowce owocują efektywnie przez 30 lat. Potem zbiory stają się coraz mniejsze. Ludzie nie mają oszczędności, żeby wyciąć część drzewek, zainwestować w nowe, przez jakiś czas nie mieć owoców, dać nowym drzewkom wyrosnąć. I tu lukę wypełniają międzynarodowe koncerny, którym zależy na tym, żeby Iworyjczycy nadal produkowali jak najwięcej kakao. Bo wtedy cena pozostanie niska. Np. Nestlé ma program, w ramach którego rozdaje darmowe sadzonki. Tak było też z certyfikatem UTZ. Najpierw myślałam, że to typowy green-washing: koncerny wymyślają nowy certyfikat, który łatwiej zdobyć, a potem się chwalą, że są „eko". Ale oni szkolą rolników z metod produkcji, z zarządzania. Rozumieją, że kiedy to jest stabilny biznes dla rolników, dla nich to też jest opłacalne. To jest moim zdaniem w porządku.

Kiedy pisaliście książkę, Błażej mieszkał niedaleko fabryki Wedla, na warszawskiej Pradze. Pisze też o tradycjach polskiego przemysłu czekoladowego. Nasi producenci mają czyste sumienie?

B.P.: Po 1989 r. wyszli na światowe rynki, ale globalne koncerny też przejęły w części naszą produkcję. Dziś marki, które uważamy za polskie jeszcze od przedwojnia, nie należą już do Polaków. Niektórym to przeszkadza. Mnie nie. Skąd biorą kakao? Oczywiście również z Wybrzeża Kości Słoniowej. Nie bezpośrednio, ale przez giełdę w Londynie. Ten system jest racjonalny i się sprawdza. Choć kiedyś Wedel miał plan, żeby sprowadzać sadzonki kakaowca i uprawiać je na Mazowszu (śmiech).

Po tym wszystkim, co zobaczyliście, co wiecie, smakuje wam jeszcze czekolada?

K.S.: Pewnie! Mieszkam w Belgii, tu czekolada jest wspaniała! A poza tym uważam, że na spadku popytu na czekoladę ucierpieliby głównie rolnicy uprawiający kakao.

B.P.: Od zawsze lubię gorzką czekoladę. I nie ma to związku z tytułem książki.

MICHAŁ ZYGMUNT, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Pokłosie Westerplatte

W tym tygodniu do kin wchodzi długo oczekiwany film Pawła Chochlewa „Tajemnica Westerplatte". Obraz kontrowersyjny, bo legendarną walkę obrońców Wybrzeża pokazuje w sposób ludzki, a nie koturnowy. Czy to będzie „Pokłosie" 2013 r., czyli najbardziej dyskutowane dzieło sezonu? Nie wiadomo, jednak premiera ta jest dobrym pretekstem do historyczno-filmowych fantazji. Specjalnie dla nas pisarz Michał Zygmunt stworzył **trzy scenariusze filmowe**, które są tak niepoprawne politycznie, że raczej nie mają szans na realizację w Polsce.

My, Polacy, jesteśmy poślubieni historii. Nie lubimy jej w szkole, ale kiedy już dorośniemy, toksyczny związek łączy nas na zawsze. Celebrujemy straszliwe klęski, z nieskrywaną fascynacją marząc o ofierze poległych powstańców. W naszych wyobrażeniach nie mają oni ciał; składają się z samej duszy pulsującej krwistą czerwienią. Polskie kino jest pełne dowodów tej miłości. Wyobraźnię całych pokoleń ukształtowały znakomite historyczne seriale i najsłynniejsze dzieła polskiej szkoły filmowej. „Popiół i diament", „Kanał", czy „Eroica" stały na najwyższym poziomie artystycznym, niepokorne wobec politycznych oczekiwań. Artystyczna odwaga skończyła się niestety po upadku PRL. Polski widz mógł liczyć głównie na kiepskie realizacje lektur, utopione w bogoojczyźnianym sosie produkcyjniaki o bohaterach bez skazy i zmazy i oczywiste kurioza („1920. Bitwa Warszawska", „Bitwa pod Wiedniem"). Dzieła udane, jak „Katyń" czy „W ciemności", dotykały tematów bezpiecznych, o które nie sposób było się kłócić.

„Tajemnica Westerplatte" wreszcie wchodzi do kin, po latach mozolnego gromadzenia funduszy i zmagania się z idiotyczną kampanią propagandową wymierzoną w projekt.

Przez lata wydawało się, że filmu mówiącego historyczną prawdę, za to niepoprawnego politycznie, zrobić się w Polsce po prostu nie da. Z realizacją „Pokłosia" przez wiele lat miał problem Władysław Pasikowski, który w tym kontekście wprost używał pojęcia „polityczna cenzura". Podobny los był udziałem projektu Pawła Chochlewa „Tajemnica Westerplatte", krytykowanego przez niektóre media za umieszczenie w scenariuszu zdarzeń tak „gorszących" jak kąpiel kilku wojaków w stroju Adama, libacja alkoholowa czy oddawanie moczu na portret nieudolnego i tchórzliwego wodza, jakim okazał się marszałek Rydz-Śmigły. O nieformalną cenzurę pytałem wówczas kilku ekspertów PISF odpowiedzialnych za ocenę scenariuszy. Przyznawali anonimowo, że do Instytutu odważne projekty po prostu nie wpływają, jakby scenarzyści i producenci dobrze wiedzieli, że na pewne tematy publicznej kasy nikt nie da.

„Tajemnica Westerplatte" wreszcie wchodzi do kin, po latach mozolnego gromadzenia funduszy i zmagania się z idiotyczną kampanią propagandową wymierzoną w projekt. Efekt? Szału nie ma, ale wstydu też nie. Bogoojczyźniany patos, poza kilkoma scenami, utrzymany jest na znośnym poziomie, akcja dynamicznie mknie naprzód, a spora reprezentacja gwiazd i gwiazdeczek rodzimego ekranu gra naprawdę nieźle. Słabiutkie są za to efekty specjalne (eskadra stukasów miast przerażenia budzi tylko śmiech) i jedna z najważniejszych ról. Robert Żołędziewski gra kapitana Dąbrowskiego tak, że podobnego drewna Polska nie widziała nawet w najgorszych sezonach Grzegorza Rasiaka.

Na zawsze jednak zapamiętamy odwagę reżysera Pawła Chochlewa. Niewykluczone, że z powodu kilku scen stanie się ulubionym chłopcem do bicia dla prawicowych publicystów. Uwaga, będą spojlery: oto kilku żołnierzy nie wytrzymuje napięcia i dezerteruje, w obawie przed sądem wojennym wdają się w strzelaninę z próbującymi ich ująć kolegami. Skończą na plaży, przed plutonem egzekucyjnym. Oto polski podoficer, po dłuższym okresie jawnej niechęci, wszczyna bójkę ze swoim żydowskim kolegą. Reżyserowi nie starczyło odwagi, by nadać tej sytuacji

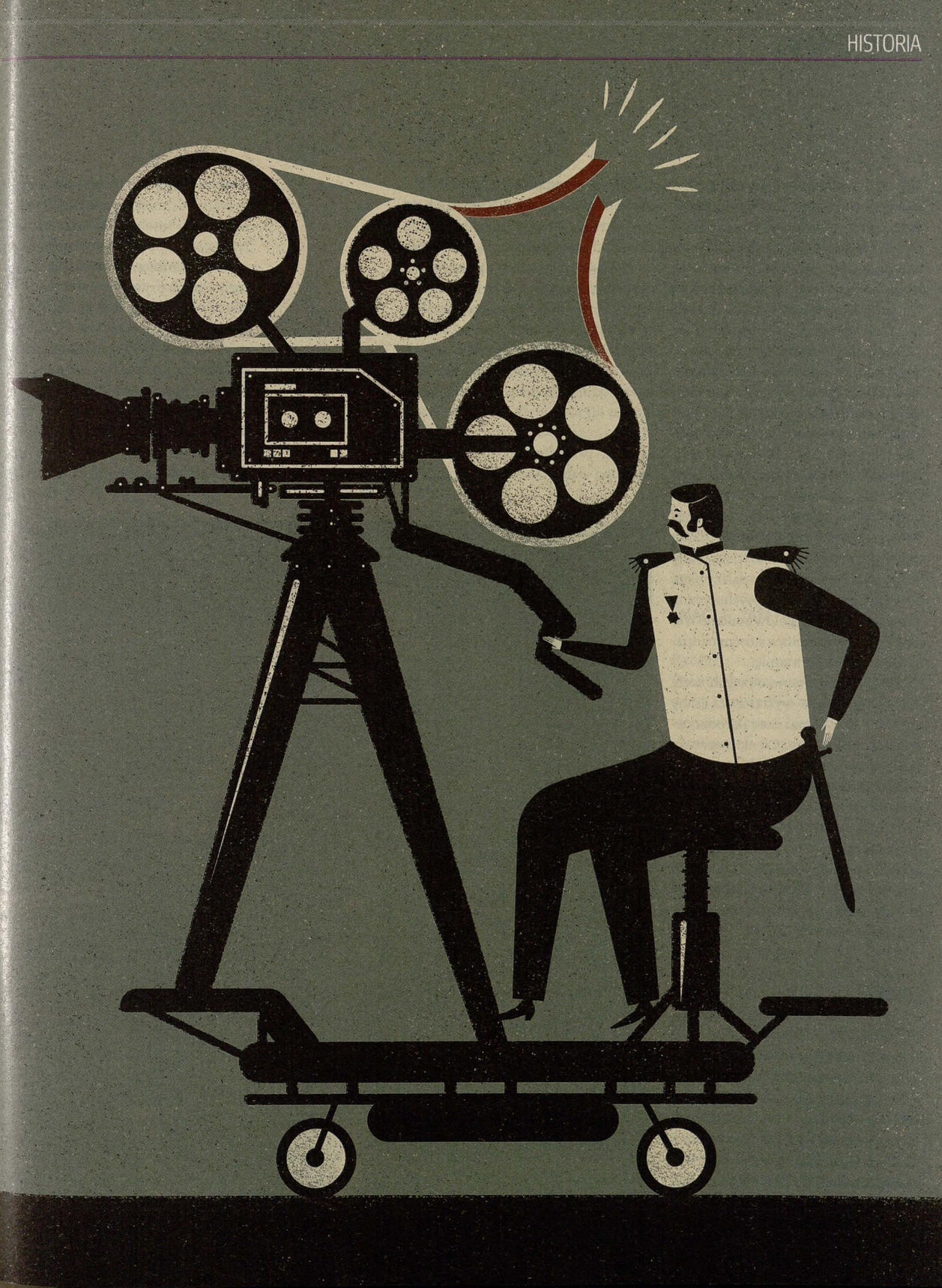

szerszy kontekst, ale dla każdego, kto zna sytuację polskich Żydów tuż przed drugą wojną światową, antysemickie podłoże tego ataku będzie jasne. Oto pijany podoficer, załamany bezsensowną, krwawą obroną, obserwujący okrutną śmierć kolejnych swoich podkomendnych, oddaje mocz na propagandowy plakat sanacyjnej armii, okazując przy tym pogardę swemu dowódcy domagającemu się krwawej walki do końca. To obraz ostatecznego upadku złudzeń o światowej potędze polskiego wojska. Oto major Sucharski, wbrew powszechnie obowiązującej, bohaterskiej legendzie, próbuje skapitulować już drugiego dnia obrony, co zostaje uniemożliwione przez bunt oficerów. Odtąd, nękany atakami padaczki, pogrążony w majakach, odsunie się na dalszy plan, a dowodzenie przejmie psychotyczny kapitan Dąbrowski, gotów zmienić Westerplatte w wypełnione stosem nadpalonych trupów Termopile.

To tylko kilka wywrotowych scen. Ale to musi nam wystarczyć. Filmy w pełni odważne, na miarę „Urodzonego 4 lipca", „JFK" czy „Cienkiej czerwonej linii" raczej w Polsce nie powstaną. Polityka wciąż wygrywa tu ze sztuką. Prawda wciąż przegrywa z polityczną cenzurą. Oto trzy pomysły na filmy opowiadające o pasjonujących epizodach polskiej historii. Będziemy je sobie musieli odgrywać w wyobraźni; odważny producent raczej się nie znajdzie.

„JANEK"

O czym?
O Janku Krasickim, legendarnym bohaterze PPR i Gwardii Ludowej, czczonym w czasach PRL. I o polskich komunistach lat 30. i 40., wówczas zamykanych w więzieniach, wywożonych do obozów i zabijanych. O co walczyli? Co naprawdę myśleli? Czy rzeczywiście byli tylko, jak się ich dziś przedstawia, krwawymi zbrodniarzami?

Dlaczego nie powstanie?
Za komuny o PPR i GL można było mówić tylko w tonie hagiograficznym. Z kolei dzisiejsza cenzura dopuszcza wyłącznie prostackie uproszczenia spod znaku „stalinowskich zbrodniarzy". Film próbujący wyważyć racje stojące za polskimi komunistami, zrozumieć ich, pokazać jako pełnokrwistych bohaterów byłby ciekawy i potrzebny. Wszystkim poza decydentami z ministerstw i IPN-u.

Rok 1930. Jedenastoletni Janek wchodzi w najpiękniejszy okres dzieciństwa. Żyje beztrosko, w uporządkowanym, mieszczańskim świecie sanacyjnej inteligencji. Przyjaźni się tylko z sobie podobnymi dziećmi z zamożnych domów, spotykanymi na nieformalnych prywatnych lekcjach. Jesienią trafia do publicznego gimnazjum. Po raz pierwszy spotyka się tam ze skrajną biedą. Elegancko ubranych, dobrze przygotowanych do nauki uczniów jest niewielu. W szkole dominują dzieci ubogie, obdarte, głodne. Przejęty tym chłopak zaprzyjaźnia się z barwną, komunizującą grupą, złożoną tak ze szkolnej biedoty, jak

i snobującej się na leninizm bananowej młodzieży.

Koniec lat 30. Warszawa. Wyjęty spod policyjnej jurysdykcji Uniwersytet jest polem bitwy narodowych bojówek z lewicą i mniejszościami. Pewnego dnia Janek widzi grupę falangistów tnących żyletkami twarz żydowskiej koleżanki. Wdaje się z nimi w bijatykę, w wyniku której zostaje wyrzucony ze studiów. Kiedy odwiedza ranną w szpitalu, poznaje jej przyjaciółkę, również Żydówkę, Hankę Sawicką. Młodzi zakochują się w sobie. Krasicki – postrach oenerowców – imponuje Hance bezczelnością i brawurą. Kocha w nim też dobre serce, widoczne w szczerym zaangażowaniu na rzecz ludzi żyjących w nędzy niewyobrażalnej dla zamożnych, stołecznych mieszczan.

Wybucha wojna. Ranny Janek ucieka z rozbitego oddziału artylerii na sowiecką stronę granicy. Wstępuje do Komsomołu, zostaje szefem propagandy. Zdobywa nowych sympatyków, pomaga też sowieckim władzom w sporządzaniu list więźniów politycznych do wywózki na Sybir. Czasem odczuwa wyrzuty sumienia, ale wtedy przypomina sobie warszawskich panów z pogardą wymijających tłumy żebraków. Poznaje Nikitę Chruszczowa, występuje w filmach propagandowych; staje się młodocianym celebrytą. Ot, współczesny pracownik korpo, starający się wycisnąć z systemu tyle, ile możliwe. Brak mu tylko miłości, marzy o Hance, do której – ze względów konspiracyjnych – nie może nawet napisać.

Maj 1942 r. Krasicki ląduje ze spadochronem w lasach pod Warszawą. Od razu podejmuje zadania najważniejsze – kieruje partyjną bojówką szykującą operacje zbrojne przeciw Niemcom, jest też szefem łączności KC PPR z Moskwą. Pracuje ciężko, ryzykuje życie, jedyną ulgę znajduje w ramionach Hanki i w przyjaźni ze swym mentorem Bolesławem Mołojcem, komunistyczną legendą, dowódcą dąbrowszczaków w hiszpańskiej wojnie domowej.

Teraz czas na sceny akcji: w szybkim montażu walki z udziałem PPR. Wiązki granatów wpadają przez strzaskane okna do lokali „nur für Deutsche", ranią w eksplozjach dziesiątki folksdojczów i żołnierzy. Potężny wybuch niszczy drukarnię gadzinowego „Nowego Kuriera". Grupa komunistów, złożona niemal wyłącznie z późniejszych filarów rządu PRL, wdziera się do Komunalnej Kasy Oszczędności i w świetle dnia kradnie ponad 1 000 000 zł. Obywa się prawie bez ofiar. Tej nocy Janek i Hanka kochają się namiętnie w jego pokoju na dywanie pokrytym grubą warstwą banknotów.

Teraz czas na sceny akcji: w szybkim montażu walki z udziałem PPR. Wiązki granatów wpadają przez strzaskane okna do lokali „nur für Deutsche", ranią w eksplozjach dziesiątki folksdojczów i żołnierzy.

Zwrot akcji. W ulicznej strzelaninie ginie szef PPR Marceli Nowotko. Towarzyszący mu Mołojec ucieka przed napastnikami. Szybko i bez kontaktu z Moskwą ogłasza się następcą Nowotki, co budzi podejrzenia towarzyszy. Uznają, że to on jest zabójcą, i powierzają Krasickiemu wykonanie wyroku. Wstrząsająca scena: poruszony Krasicki pod pretekstem przekazania ważnej paczki zwabia przyjaciela do zacisznej uliczki na Starówce i ze łzami w oczach zabija strzałem z pistoletu.

Marzec roku 1943. Na ulicy Miodowej Hanka zostaje wraz z dwoma wysokiej rangi towarzyszami ostrzelana przez Niemców. Ciężko ranna, umiera wkrótce na Pawiaku. Krasicki jest kompletnie załamany. Opuszcza go wiara w zwycięstwo. Dostrzega, że w GL i w Partii coraz więcej jest zwykłych bandytów przyciągniętych wizją wojennych łupów, ogarniętych żądzą zabijania i zysku. Obserwuje płonące getto, próbuje pomóc żydowskiej rodzinie Hanki, jest jednak bezsilny. Najbliższym przyjaciołom zwierza się z chęci wycofania z działalności.

Wrzesień 1943 r. Janek wraca do domu. Nagle drogę zajeżdża mu niemieckie auto. Gestapowcy pakują go do środka i pędzą w stronę Pawiaka. Janek odpycha jednego z nich i wyskakuje z auta, turla się po asfalcie i rzuca do ucieczki. Po chwili ścina go z nóg seria strzałów. Leżąc w kałuży krwi, podnosi głowę i patrzy na przerażonych przechodniów. Twarz jednej z kobiet, patrzącej na niego z ciepłym uśmiechem, jest twarzą Hanki.

„NAGLE, TAMTEJ WIOSNY"

O czym?
O zamachu majowym, jednej z najbardziej krwawych bratobójczych walk w nowoczesnej historii Polski, rozgrzeszanych przez współczesną, zafascynowaną Piłsudskim historiografię. Narracja prowadzona z punktu widzenia dwóch przyjaciół, zrządzeniem losu umiejscowionych po przeciwnych stronach barykady.

Dlaczego nie powstanie?
Marszałek Piłsudski otoczony jest we współczesnej Polsce bezkrytycznym kultem. Jego dyktatorskie rządy po roku 1926, a także odpowiedzialność za prawie 500 ofiar śmiertelnych i niemal 1000 rannych w przewrocie majowym nie podlegają poważnej krytyce. Wszelkie próby jej podjęcia spotykają się z agresywną reakcją nowej cenzury.

Film rozpoczyna się od serii ujęć archiwalnych lub stylizowanych na archiwalne. Pierwsza połowa lat 20. Wiele miast i miasteczek Polski ogarniętych jest falami strajków, starć z wojskiem i policją. Protestujący przeciw powszechnej

nędzy mieszkańcy Krakowa, Stryja, Włocławka, Kalisza, Lublina i innych miast są brutalnie pacyfikowani przez władze. Ginie więcej ludzi niż w czasie masakry w kopalni Wujek czy ostrzału stacji Stocznia w Gdyni w roku 1970.

Dwójka przyjaciół z jednej miejscowości, Bartek i Janek, zostaje powołanych do odbycia służby wojskowej w garnizonie warszawskim. Początkowo są przerażeni koszarowym drylem, czują się nieswojo na ulicach największej polskiej metropolii. Wojskowa „fala" szybko jednak mija i przekształca się w żołdacką zażyłość. Obce miasto staje się coraz bardziej swojskie, zwłaszcza jego kluby kabaretowe i lupanary, gdzie chłopcy poznają uroki stołecznego życia nocnego. Dominują wątki romansowe, a także dość komediowa konieczność łączenia słodkiego, lekkiego życia z obowiązującym w ówczesnej armii patriotycznym zadęciem.

Do nagłego zwrotu akcji dochodzi pewnego majowego poranka. Żołnierze zostają wyrwani z łóżek, otrzymują broń i zbierają się na dziedzińcu. Młody oficer wygłasza płomienne, propagandowe przemówienie o rozkładzie państwa, zdradzie oczekiwań społecznych i całkowitym rozprzężeniu panującym wśród zepsutych elit. Ratunkiem może być tylko marszałek Piłsudski. Oficer wydaje zgromadzonym rozkaz zabezpieczenia najbliższego mostu na Wiśle, by umożliwić wojskom wiernym marszałkowi wkroczenie do prawobrzeżnej Warszawy. Na sali poruszenie, żołnierze nie wierzą w to, co słyszą. Na dziedziniec wbiega dowódca garnizonu z pistoletem w dłoni, próbuje zmusić oficera do posłuszeństwa; ten bez wahania strzela komendantowi w głowę. Między poszczególnymi grupami żołnierzy dochodzi do szamotaniny, wybucha bezładna strzelanina. Część wojaków, między którymi jest Bartek, wycofuje się na most i przyłącza do oddziałów marszałka. Właściwie przypadkiem, tak się po prostu złożyło. Janek pozostaje w garnizonie, skierowany do obrony Belwederu.

Bartek obserwuje z bliska spotkanie Piłsudskiego z prezydentem Wojciechowskim na moście Kierbedzia. Piłsudski traktuje prezydenta z wyższością, stawia zdecydowane żądania, zachowuje się, jakby już rządził. Wojciechowski, z godnością i powściągliwością intelektualisty, odmawia dalszej rozmowy i odjeżdża. Żołnierze dostają rozkaz otwarcia ognia. Bartek strzela do dawnych kolegów, którzy szybko się wycofują. Kilometr dalej żołnierze przemykają między tłumami gapiów obserwujących walki z radością, jakby byli w cyrku, skandujących nazwisko marszałka. Chłopak przerażony bratobójczym rozlewem krwi nie może zrozumieć tego, co się dzieje. Po chwili tuż obok niego wybucha pocisk artyleryjski i rozrywa grupę cywilów na strzępy. Bartek jest w szoku, słyszy tylko miarowy brzęk uszkodzonych błon bębenkowych. Otumaniony idzie przed siebie, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, mijając ciała żołnierzy i cywilów, krzyczących rannych, budynki dymiące od zniszczeń, pogrążając się w halucynacjach. Jego spacer przez rozdarte wojną domową miasto przypomina wędrówkę duszy bohatera „Wkraczając w pustkę". Na końcu tej drogi będzie kilkanaście ciał obrońców jednego z budynków. Pled nakrywający jedno z nich osunie się i ukaże twarz Janka. Bartek zapragnie podejść do przyjaciela, ale siły go opuszczą; będzie siedział na murku, obserwując odjeżdżający wóz z zabitymi.

Film kończy się planszą informującą o tym, że 15 maja 1926 r. pod karabinowym ogniem ostatecznie upadła polska parlamentarna demokracja, zastąpiona przez autorytarne rządy sanacji.

ADAM KOZAK/AGENCJA GAZETA

MICHAŁ ZYGMUNT

Pisarz, dziennikarz, aktywista. Autor m.in powieści „New Romantic" oraz „Lata walk ulicznych".

„BOHATERKA KLASY PRACUJĄCEJ"

O czym?

O bohaterze „Solidarności", który zmienił płeć i stał się pariasem otoczonym pogardą dawnych kolegów. I o kobietach „Solidarności" – żonach związkowych działaczy, bez poświęcenia których nie byłoby żadnej opozycji.

Dlaczego nie powstanie?

Szef Instytutu Teatralnego Maciej Nowak powiedział w jednym z wywiadów, że polskie kino jest „chujem robione". Męskie, skupione na facetach, ignorujące perspektywę kobiecą i problem inności. O transseksualnym bohaterze „Solidarności" opowiedział teatr w dramacie Julii Holewińskiej, film dokumentalny własnym sumptem nakręciła Magda Mosiewicz. Teatr i dokument to jednak nisze. Są bardziej progresywne niż fabuła, bo interesują się nimi tylko wykształcone elity. Dużych pieniędzy na masowy film pokazujący inność w łonie opozycji, oddający głos partnerkom działaczy, których poświęcenie było dotąd marginalizowane, nie wyłoży nikt.

Czasy współczesne. Puste pole, pośrodku niedokończony dom, ledwie cztery betonowe ściany kryte folią. W środku ubogie mieszkanie. Tylko najpotrzebniejsze sprzęty. Wysoka, postawna kobieta w peruce i grubym swetrze zmywa naczynia w misce wody. Z jej ust unosi się para. Na śnieżącym ekranie starego, jeszcze radzieckiego telewizora relacja z balu wydanego przez parę prezydencką. Dawni bohaterowie „Solidarności" piją szampana z niegdysiejszymi wrogami z PZPR. Panowie w smokingach, panie w eleganckich kreacjach. Kobieta patrzy w ekran jakby nieobecnym wzrokiem.

Retrospekcja: rok 1981. Tłumy gromadzą się wokół budynku obwieszonego flagami „Solidarności". Na dachu lądują milicyjne helikoptery, wyskakują z nich umundurowani zomowcy. Marek modli się w małym pokoju wewnątrz budynku, patrząc na trzymany w dłoniach prawosławny krzyżyk tym samym wzrokiem, którym kobieta z otwarcia filmu obserwowała telewizor. Po chwili wybiega na korytarz i bez wahania wdaje się w bójkę z milicjantami, potężnymi ciosami pięści powala kilku na ziemię, po czym rzuca się do ucieczki. Na korytarzach budynku trwa regularna bitwa.

Odwaga opuszcza Marka w rodzinnym domu; jej miejsce zastępuje wyrafinowana gra. Bohater „Solidarności" odgrywa pożądanie do żony, po każdym seksie nienaturalnie długo myjąc ręce. Gdy zostaje sam w domu, machinalnie wyjmuje koszulę ze spodni i obciąga ją najniżej, jak się da, jakby pozorował noszenie sukienki. Tylko w łazience czuje się nieco pewniej. Gdy tylko zamknie drzwi, wpatruje się w lustro, wyobrażając sobie własną twarz, smuklejącą nagle, łagodniejącą, niepodkreśloną jabłkiem Adama. Dotyka jedwabistego materiału kolorowego szlafroka żony.

Grudniowy poranek. Do mieszkania wdzierają się milicjanci. Marek jest początkowo przerażony, ale huk zasuwy więziennej celi kojarzy mu się z zamknięciem w domowej łazience. Znów wraca do niego odwaga. Brutalnie przesłuchiwany nie zdradza nikogo. Tymczasem film nagle zmienia punkt ciężkości. Przez kolejnych kilkadziesiąt minut nie widzimy bohaterów „Solidarności", oglądamy za to ludzi, bez których żadnej opozycji by nie było: ich żony.

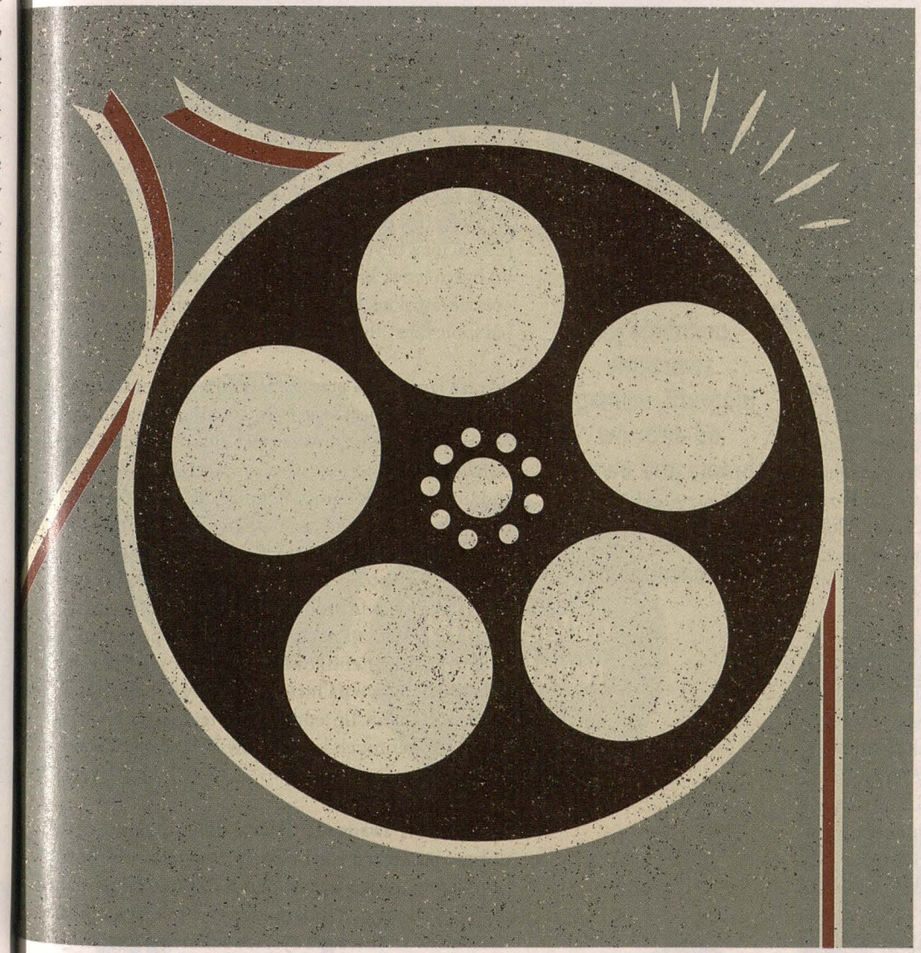

Bez mężów siedzących w więzieniu zostały same. Straciły źródło emocjonalnej bliskości, materialne wsparcie, seks. Muszą zarabiać same, same zajmować się dziećmi, polować na limitowaną żywność i podstawowe artykuły. Żona Marka organizuje koleżeńską samopomoc. Po kilku miesiącach w jej życiu pojawia się mężczyzna. Żaden agent SB, zwykły sąsiad. Pod wpływem namiętności, porównując ją z małżeńskimi doznaniami, kobieta uświadamia sobie odsuwaną latami prawdę o tożsamości Marka. Rozstają się zaraz po jego wyjściu z więzienia. On nie protestuje, jakby się tego spodziewał. Wkrótce potem wyjeżdża za granicę.

Lato 1989 r. Powstaje pierwszy niekomunistyczny rząd PRL. Koledzy z „Solidarności" czekają na Marka w sejmowej restauracji. Chcą zaproponować dawnemu bohaterowi, od lat mieszkającemu w Kanadzie, stanowisko wiceministra. Kiedy do stolika podchodzi wysoka, postawna kobieta, zrazu nie wiedzą, o co chodzi. Kiedy Ewa tłumaczy, kim jest, jeden z dawnych kolegów wpada w szał, drugi wychodzi bez słowa, z wyrazem przerażenia na twarzy. Trzeci przeprasza i prowadzi ją do wyjścia; zapewnia, że wkrótce się skontaktują. Nie kontaktują się nigdy.

Czasy współczesne. Ewa przychodzi do pracy. Jest sprzątaczką w biurze. Zatrzymuje ją dozorca. „Proszę zaczekać, ktoś tam jeszcze jest. Szef nie życzy sobie, żeby przebywała pani z pracownikami". Biuro pustoszeje, Ewa pracuje zawzięcie, zaciskając zęby; kamera pokazuje jej zaszklone łzami oczy. Kobieta spogląda na zegarek. Nie chce się spóźnić. Wybiega z pracy, wskakuje do tramwaju. Wysiada pod Pałacem Kultury, gdzie zbiera się kolorowy tłum. To doroczna Manifa z okazji Dnia Kobiet. Po drugiej stronie ulicy oddzielony kordonem policji tłum skinheadów skanduje obraźliwe hasła. Ewa się uśmiecha. Znów jest w swoim żywiole, znów jest silna jak kiedyś. Ciągle wierzy w szczęśliwe zakończenia.

Mariusz Ziomecki

Knebel po jasnej stronie mocy

FRANCISZEK MAZUR

Dobre dziennikarstwo, podobnie jak tworzenie biografii, wymaga od autorów brania pod uwagę wszystkich faktów, które formatują ludzi.

I znów mamy małą, śliczną jatkę w mediach – poszło o „resortowe dzieci". Tzw. niepokorni dziennikarze kombinują, że może to przez wadliwe wychowanie w żydowskich rodzinach komunistycznych tylu ludzi mediów bezczelnie zaprzecza, że w Smoleńsku był zamach, a CBA Kamińskiego wzorowo służyło Polsce.

Padło na kolegów Marcina Mellera, Andrzeja Morozowskiego i Konstantego Geberta, którym oczywiście współczuję, bo niezręcznie jest tłumaczyć się za własnych starych – szczególnie gdy oskarżycielami są takie moralne i profesjonalne tuzy, jak redaktorzy Kania i Trotyl. Muszę też przyznać, że uśmiałem się, czytając, jak tato Kostka z radzieckiej inspiracji obalał kapitalizm w Ameryce. Znając z grubsza historię przemysłu w Michigan i to, co z robotnikami wyrabiali np. bojówkarze Forda, aż tak bardzo się tow. Bolesławowi Gebertowi nie dziwię... I nie byłoby sensu ciągnąć tematu, gdyby nie to, że w procesie dawania odporu lustratorom ci teoretycznie po jasnej stronie mocy lansują pogląd kuriozalny, dla polskiego życia politycznego niezdrowy. A dla kultury wręcz katastrofalny.

Oto on: nie należy być wścibskim, opisując ludzi, również tych na świeczniku. Nie wolno „lustrować" niczyich przodków. Rodziców w szczególności. Kulturalny człowiek nie interesuje się też życiem prywatnym innych, szczególnie – och! – miłosnym. „Nie wypada" pisać o romansach i zdradach małżeńskich (bo to może sprawić przykrość żonie, wdowie albo dzieciom), o orientacji seksualnej (po co?) czy o takich słabostkach, jak alkoholizm lub np. tyranizowanie bliskich. Nikomu nic do tego, kto w jakim środowisku i wśród jakich wartości się wychowywał. Każdy przecież odpowiada za siebie...

Moim zdaniem to brednie. Rzućcie okiem, jak pisze choćby Timothy Snyder, obsypany wszystkimi możliwymi honorami (mimo młodego wieku) amerykański historyk i biograf, wyspecjalizowany w historii naszej części Europy. Tak już na wstępie charakteryzuje on bohatera mojej ulubionej książki, „Czerwony Książę":

„Wilhelm von Habsburg nosił mundur austriackiego oficera, galowy dworski strój habsburskiego arcyksięcia, prosty garnitur uchodźcy w Paryżu, dekoracyjny Order Złotego Runa oraz, całkiem często, damską sukienkę. Wprawnie władał szablą, pistoletem, sterem i kijem golfowym; brał w ramiona kobiety z konieczności i mężczyzn dla rozkoszy. Posługiwał się włoskim – językiem swej matki arcyksiężnej, niemieckim arcyksięcia ojca, angielskim przyjaciół z brytyjskiej rodziny królewskiej, polskim, bo był to język kraju, którym miał władać z woli ojca, oraz ukraińskim, bo były to ziemie kraju, który upodobał sobie sam" (tłum. moje).

Od razu rzuca się w oczy, że ten autor świetnie składa słówka, ale nie jest kulturalny według naszej miarki. No, groza: za nic ma prywatność, dobra osobiste swego bohatera i uczucia jego licznej przecież, wciąż żyjącej, rodziny. Wilhelm von Habsburg, na Ukrainie zwany Czerwonym Księciem, zginął zamęczony w kijowskim więzieniu NKWD, tymczasem biograf wyciąga mu TAKIE rzeczy. Autor rekonstruuje z naukową precyzją, jak Habsburgowie próbowali utrzymać swoją pozycję w epoce eksplozji nacjonalizmów na początku XX wieku, każe czytelnikowi zastanawiać się, jak wyglądałaby alternatywna historia Europy Środkowej pod ich panowaniem. Ile jednak jest w tej książce krwistego mięcha! Pikantnych szczegółów, zerkania pod kołdry, złośliwości...

Nie dajmy się zwariować. Dobre dziennikarstwo, podobnie jak tworzenie biografii, wymaga od autorów brania pod uwagę wszystkich faktów, które formatują ludzi. Dlatego w biografiach tyle miejsca zajmuje dzieciństwo i atmosfera życia rodzinnego. To, kim byli, w co wierzyli i co robili rodzice, jest ważne – choćby to się cholernie nie podobało moim przyjaciołom z „Wyborczej". Ale to tylko jeden z elementów układanki. I wcale nie determinuje, kim będą i co będą robiły dzieci. Ich wybory życiowe często idą w kierunku dokładnie przeciwnym.

To oczywista oczywistość. Tak jak to, że otwarte dyskutowanie o kłopotliwych faktach z przeszłości świadczy dobrze o mediach i o zdrowiu publicznej debaty. Nawet jeśli niektórzy są dociekliwi z niskich pobudek.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

Knowhow i sprawdzona metodologia

Bloomberg Businessweek

Polska

Biznes i gospodarka świata

Biznesplan na tydzień

Najważniejszy dla nas jest rynek polski

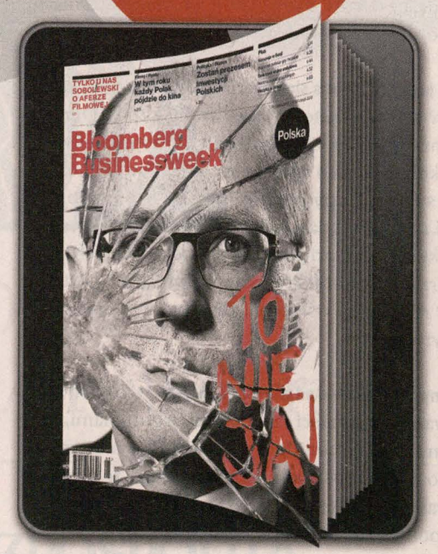

Bloomberg Businessweek Polska

7 dni na biznes

W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.

Grzegorz Lewandowski

Besserwisser warszawski

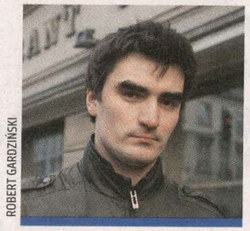
ROBERT GARDZIŃSKI

Wycięto 300 drzew w Ogrodzie Krasińskich? Rzeź. Usuwają Przemka Paska i barkę Herbatnik z Portu Czerniakowskiego? Skandal. Likwidują osiedle domków fińskich? Afera. Projekty ustaw o związkach partnerskich utrącone przez kolegów Gowina? Pogwałcona konstytucja.

Jestem fanem aktywności obywatelskiej i miłośnikiem wszystkich, którzy po pracy albo coraz częściej w jej ramach zajmują się, przepraszam za sformułowanie, dobrem wspólnym. Ilość pozytywnej energii, która pojawia się wokół bezinteresownych działań obywatelskich aktywistów, jest olbrzymia i godna największych nagród.

Mam jednak zasadniczy problem z większością „awantur", które toczą się w naszej „debacie publicznej". Kiedy widzę, jakie emocje targają obywatelami i jak ostre zdania padają z ich ust, mam ochotę zapytać: „Czy macie pojęcie, o czym mówicie?".

Który z krzyczących zna się na technice sadzenia i uprawie drzew? Kto zna historię i pierwotny kształt Ogrodu Krasińskich? Kto kiedykolwiek uczestniczył w jakichś konsultacjach społecznych na dowolny temat? A kto sprząta kupy po swoim psie? Kto zna plany miasta na zagospodarowanie Portu Czerniakowskiego? A kto zna historię osiedla domków fińskich? Czy ktoś przeczytał projekty ustaw o związkach partnerskich? A może są wśród nas tacy, którzy przeczytali konstytucję?

Jesteśmy specjalistami od wszystkiego. Albo może od zdecydowanej większości rzeczy. Inni są głupolami, złodziejami i cwaniakami, których należałoby unicestwić. Bardzo mnie, specjalistę od wszystkiego, to ostatnio uwierało. Chciałem namawiać kolegów obywateli do wspólnego opamiętania i zastanowienia.

Jesteśmy specjalistami od wszystkiego. Albo może od zdecydowanej większości rzeczy. Inni są głupolami, złodziejami i cwaniakami, których należałoby unicestwić.

Podczas codziennej prasówki przeczytałem jednak zdanie: „Rok 2013 został ogłoszony Europejskim Rokiem Obywateli. Mam nadzieję, że wspólnie ze środowiskiem pozarządowym uda się nam zachęcić warszawiaków do podejmowania większej aktywności na rzecz swojego środowiska lokalnego i do szerokiego uczestnictwa w życiu społecznym miasta" – powiedziała dla portalu ngo.pl prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz.

I przyznaję, że w rozemocjonowaniu i krytyce współobywateli się być może zagalopowałem. Staram się od pewnego czasu angażować w lokalne procesy „współtworzenia miasta", uczestniczę w licznych rozmowach, warsztatach i konferencjach dotyczących własnej okolicy. Zdaję sobie sprawę z niedociągnięć po stronie obywatelskiej. Nie mogę się jednak powstrzymać od komentarza do wypowiedzi Gronkiewicz-Waltz.

Wydaje mi się, że nie mamy co liczyć na „szerokie uczestnictwo mieszkańców w życiu społecznym miasta". Chociaż brzmi to smutno – zdecydowanie się to nie opłaca. Ci, którym zdarzyło się walczyć o coś dla siebie ważnego, wiedzą, że decyzji raz powziętej urzędnik raczej nie zmieni. Trudno namówić radnego na pochylenie się nad sprawą. Nie ma on czasu ani kompetencji, żeby robić coś innego niż nakaże mu partia, SMS-em. Dotrzeć do dokumentów, które są przedkładane w urzędach, do informacji mieszkańców nie jest łatwo, a uzyskać pomoc w ich zrozumieniu – prawie niemożliwe.

Władza nie pali się do prawdziwego dialogu z obywatelami. Nie ma czasu, żeby dowiedzieć się, czego potrzebują. Nie ma też czasu pomóc im w zdobyciu kompetencji służących poruszaniu się po zakrętach aktywności obywatelskiej.

Rozemocjonowanie i braki w wiedzy obywateli połączone z butą i brakiem misji rządzących to mieszanka dla nas wszystkich zabójcza. Dojrzewajmy szybciej, bo się nawzajem stratujemy.

Autor jest kaowcem i społecznikiem. Założył stołeczną klubokawiarnię Chłodna 25 (dziś Klub Komediowy Chłodna).

PRENUMERATA 2013
„Rzeczpospolita"
z Bloomberg Businessweek Polska

Zaprenumeruj „Rzeczpospolitą"
i zyskaj w każdy poniedziałek tygodnik
Bloomberg Businessweek Polska

Zadzwoń pod 800 120 195
lub wejdź na www.rp.pl/prenumerata

Pobudzamy myślenie RZECZPOSPOLITA

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI KATARZYNY KOZYRY

JACEK TOMCZUK

Kozyra pyta o Jezusa

Kilkunastu Jezusów, w tym dwóch prawdziwych, 50 godzin nagrań i setki wątpliwości – to rezultat **wyprawy Katarzyny Kozyry do Jerozolimy**. W warszawskim CSW artystka od 11 lutego prezentuje nową pracę.

Syndrom jerozolimski polega na tym, że człowiek, będąc po raz pierwszy w Jerozolimie, doświadcza silnych emocji i zaczyna mu się wydawać, że jest Mesjaszem. Chciałam zobaczyć, czy uda mi się znaleźć osoby tak reagujące. Znalazłam dwie – wspomina Kozyra. Jednym z nich jest mężczyzna o imieniu Sława, z hostelu na Górze Oliwnej, który co roku ubrany jak Jezus z obrazka wjeżdża przez Lwią Bramę do miasta na osiołku, by głosić słowa Ewangelii, a przez resztę roku czeka na znak od Boga, kiedy będzie mógł swego syna, nowe wcielenie Dawida, postawić na tronie Jerozolimy.

– Pierwszy raz o syndromie jerozolimskim przeczytałam w „Lonely Planet" w 1999 r., w apogeum nastrojów milenijnych. Przewodnik podawał, że wówczas ulice Jerozolimy przemierzało prawie 100 Jezusów. To było fascynujące, ale nie miałam pieniędzy na film, poza tym właśnie skończyłam „Łaźnię męską", a w planach było już „Święto wiosny". Teraz znalazł się mecenas. Pytanie „Are you Jesus?" zadałam setki razy, ale nawet kiedy dostawałam odpowiedź „Yes", nie wierzyłam. Odchodziłam na bok i patrząc do kamery, pukałam się w głowę: „On jest Jezusem? Czy on myśli, że jestem głupia? Niech spierdala". To bez sensu, muszę oczyścić się z tego sceptycyzmu. Ale jak, kiedy większość sztuki zrobiłam, bazując na krytycznym nastawieniu, a tu muszę wyłączyć mój „aparat wątpiący"? Nie potrafię teraz dać się uwieść – śmieje się artystka.

Granica między odgrywaniem, udawaniem a byciem autentycznym – to tematy, które Kozyra bada w swojej sztuce niemal od początku. To ona, chora na ziarnicę złośliwą, kręci film. Przyjmuje chemioterapię, a potem fotografuje się w pozie słynnej Olimpii z obrazu Moneta. Dwa lata później, by dostać się do łaźni męskiej w Budapeszcie, upodabnia się do mężczyzny. Z doklejeniem sztucznego penisa włącznie. Jeszcze później zaczyna cykl „W sztuce marzenia stają się rzeczywistością", w którym usiłuje odgrywać rolę striptizerki, diwy operowej, drag queen, cheerleaderki. Apogeum tych zainteresowań jest projekt „Casting". Artystka chce nakręcić film o sobie i na castingach szuka odtwórcy głównej roli. Płeć, wiek czy warunki zewnętrzne nie są istotne. – Dotychczas to ja, w projekcie „W sztuce marzenia stają się rzeczywistością", wcielałam się w rozmaite role. Teraz sytuacja się odwraca – chcę, żeby inni wcielili się w moją rolę. To doskonały pretekst, żeby zamknąć pewien etap i przyjrzeć się sobie z dystansu – mówi Kozyra.

W Warszawie zgłosiło się prawie 300 osób, w Tel Awiwie 30, niewiele więcej w Nowym Jorku, gdzie casting odbył się w galerii Maurizio Cattelana Family Business. – W Ameryce jestem artystką znaną tylko w środowisku. Część ludzi potraktowała ogłoszenie o filmie zbyt dosłownie, doszło do żenującej sytuacji. Przychodzili zawodowi aktorzy, którzy nie załapali się na żadną porządną produkcję i liczyli, że może dorobią, chałturząc u jakiejś nieznanej polskiej artystki.

Gwałt na Polakach

W latach 90. sztuka krytyczna, która nie mieściła się w definicjach, jakimi posługiwano się przed 1989 r., miała dla szerokiej publiczności twarz Katarzyny Kozyry. Media pisały o niej najwięcej i trzeba przyznać, że najczęściej źle. Była bezduszną morderczynią, dla której uśpiono konia. Ekshibicjonistką, która fotografowała się pod kroplówką podczas chemioterapii. Pozbawioną skrupułów podglądaczką zakradającą się do męskiej łaźni. Mistrzynią marionetek, animującą ciała nagich starców, użytych niczym wielkie ludzkie lalki w „Święcie wiosny". Każdy jej ruch kończył się skandalem, ale każdy też przesuwał granicę tego, co jest do pomyślenia w sztuce. Artystka budziła kontrowersje, ale konsekwentnie była wspierana przez publiczne instytucje sztuki. Kulminacją tego procesu było wytypowanie jej do reprezentowania Polski na Biennale w Wenecji w 1999 r. Zdobyła tam nagrodę – dowód, że to, co wczoraj uznawano za przekroczenie, dziś jest już normą. Twórczość zinstytucjonalizowanej skandalistki zmieniła się niepostrzeżenie z propozycji uznawanej za skrajną w punkt odniesienia. „W przemianie tej pomógł fakt, który długo uchodził uwadze widzów, zbyt rozemocjonowanych drastyczną poetyką artystki, aby go dostrzec. Kozyra gwałciła konserwatywną wrażliwość Polaków swoją naturalistyczną wizją cielesności i rozbijaniem tradycyjnego modelu tożsamości płciowej – pisali krytycy. – Jednocześnie jednak wpisywała ten postępowy dyskurs w klasyczne formy". W „Piramidzie zwierząt" przywoływała archetypiczny obraz z tradycyjnej baśni, w „Olimpii" prowadziła dialog z Manetem, w „Łaźniach" z Ingresem, w „Święcie wiosny" ze Strawińskim.

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI KATARZYNY KOZYRY

Pytanie „Are you Jesus?" zadałam setki razy, ale nawet kiedy dostawałam odpowiedź „Yes", nie wierzyłam. Odchodziłam na bok i patrząc do kamery, pukałam się w głowę: „On jest Jezusem? Czy on myśli, że jestem głupia?

Granica między odgrywaniem, udawaniem a byciem autentycznym – to tematy, które Kozyra bada w swojej sztuce niemal od początku. W Jerozolimie (na zdjęciu) przepytywała osoby, którym się wydaje, że są Jezusem.

W realizacjach z XXI w. wkroczyła śmiało na teren teatru, opery, klasycznego śpiewu, kostiumu i maskarady. Być może to właśnie głębokie zanurzenie w historię sztuki sprawiło, że nowoczesny przekaz Kozyry zabrzmiał szczególnie przekonująco.

Moc Mike'a Tysona

Dziś pozycja Kozyry się zmieniła, ona sama w ogóle. Wciąż nie lubi rynku sztuki, spala się w każdym projekcie, nawet takim, przy którym zamierzała odsapnąć. Dzieli czas między Warszawę, Berlin i Nowy Jork. By realizować swoje pomysły, nie musi już uprawiać swoistej partyzantki. W 1998 r., kiedy przygotowywała polski pawilon w Wenecji, żeby nie drażnić i tak już rozgoryczkowanej publiczności, zapewniała, że pokaże tam swoje wówczas kontrowersyjne, ale już oswojone prace: „Olimpię" i „Łaźnię damską". Dopiero parę dni przed wylotem urządziła konferencję prasową, na której pokazała fragmenty potajemnie kręconej „Łaźni męskiej". – Znowu pojawiły się w gazetach atakujące mnie tytuły. Ale w porównaniu z poprzednimi to była pestka. Nawet się cieszyłam, że kołtuny podniecają się doklejonym kutasem – wspomina.

Ciekawe, jak zareagują jej przeciwnicy, kiedy dowiedzą się, że artystka zrobiła doktorat na warszawskiej ASP, który umożliwi jej pracę na uczelni i kształcenie młodych artystów.

– Człowiek nie jest twórczy do końca życia. W pewnym momencie trzeba powiedzieć: „Zrobiłam to, co najważniejsze. Zamiast powtarzać się, wolę przydać się gdzie indziej". Doktorat jest rodzajem furtki, szalupy ewakuacyjnej ze statku Sztuka.

Najwyraźniej jednak Kozyra poczuła się na tyle pewnie, że sama zaczęła recenzować innych artystów – przyjaciół, kuratorów, instytucje. W połowie ubiegłego roku założyła blog. Wpisów jest zaledwie kilka, ale każdy o wadze ciosu Mike'a Tysona. Dostaje się wszystkim, demokratycznie.

Kiedy media cieszyły się z otwarcia wystawy Aliny Szapocznikow w presti-

żowym Museum of Modern Art w Nowym Jorku, Kozyra sprowadzała na ziemię, podsumowując:

„Ekspozycja składa się z powyciąganych z zakurzonych kątów obiekcików – np. rękawiczka gumowa w kolorze różowym trzymająca pędzel. Całość obfajdolona tworzywem sztucznym i ustawiona na podeście. Nieprawdopodobne… Te kiczowate usteczka wszystkie w gablotce szklanej, jak w butiku pedalskim, masa fatalnych rysuneczków oraz małych obiekcików, przy których wiszą karteczki z nazwiskami jakichś nieznanych kolekcjonerów. Tak wygląda CAŁA wystawa, która mieści się nie na głównych salach, ale jest nadźgana w kąciku i poprzedzielana sztucznymi ściankami, żeby się więcej zmieściło".

Kiedy Piotr Uklański szykował się do retrospektywy w Zachęcie, Kozyra bezlitośnie pytała: „Wolność Sztuki czy wolność złodzieja?". Opisywała, jak twórca „Nazistów" przefotografował prace polskich artystów z lat 70. i „wystawia na sprzedaż pod własnym nazwiskiem. Wystawę, która nazywa się »Polska Neo-Awangarda« można by nazwać »W hołdzie mistrzom«, co zapewne w mniemaniu Uklańskiego legitymizowałoby kradzież. (...) Dlaczego nie pokazać tej wystawy w Warszawie? W Zachęcie (...) Oczywiście wystawa powinna być przeniesiona w całości. Myślę, że »wystawieni« artyści chętnie by ją obejrzeli we własnym mieście. Koniecznie z cenami, jakie uzyskały ich prace w Londynie!

Szefowa Zachęty Hanna Wróblewska zapewnia, że zaproponowała to Uklańskiemu, który propozycji jednak nie przyjął".

Awantura w rodzinie

Jednak najwięcej szumu zrobiło się po wpisie o Arturze Żmijewskim.

„Eh, człowieku! Co się z Tobą dzieje? Ty kanapowy (a może kanapkowy?) rewolucjonisto! Nie o to mi chodzi, że dla burżujów robisz... Ty sam jesteś burżujem:). A na czym polegać ma twój kolejny eksperyment? Że zamiast kanap wstawiłeś na salony krzesła?".

„Nie wiem" – najczęściej powtarzane przez Kozyrę słowa przed pokazem „Szukając Jezusa". Czy to film o współczesnej religijności?

O napięciu między dawnymi ikonami sztuki krytycznej, współpracownikami, absolwentami tej samej pracowni, słynnej Kowalni na warszawskiej ASP, było wiadomo od paru lat. Poszło o pozornie niewinne zdanie, jakie Artur Żmijewski umieścił w książce „Drżące ciała": „Ostatnie projekty Kozyry coraz bardziej zbliżają się do mieszczańskiego wyobrażenia o sztuce".

– Poczułam się tym urażona, zdradzona. Kto i o co się mnie czepia? Rozwijam się w ten sposób i widać jest mi to potrzebne. Niech robi swoje i się nie wtrąca. Ja go często też nie rozumiałam, ale szanowałam, nie musiałam rozumieć, bo jakoś tam mu ufałam. A tu Artur wystąpił w roli Sądu Ostatecznego. Rozumiem, że bardzo zaangażował się w „Krytykę Polityczną" i może rzeczywiście czuje, że coś lub kogoś tu zdradzam. Ale to tylko jego odczucie. Na Biennale w Berlinie zrobił superrzecz. Zapraszając aktywistów i kwestionując komercyjny wymiar imprezy, według wielu trafił w punkt, starał się rozsadzić ten cały art world od środka. Po czym wraca do Warszawy i proponuje rewolucję w kształcie pięknie zaprojektowanej, klasycznej wystawy. Czułam się rozczarowana i sprowokowana tym, co zobaczyłam w CSW.

„Szanuję wymianę poglądów między Kozyrą a Żmijewskim i nie zamierzam wypowiadać się na ten temat" – napisał w e-mailu do „Przekroju" Grzegorz Kowalski, profesor antagonistów.

– Dla mnie ma to ciężar gatunkowy przepychanki w piaskownicy. Przy czym Kozyra wydaje się przynajmniej nieźle bawić, natomiast Żmijewski po raz setny ze śmiertelną powagą powtarza litanię tych samych argumentów – mówi Jakub Banasiak, historyk i krytyk sztuki.

PIOTR GUZIK

Kozyra nie pasuje do czasów szybkich efektów i nadprodukcji w sztuce. Jej projekty są niezwykle czasochłonne, nowe prace powstają rzadko. Pewnie dlatego uważa, że rynek psuje artystów. Na zdjęciach jej „Więzy krwi", „Olimpia" i „Święto wiosny".

I podsumowuje: – Ale to oczywiście także świetna metafora kondycji sztuki krytycznej, która nie tyle zjada, ile od dawna dusi się własnym ogonem. Jeżeli nie udało się ruszyć z posad bryły świata za pomocą biennale o budżecie kilku milionów euro, to może czas przemyśleć własne rozpoznania? Gdzie tam! Zamiast tego dostajemy kłótnię w rodzinie. I to po przejściach. Tymczasem od kilku lat na scenie dominuje nowe pokolenie artystów, dla których sztuka krytyczna ma wdzięk szkolnej czytanki: to radykalni eskapiści, wizualni poeci, współcześni wirtuozi dźwięku, w końcu malarze.

Kozyra również czuje, że artyści się zagalopowali: – Czasem warto przewietrzyć nasze środowisko sztuki, bo zakisiło się strasznie. Wszyscy szepczą po kątach, aż bulgocze od plotek i pogłosek. A nikt nie powie czegoś niewygodnego na głos, oficjalnie. Uważam, że należy przekłuć ten balon, bo nie mam nic do stracenia, nie jestem w układzie.

W układzie nie jest, ale na polu sztuki nie gra też samotnie. Niewielu artystów może liczyć na tak duże wsparcie w produkcji nowych prac Zachęty jak Katarzyna Kozyra. – Żyjemy w czasach szybkich efektów i totalnej nadprodukcji, od telefonów po sztukę. Kozyra nie pasuje do tych czasów. Jej projekty są niezwykle czasochłonne, nowe prace powstają rzadko. Pewnie dlatego uważa, że rynek psuje artystów, wymusza na nich niepotrzebne dzieła powstałe tylko na sprzedaż. Z jednej strony walka z rynkiem wydaje się skazana na porażkę. Z drugiej dobrze, że jest ktoś, kto przypomina, że nie wolno dać się mu zdominować i że być może jest jakaś „trzecia droga" – uważa Hanna Wróblewska.

REP. PIOTR GUZIK

Kaśka czeka na kopa

„Nie wiem" – to najczęściej powtarzane przez Kozyrę słowa wypowiadane parę dni przed pokazem „Szukając Jezusa". Czy będzie to film o współczesnej religijności? Czy będzie to szkic czy gotowa praca? Czy artystka wróci jeszcze do Jerozolimy? Dlaczego akurat zrobiła pracę o syndromie jerozolimskim?

– Kozyra zwykle podchodzi do nowych projektów bez konkretnej tezy: „Teraz zrobię pracę o feminizmie albo o religii". Nakręca się konkretną sytuacją i obserwuje, co z tego wynika. „Szukając Jezusa" nie jest filmem o jednostce chorobowej, zaburzeniach psychicznych, ale o ludziach, wyznawcach, którzy są opętani jakąś ideą, która każe im zbawiać świat. Kaśka tak angażuje się w projekt, że nie zdziwiłabym się, gdyby dla efektu postanowiła się nawrócić i zmusić do tego widza – śmieje się Wróblewska. I kończy: – Ona pracuje skokami. Jak wsiądzie na jakiś temat, spala się w nim totalnie. Jazda bez trzymanki trwa miesiące, a nawet lata. Ale potem przychodzi czas życia, czekania, szukania inspiracji, pomysłu na nową pracę. Musi dostać kopa.

JAKUB OSTAŁOWSKI

MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA ADAM GOLEC

Nowa Sodoma

Niedawno ogłosił, że Kraków nie jest już polską stolicą kultury, czym doprowadził do szału lokalny establiszment i władzę. Po co? „Żeby coś się zmieniło, trzeba szturchać, kopać, gryźć. Do skutku! – mówi „Przekrojowi" **Piotr Sieklucki**, założyciel i dyrektor Teatru Nowego w Krakowie.

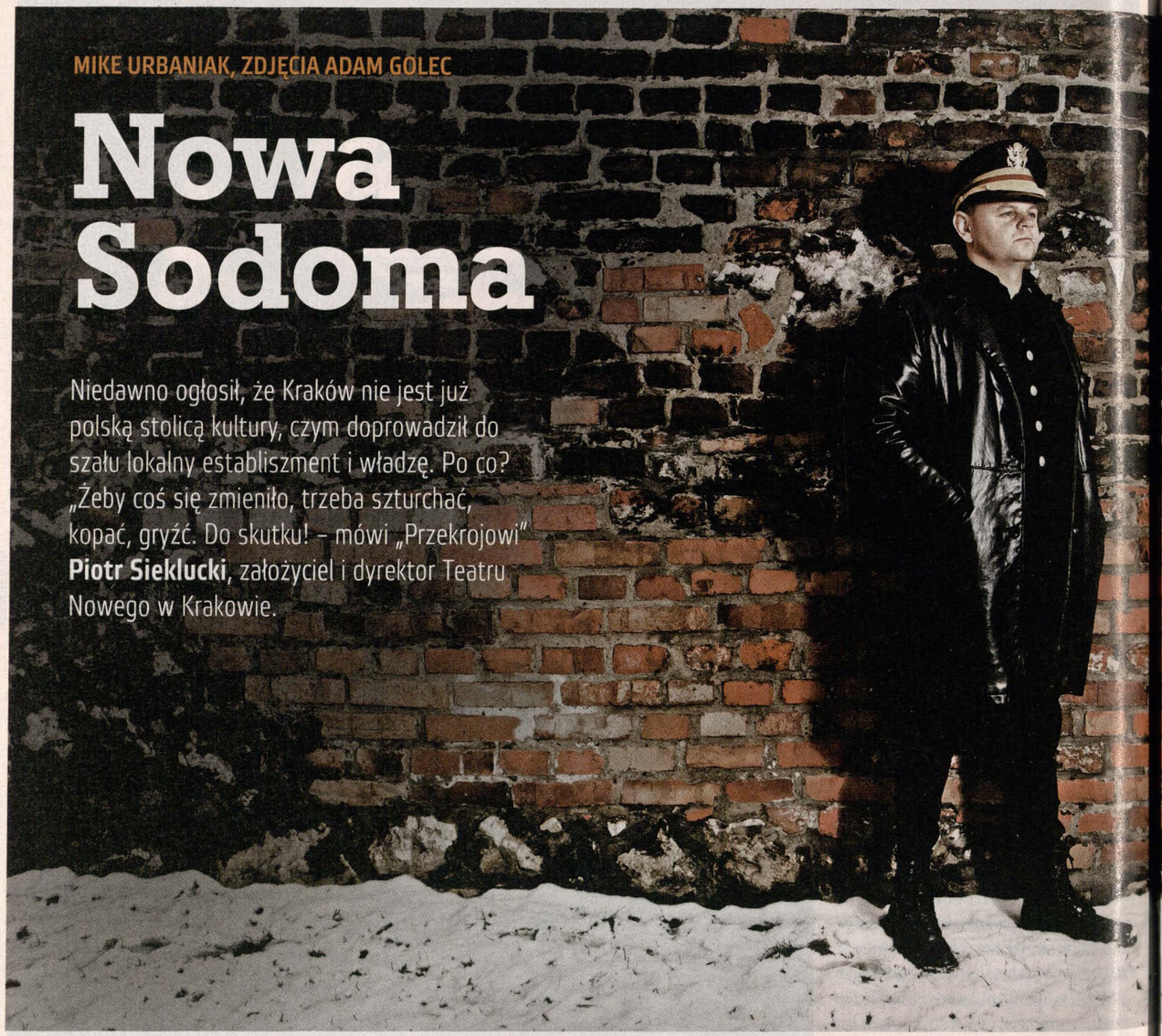

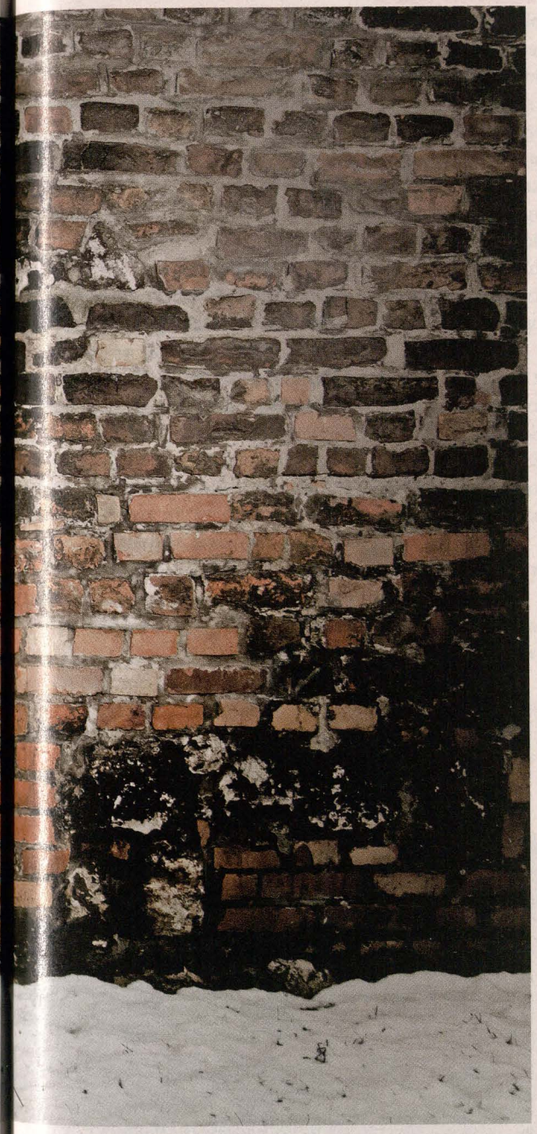

Lubisz przypieprzyć.
Lubię. To jest bardzo ważne w takim mieście jak Kraków, gdzie wszystko jest grzeczne i ułożone. Stary porządek trzeba rozwalać. Oczywiście drzwi, które wyważamy, w Warszawie już dawno wypadły z zawiasów, a w Krakowie nadal są zamknięte.

Kto trzyma klucze?
Lokalna, mieszczańska elita. Polityka kulturalna magistratu w ostatnim czasie uległa zmianie, głównie za sprawą Magdaleny Sroki, ale jeszcze do niedawna była zatrważająca. Niestety, pomimo wielkiej charyzmy pani wiceprezydent nie wszystko udaje się zmienić. Krakowskie instytucje kultury to beton! Weźmy jeden z miejskich teatrów, gdzie od lat obowiązki dyrektora pełnił pewien poseł PO, który ogłosił, że idzie na emeryturę, i namaścił kolegę na swojego następcę. Tak się zostaje szefem instytucji kultury w Krakowie: namaszczenia, koleżeństwo, brak konkursów. I jeszczepół biedy, gdyby dyrektorem została jakaś wybitna postać, która artystycznie namiesza, zmieni oblicze tego teatru. Dyrektorzy w teatrach Słowackiego, Bagatela, Ludowego czy Groteska siedzą po dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat w swoich fotelach. A to, co proponują, wstyd czasem oglądać!

Dlatego ogłosiłeś manifest „O kulturę obywatelską", którego pierwsze zdanie brzmi „Kraków nie jest stolicą kultury"? Wywołałeś w zeszłym tygodniu furię kulturalnego establiszmentu miasta.
Manifest został ogłoszony po to, żeby wstrząsnąć środowiskiem kulturalnym, wywołać debatę i pokazać, że w krakowskiej kulturze nie jest tak kolorowo, jak to widzi choćby Bartosz Szydłowski, szef Teatru Łaźnia Nowa. Z jednej strony mamy wielkie, świetne i bez wątpienia potrzebne festiwale z ogromnymi budżetami, a z drugiej organizacje pozarządowe, które wiodą ciężki żywot. Poza tym kultura w Krakowie jest kołtuńska, konserwatywna i katolicka. Wystarczy spojrzeć na repertuar naszych scen teatralnych, to jedna wielka słabizna.

Dlatego postanowiłeś założyć teatr?
Powodem była chęć realizowania własnych pomysłów artystycznych. Spotkałem na swojej drodze wielu fantastycznych ludzi, z którymi stworzyliśmy teatr. Przede wszystkim Janusza Marchwińskiego, właściciela gejowskiego klubu Cocon, byłego redaktora Radia Wolna Europa. Spotkaliśmy się przypadkiem, po zobaczeniu którejś mojej realizacji Janusz zaproponował mi oddanie kilkuset metrów w piwnicach klubu i powiedział: – Rób teatr!

Ale zanim się poznaliście i zanim w 2006 r. powstał Teatr Nowy, ty już działałeś niezależnie na polu artystycznym. Pamiętam twój debiut sprzed dziesięciu lat. To był spektakl „Griga obchodzi imieniny" według Czechowa. Graliście w ciasnej salce klubu Alchemia na Kazimierzu.
Tak, to był początek. Chcieliśmy, studenci szkoły teatralnej, zrobić coś swojego, bo na uczelni było strasznie nudno. Na drugim roku postanowiliśmy z Dominikiem Nowakiem i Anetą Wirzinkiewicz zrobić spektakl, który będzie dowcipny i spodoba się naszym znajomym.

I obraziła się na was Anna Polony.
Po spektaklu zwróciła się do widowni złożonej ze studentów PWST i rozkazała wszystkim natychmiast wyjść. Mówiła, że jej uczniowie nie mogą tak haniebnie grać i znieważać sztuki. Poczuła się chyba dodatkowo urażona zdaniem, że „aktorzy nic nie robią, ale ruble biorą". Kiedy ono padło, spojrzeliśmy na nią i wszyscy gruchnęli śmiechem. Na tym spektaklu była także Agnieszka Mandat, ówczesna dziekan Wydziału Aktorskiego, i skończyło się tym, że rada wydziału zakazała nam grać „Grigę".

Podporządkowaliście się zakazowi?
A skąd! Graliśmy po kryjomu. Po dwóch latach pojechaliśmy z „Grigą" na festiwal Zdarzenia do Tczewa, w którego jury zasiadał Jerzy Stuhr. Zmroziło nas, ale czekał,trzeba było zagrać. Stuhr się zachwycił spektaklem i wysłał nas na Festiwal Szkół Teatralnych do Łodzi, gdzie zebraliśmy świetne recenzje i – jak pisała prasa – spektaklem uratowaliśmy honor PWST. „Grigę" gramy już dziesięć lat.

Urodziłeś się i wychowałeś we Wrocławiu. Dlaczego tam nie zostałeś?
Chciałem. Zaraz po maturze zdawałem na tamtejszy Wydział Aktorski, ale mnie nie przyjęli. Bardzo się wówczas przyjaźniłem ze wspaniałym aktorem i moim mistrzem Igorem Przegrodzkim. Byłem przekonany, że to mi otworzy wszelkie drzwi.

Nie otworzyło.
Na egzaminie odpadłem w pierwszym etapie.

Szok?
Totalny. Nie mogłem w to uwierzyć. Igor twierdził, że nasza przyjaźń mi zaszkodziła, bo środowisko – jak wiadomo – jest wredne i pewnie mnie upupili ze względu na niego.

A może po prostu byłeś nieprzygotowany?
Może, może byli lepsi.

I co dalej?
Zapisałem się do studium teatralnego, ale strasznie mnie irytowało. Wszyscy tam byli przekonani, że są świetni, tylko przez przypadek nie dostali się do szkoły aktorskiej.

Czyli pasowałeś tam jak ulał.
Niech będzie. W każdym razie po roku zdawałem po raz drugi. Tym razem do Wrocławia i Krakowa. Dostałem się i tu, i tu. Wybrałem Kraków.

Dlaczego poszedłeś na aktorstwo, a nie na reżyserię?
Bo chciałem być aktorem, reżyseria w ogóle mnie nie interesowała. Chciałem być jak Igor Przegrodzki. Ubierałem się jak on, czesałem się jak on, próbowałem nawet naśladować jego sposób mówienia.

Przecież on miał 70 lat, a ty niespełna 20.
Ale co może wiedzieć 18-letni chłopak? Byłem w niego zapatrzony i koniec. Mo-

żedlatego nie przyjęli mnie za pierwszym razem do szkoły aktorskiej, bo stanął przed nimi nastolatek, który zachowywał się jak stary dziad.

Krakowska PWST była dla ciebie zwykłą zawodówką czy czymś więcej?
Zawodówką, którą skończyłem z przyjaźnią z Edwardem Lubaszenką. Edward przyszedł na „Grigę", zakochał się w tym spektaklu, dał nam 5 tys. zł i powiedział: – Róbcie drugą część. Zrobiliśmy nie tylko to, ale także kilka innych spektakli z Edwardem oraz wspaniały koncert muzyki rosyjskiej i radzieckiej. Ach, zapomniałbym! Szkoła to także wspaniały Bogdan Hussakowski, który potem otwierał Nowy Teatr spektaklem „Pan Jasiek".

Liczyłeś po szkole na jakiś wymarzony etat?
Przed tym najgorszym z możliwych scenariuszy uratował mnie Rafał Kmita, który zaproponował mi wzięcie udziału w spektaklu „Aj waj!, czyli historie z cynamonem", co pozwoliło mi się uniezależnić finansowo. Zarabiałem naprawdę sporo pieniędzy. Moje miesięczne dochody wynosiły nieraz tyle, ile roczna dotacja z magistratu dla naszego teatru.

Czyli?
Około 10 tys. zł na rok. Teraz dostajemy niewiele więcej.

Teraz dostajecie z miasta 100 tys. rocznie, czyli 10 razy więcej.
No dobrze, ale to jest nic w porównaniu z innymi teatrami w Krakowie. A robimy dużo i ciekawie. Ze 100 tys. konkurujemy ze scenami, które mają milionowe dotacje. I wypadamy całkiem nieźle.

Mówisz o teatrach publicznych, które działają na innych zasadach. Teatr Nowy jest organizacją pozarządową i ma coś, czego nie mają inne miejskie sceny – kompletną niezależność.
To prawda, żyjemy poza urzędniczą cenzurą. Dlatego też mamy w magistracie taką opinię, jaką mamy.

Czyli?
Pedały i skandaliści.

Zacznijmy od pedałów. Siedzibę macie w budynku klubu gejowskiego.
Ale jakie to ma znacznie, gdzie jest nasza siedziba? Liczy się to, co robimy. Nasz pierwszy pedalski spektakl, czyli „Lubiewo", wystawiliśmy po sześciu latach działalności. Czy szanowny krakówek zauważył u nas poetyckie sztuki Radka Rychcika, Marysi Spiss czy Szymona Kaczmarka?

Kiedy na „Encyklopedię duszy rosyjskiej" przyszedł do nas Andrzej Wajda, powiedział, że słyszał sporo o naszym teatrze, ale same złe rzeczy. Był pod wielkim urokiem tego, co zobaczył. Poszliśmy potem razem na kolację. Z kolei nasz częsty gość Adam Michnik opowiadał, że kiedy wspomniał na jakimś spotkaniu w Krakowie, że wieczorem wybiera się do nas, usłyszał, że nie ma po co tam chodzić. I tak sobie w tej pedalskiej aurze żyjemy i tworzymy, choć większość kierownictwa naszego teatru to zaprzysięgli heterycy.

A może to wcale nie wina Krakowa? Bo – przechodząc do skandali – wywołujesz je także w innych miastach. Piotr Szczerski, dyrektor Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, zerwał próby do „Draculi" w twojej reżyserii, bo chciałeś zawiesić różaniec na świńskim ryju.
O wszystkim można rozmawiać, ale dyrektor Szczerski nie chciał. Zakończył próby i mi podziękował. Ale chciałem ci przypomnieć, że w Kielcach zrobiłem wcześniej kilka bardzo udanych sztuk, więc nie wiem, skąd ten brak zaufania i obruszenie.

To prawda. Twoje spektakle: „Pijany na cmentarzu" Hłaski, „Trans-Atlantyk" Gombrowicza czy „Nocą na pewnym osiedlu" Bergera były przez kielecką publiczność przyjęte bardzo dobrze.
Ano właśnie, więc różaniec na świńskim ryju traktuję jako wymówkę, a nie prawdziwą przyczynę zakończenia mojej pracy w Kielcach.

A jaka była prawdziwa przyczyna?
Może dyrektora Szczerskiego zmartwiły plotki, że zostanę jego następcą?

Michał Witkowski, „Lubiewo",
Teatr Nowy w Krakowie, reżyseria: Piotr Sieklucki, scenografia: Łukasz Błażejewski, choreografia: Mikołaj Mikołajczyk, występują: Paweł Sanakiewicz, Janusz Marchwiński, Krystyna Czubówna, Teofil Pietroń i Mikołaj Mikołajczyk. Spektakl zostanie pokazany 13 i 14 lutego w Teatrze IMKA w Warszawie w ramach Festiwalu Teatralnego „Polska w Imce".

Dlaczego ty właściwie ciągle reżyserujesz, choć zaklinałeś się, że to cię nie kręci?
Może dlatego, że nikt oprócz Hussakowskiego nie chciał mnie reżyserować.

Dlaczego?
Nie wiem.

Nie zastanawiałeś się?
Ale co chcesz, żebym ci powiedział, że jestem kiepskim aktorem?

Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego nikt nie chce cię reżyserować.
Naprawdę nie wiem. Bo byłem problematyczny? Bo nie walczyłem o swoje? Bo nie chodziłem z reżyserami na wódkę? Bo mi się zwyczajnie nie chciało? Nie wiem, wybierz sobie którąś odpowiedź.

Może się ciebie boją?
Myślisz?

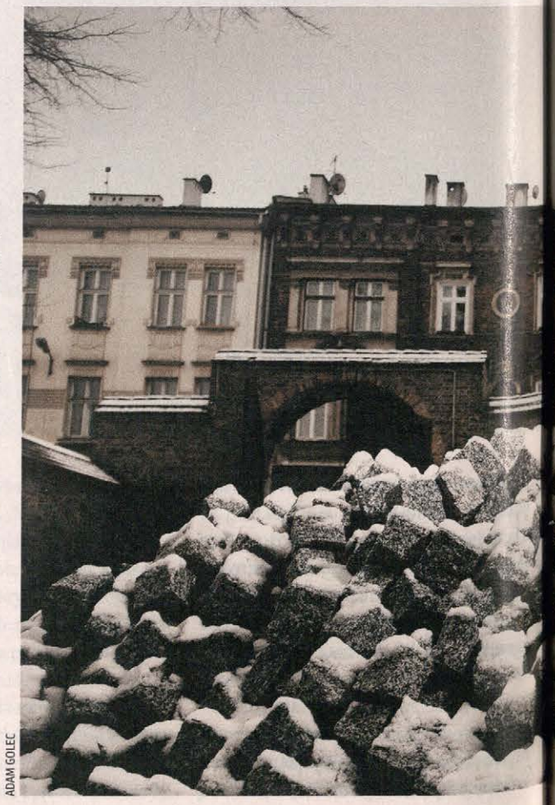

ADAM GOLEC

Może masz reputację...
Chuja?

Powiedzmy, że rogatego osobnika.
To by się zgadzało, jestem zodiakalnym Koziorożcem.

I prowokatorem.
Ja? Kiedy?

A kto maszerował w czerwcu zeszłego roku po Krakowie w stroju włoskiego carabinieri z dramaturgiem Tomaszem Kireńczukiem przebranym za papieża? W waszej procesji szła też europosłanka Joanna Senyszyn.
Kraków ma długą tradycję procesji i my chcieliśmy z niej skorzystać. Katolicy mają Boże Ciało, a my nasze ciała.

Ja nie ma nic przeciw waszym procesjom i waszym ciałom. Chodzi mi tylko o to, że to było celowo zaplanowane wydarzenie, które miało wywołać w Krakowie skandal. Tyle.
Nie!

Zaprzeczasz i się śmiejesz.
Bo to jest dla nas naprawdę zabawa. Manifestujemy przy okazji to, co nas irytuje albo zwyczajnie doprowadza do szału. Joanna Senyszyn była tam przypadkowo, aczkolwiek muszę ci powiedzieć, że bardzo zaangażowała się w pomoc teatrowi, kiedy ignorowano nas przy rozdzielaniu grantów. Interweniowała w Ministerstwie Kultury, w krakowskim magistracie. I zadziałało! Bardzo jestem jej za to wdzięczny.

Lubisz szturchać ten skostniały Kraków, co?
Żeby coś się zmieniło, trzeba szturchać, kopać, gryźć. Do skutku. Kto wie, może kiedyś przyjdzie do nas szef Wydziału Kultury, którego noga nigdy w Teatrze Nowym nie postała.

A Magdalena Sroka, wiceprezydent od kultury, była u was?
Była i powiedziała po zobaczeniu „Lubiewa", że to odważne jak na Kraków i żeopinia o nas jest wiadomo jaka. Dodała, że nie wie, co chcemy osiągnąć naszymi prowokacjami, ale będzie nas wspierała, bo taka jest rola urzędnika odpowiedzialnego za kulturę. Cieszę się, że za kulturę w Krakowie odpowiada właśnie taka osoba.

Mądrze i uczciwie powiedziała. A może ty powinieneś się wynieść z Krakowa, skoro tak ci tam źle?
Nie ma mowy! Zbyt dużo mamy tu do zrobienia. Budujemy naszą publiczność, która coraz chętniej do nas przychodzi. Bilety na „Lubiewo" mamy wyprzedane do marca. Nie wyobrażam sobie wyprowadzki stąd. Dowalam temu miastu, wkurwia mnie, ale jest moje i się nigdzie nie wybieram.

Ale tu masz nieustanne problemy. Nie mogłeś nawet znaleźć aktorów do „Lubiewa". Wszyscy w Krakowie odmawiali?
Tak, dostawałem najróżniejsze odpowiedzi: „Panie Piotrze, nie mogę. To jest wulgarne, obsceniczne, a ja mam żonę i dzieci" albo „To jest syf, nie literatura". Inni wykręcali się brakiem czasu lub po prostu przestali odbierać telefon. Ale czemu się dziwić, skoro tekst jest wulgarny, teatr pedalski i ten potworny Sieklucki. W końcu musiałem wziąć aktorów z Wrocławia, z czym oczywiście nie było żadnych problemów.

„Lubiewo" dostało niedawno Grand Prix na Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy, zostało pokazane na Boskiej Komedii w Krakowie i zaraz będzie je można zobaczyć w Teatrze IMKA w Warszawie. Ty poszedłeś za ciosem i zrobiłeś tym razem sztukę „Gniew dzieci" o pedofilii w Kościele katolickim.
Nawet ksiądz Adam Boniecki uznał chyba, że trzeba nas zbawić, i przyszedł do nas do teatru na jedno ze spotkań w ramach „Sztuki gniewu". Wziął udział w dyskusji „Czy w chrześcijaństwie jest miejsce na gniew?". Podziwiam jego odwagę. Kiedy wszedł do mojego biura, rozejrzał się wokół, zobaczył figurę Matki Boskiej obok portretu Władimira Putina i powiedział: – No, to jestem w piekle.

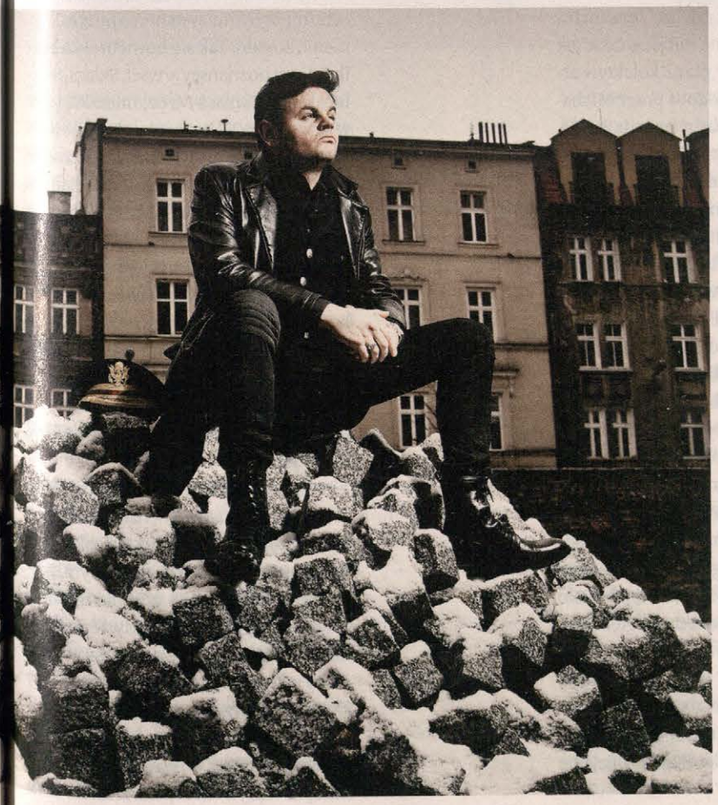

PIOTR SIEKLUCKI
Rocznik 1980, urodzony we Wrocławiu. Jest absolwentem Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Zadebiutował jako aktor i reżyser sztuką „Griga obchodzi imieniny", którą wystawił pod szyldem Avant' Teatr w 2002 r. w Krakowie. W 2006 r. założył na krakowskim Kazimierzu Teatr Nowy, którym kieruje do dziś. W latach 2007–2010 reżyserował w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Jego „Lubiewo" według prozy Michała Witkowskiego otrzymało w zeszłym roku Grand Prix na Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy. W Krakowie uchodzi za prowokatora i skandalistę, a kierowany przez niego teatr za siedlisko zła i zepsucia.

STACH SZABŁOWSKI

O Psie pogrzebanym i galerzyście szczwanym

Dawid Radziszewski, najbardziej punkowy marszand w Polsce, twórca poznańskiego Psa, który już zaczyna obrastać legendą, w lutym przeprowadza się do Warszawy.

KRZYSZTOF SKŁODOWSKI

I co z tego? Po pierwsze, stolicy przybędzie nowa galeria, która będzie się nazywać Dawid Radziszewski. Po drugie, wyjazd marszanda z Poznania może być symbolicznym początkiem końca artystycznego boomu w mieście, które w ostatnich latach wydawało się najgorętszą sceną sztuki w Polsce.

Są momenty i miejsca, w których sztuka dostaje nagłego przyspieszenia. W ostatnich latach takim miejscem był Poznań. Można próbować wyjaśnić fenomen tego miasta racjonalnie. Strategiczne położenie między lokalnym centrum – Warszawą – i globalnym centrum – Berlinem. Uniwersytet Artystyczny – najlepsza szkoła sztuki w Polsce. Kilkuletnia obecność na tym Uniwersytecie Mirosława Bałki, który zainspirował całą generację młodych poznańskich artystów. Wielkopolski duch pracowitości. Reszty zdroworozsądkowo wyjaśnić się nie da. Po prostu zdarza się, że we właściwym miejscu i czasie znajduje się grupa ludzi, która w dziedzinie talentów przekracza masę krytyczną – i zaczyna się zjawisko. Tak było w Poznaniu, który wygrywał na wszystkich frontach. Nowi gwiazdorzy sztuki – Radek Szlaga, laureat Paszportu Polityki i nagrody Spojrzenia, Wojciech Bąkowski czy inny zwycięzca Spojrzeń Konrad Smoleński, który w tym roku będzie reprezentował Polskę na Biennale w Wenecji – byli pierwszoplanowymi aktorami poznańskiego boomu artystycznego.

Częścią wielkopolskiego fenomenu były nowe, niezależne miejsca, takie jak offowy, prowadzony przez kolektyw artystów Starter czy założona przez Michała Lasotę i Zuzannę Hadryś galeria Stereo, która być może najlepiej uchwyciła ducha poznańskiej sztuki opartego na oryginalnym pomieszaniu brutalnej liryki, hiphopowej elokwencji i postpunkowej agresji z rygorystyczną dyscypliną formy i skłonnością do surowego minimalizmu. Była wreszcie galeria Pies, miejsce założone w 2005 r. przez studenta drugiego roku historii sztuki Dawida Radziszewskiego, który był wówczas bezkonkurencyjnie najmłodszym galerzystą w Polsce. Pies urządzony w na wpół zrujnowanym lokalu w wiekowej kamienicy na poznańskich Jeżycach był antytezą wylizanych white cube'ów tworzonych przez zachodnich galerzystów. Do galerii wchodziło się po drewnianych schodach, a jednak miało się wrażenie, że schodzi się do głębokiego undergroundu, w którym – o niespodzianko – niemalże nieletni marszand pokazywał najważniejszych polskich artystów, kreował debiuty i w czujności reakcji wyprzedzał o kilka długości oficjalne instytucje Poznania.

Echa boomu na poznańską sztukę jeszcze przetaczają się przez scenę artystyczną, a tymczasem okazuje się, że za chwilę echo może być wszystkim, co po tym fenomenie zostało. Tak się bowiem składa, że ikoniczni poznańscy artyści, Szlaga, Smoleński czy Tomasz Mróz, mieszkają dziś w Warszawie. W Poznaniu nie ma już Mirosława Bałki, który wykłada teraz na nowo utworzonym Wydziale Intermedialnym stołecznej Akademii. W 2011 r. do Warszawy przeprowadził się Starter. A teraz dołączył Dawid Radziszewski.

Dzwonię do Michała Lasoty, który jako kurator walnie przyczynił się do wylansowania mody na nową sztukę poznańską. Jako galerzysta trwa na poznańskim posterunku. Pytam, czy galeria Stereo nie planuje przypadkiem przeprowadzki do Warszawy.

– Jeszcze niedawno odpowiedziałbym ci: gdzie tam! – mówi Michał – do Warszawy za żadne skarby. Teraz jednak nie jestem już taki pewien i skłamałbym, gdybym powiedział, że o tym nie myślimy. Trwa fala wyprowadzki artystów z tego miasta. Przyjeżdżamy do Warszawy, siadamy w knajpie i 12 spośród 15 osób przy stoliku to nasi znajomi z Poznania; można już mówić o diasporze, jak w Londynie. Zaczyna docierać do nas, że Poznań pod naszym wpływem się nie zmieni, świat nie dostosuje się do naszych oczekiwań. Wyjazd Dawida też ma tu sporo do rzeczy. Dopiero kiedy się wyprowadził, zdaliśmy sobie sprawę, że jego obecność w Poznaniu była dla nas ważna; świadomość, że mamy sąsiada, który obok nas próbuje robić tu galerię i daje radę, dodawała wiary.

Marika Zamojska z kiedyś poznańskiego, a dziś warszawskiego Startera mówi wprost: – Chcieliśmy rozwijać galerię, a w Poznaniu jej dalszy rozwój był po prostu niemożliwy. Kończyła się nam perspektywa. Ruch w Warszawie jest nieporównywalny, jedne inicjatywy napędzają drugie, jest po prostu łatwiej, a zamiany zawsze wychodzą na dobre.

Czy wyjdą na dobre Dawidowi? Spotykamy się w lokalu jego nowego galeryjnego projektu; to zupełnie inna historia niż Pies, który czarował przybrudzonym glamourem sypiącej się kamienicy, skrzypiącą stuletnią podłogą i chaosem rudery. W Psie żaden kąt nie był do końca prosty; galeria Dawid Radziszewski powstaje w betonowej oprawie twardego, kanciastego modernizmu. Jesteśmy w centrum Warszawy, w przyziemiu jednego z bloków-molochów osiedla Za Żelazną Bramą. W lokalu wcześniej była cukiernia; Dawid zmienia ją właśnie w ascetyczne, wyczyszczone białe pudło na sztukę.

Pytam go, ile miał lat, kiedy zakładał Psa. – Powiedzmy, że 21, niecałe, bo urodziny mam w marcu, a galerię założyłem w lutym 2005 r.

Skąd u studenta drugiego roku wziął się plan, żeby zostać galerzystą?

Nie było w tym żadnego planu. Był pomysł, że trzeba mieć galerię.

Miałeś na to jakieś pieniądze?

Żadnych. Galerię zakładaliśmy na fali entuzjazmu, że będziemy mieli galerię. Zrobiłem to z dwiema osobami, Jagną Dąbrowską z historii sztuki i studentem rzeźby Radkiem Gajewskim. Po dwóch miesiącach Radek wyszedł po fajki i nie wrócił. Jagna odeszła po roku; jakoś nie układała się nam współpraca. W Psie nie było pieniędzy, ale nie tak, że nie można było kupić, nie wiem, iPhone'a, tylko w ogóle nic. Mieliśmy lokal; poszedłem do właścicielki kamienicy, poprosiłem, żeby na rok zwolniła nas z czynszu – i kiedy do niej szedłem, byłem święcie przekonany, że ona musi się na to zgodzić. To było naiwne, ale w tej naiwności była energia. Radziliśmy sobie dzięki naiwnemu przekonaniu, że świat należy do nas i właśnie ten świat ma nam ułatwić realizację naszych pomysłów. Chcieliśmy się po prostu zajmować sztuką.

Opowiadasz, że „trzeba było mieć galerię", ale właściwie dlaczego „trzeba"? Jak się ma 20 lat, to chce się być gwiazdą rocka, zakłada się zespoły, a nie galerie.

Galeria jest jak zespół – nawet jeżeli prowadzisz ją sam. W liceum zawsze grałem w różnych zespołach – nie wyobrażałem sobie, że można tego nie robić. Ludzie, którzy nie grali i nie chcieli grać w zespołach – to mi się wydawało dziwne. Jakie te zespoły były, takie były, ale było oczywiste, że grasz w kapeli. I z Psem było podobnie – spontaniczna sytuacja, studencka galeria, której nikt nie brał na poważnie. Po-

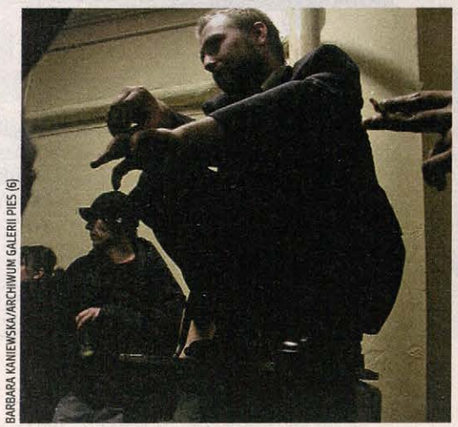

BARBARA KANIEWSKA/ARCHIWUM GALERII PIES (6)

znań wydawał mi się wtedy atrakcyjnym miejscem, w którym warto coś zrobić. Ja jestem z Zielonej Góry, która jest mniejsza od Poznania. Wydawało mi się, że miasto jest większe, więc jest fajniej. Później okazało się, że w gruncie rzeczy Poznań niewiele się od tej Zielonej Góry różni. Mniej więcej po dwóch tygodniach wyszło, że wcale aż tak atrakcyjny nie jest i z tego braku atrakcyjności założyliśmy tam galerię.

Pracowałeś na boku, żeby utrzymać galerię? Jeździłeś do Anglii na zmywak?

Co ty! Nigdy nie pracowałem – poza galerią. Czasem realizowałem projekty w instytucjach, organizowałem wystawy poza Psem, ale takiej normalnej pracy nigdy nie miałem, nie jeździłem do roboty za granicę. To może jest nawet problem; ominęło mnie pokoleniowe doświadczenie.

Model ekonomiczny galerii Pies w tym pierwszym okresie jest rzeczywiście bardzo zagadkowy. Nikt tu nie zarabiał, nie dostawaliśmy i nawet nie chcieliśmy dostawać pieniędzy od podatnika. Zresztą w tamtych latach był inny klimat wokół publicznych pieniędzy, świeża była sprawa Nicznalskiej, mieliśmy odczucie, że gdybyśmy wzięli pieniądze od władzy, moglibyśmy się uwikłać w jakieś zależności. A może po prostu nie potrzebowaliśmy wtedy pieniędzy?

To była tania galeria, w ogóle parę lat temu wszystko było tańsze, a poza tym nikt o tym nie myślał. Wystawy były robione jakimś kombinowanym sposobem, trochę z tego co mi dawali rodzice na życie, 600 złotych miesięcznie starczało na jedzenie i galerię. Gdy teraz się nad tym zastanawiam, naprawdę nie wiem jak to funkcjonowało. Było jak w latach 80. – pieniądze w ogóle nie były istotne, być może dlatego w mojej pamięci ten aspekt prowadzenia galerii w jej początkowej fazie jakoś się nie zapisał.

Tamtej niewinności już nie odzyskasz.

To prawda, nie ma powrotu do tamtej sytuacji. To był dobry okres w Poznaniu; było fajne różnorodne środowisko, co dziś widać, bo wielu artystów, którzy wtedy debiutowali, osiąga wielką popularność. Wokół Psa tworzyła się pewna społeczność, były imprezy, bójki w galerii. Wszyscy artyści, których zaprosiłem, godzili się na wystawy w Psie, okazało się, że moim największym kapitałem jest to, że mnie właściwie nie ma – młoda galeria bez obciążeń, tabula rasa. Z wieloma artystami było mi wtedy łatwiej rozmawiać niż dziś, kiedy wiele osób ma wyrobione zdanie na mój temat, często złe.

W pewnym momencie poczułem moc. Zacząłem dostrzegać, że na wernisażach jest pełno ludzi, że o Psie się mówi, że jak gdzieś pojadę, okazuje się, że wszyscy znają tę galerię i dobrze na nią reagują. Do tego w Polsce w tamtych latach był hype na sztukę współczesną – poczułem, że jest zajebiście. I to był błąd – poczucie zadowolenia uśpiło czujność.

Wcześniej jednak zmieniłeś Psa z niezależnego projektu w galerię komercyjną.

Przestraszyłem się, że jak tak dalej pójdzie, to któregoś dnia obudzę się dwadzieścia lat starszy – w archiwum galerii Pies. Coś trzeba było zmienić. Zmieniłem więc formułę, zacząłem reprezentować artystów. W 2009 po raz pierwszy pojechaliśmy na targi sztuki.

Po Psie, jak mówi jej założyciel, pozostały ściany, wiertarka i historia, która jest kapitałem tej galerii.

Na które?

Do Wiednia. To są niedrogie targi – cały udział kosztował w granicach kilkunastu tysięcy złotych.

Mimo wszystko to droga impreza, biorąc pod uwagę, że niewiele wcześniej utrzymywałeś „Psa" za kilkaset złotych, których w dodatku nie miałeś.

No dobra, ale to było na początku, a tu już jesteśmy w środku tej historii. Do Wiednia jechaliśmy z artystą Łukaszem Jastrubczakiem oplem astrą, rocznik '93, z taką przyczepą, jaką można wynająć na stacjach benzynowych. Mieliśmy pracę Tomasza Mroza, dużą figurę z silikonu, która się nie mieściła i stopy wystawały jej z tej przyczepy. Przyjechaliśmy do Wiednia o 5 rano. Spaliśmy na parkingu targów w tym oplu, prawdopodobnie najstarszym i najgorszym samochodzie w całym mieście. Tym autem można było jechać tylko z domu do warsztatu, i to bez pasażera, a my pojechaliśmy do Austrii i jeszcze pociągnęliśmy przyczepę. To było brawurowe, ale się udało. Zarobiliśmy jakieś pieniądze, rok później znów pojechaliśmy. Oczywiście tego rozpędu nie można było utrzymać długo, przyszedł kryzys i pieniądze gwałtownie się zmniejszyły, kolekcjonerzy nie byli już tak zainteresowani kupowaniem sztuki.

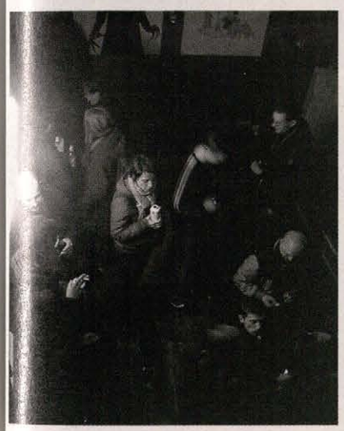

Galeria Radziszewskiego była miejscem wyjątkowym. Można tu było obcować ze sztuką, ale przy odrobinie pecha dostać w zęby.

A kiedy zacząłeś myśleć o wyprowadzce z Poznania?

W pewnym momencie moje myśli zakaził wirus, że ja już nie chcę tu mieszkać, że jestem zakładnikiem tego miasta i chcę się od niego uwolnić; jedyne miejsce w Polsce, do którego był sens się przenosić, to Warszawa. Z drugiej strony w moim myśleniu o Psie zawsze obecny był taki wątek, że ta galeria nie jest w tym mieście. Że ta galeria nie odnosi się do Poznania, do lokalnych problemów, instytucji, że jesteśmy ponad, że nie interesujemy się tym całym Arsenałem (poznańska publiczna galeria miejska – przyp. red.), nie chodzimy tam i się z nich śmiejemy. Chodziło bardziej o wzbudzenie poczucia nienawiści niż miłości. To nie była galeria lokalna. Inna rzecz, że Pies stał zawsze na granicy profesjonalizacji, nigdy jednak nie zrobił decydującego kroku. Ten trash, który był immanentną częścią tego projektu, już mnie zaczął męczyć. Przeformatowanie Psa okazało się niemożliwe, naturalnym krokiem była zmiana miejsca.

Rozczarowałeś się Poznaniem?

W ostatnich latach w Poznaniu działo się nieproporcjonalnie dużo, trudno jest utrzymać taką dynamikę. Dzięki niej powstał Pies czy Galeria Stereo. Tu chodzi nie tyle o Poznań, ile o Warszawę i możliwości, które stwarza. Ale swoją drogą zadziwia mnie fakt, że w Poznaniu, odkąd pojawiła się galeria moja i Stereo, czyli od lat, nic się nie dzieje. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie zakładają nowych galerii – tak jak w liceum nie rozumiałem, dlaczego nie zakładają zespołów. Co oni mają do roboty? Co robią ci ludzie z historii sztuki? Czym się zajmują? Rozumiem, że to nie musi być każdy, ale jedna osoba na parę lat mogłaby się jednak pojawić.

Czy twoja przeprowadzka do Warszawy to symboliczny koniec boomu na sztukę w Poznaniu?

Nie wiem, czy mam taką władzę symboliczną. Symboliczny koniec to będzie, jak z Poznania wyjedzie Wojtek Bąkowski.

Ty się przenosisz, ale Psa nie przeprowadzasz. Nowa galeria nazywa się Dawid Radziszewski. Czy to znaczy, że Pies został tym samym pogrzebany?

Nie tyle pogrzebany, ile zamrożony. Byłoby świetnie, gdyby znalazł się ktoś młody, kto by chciał go poprowadzić.

A jest co przejmować? Wydawało mi się, że Pies to ty – aż tyle, ale też tylko tyle. Co zostało w tej galerii, kiedy z niej wyszedłeś?

Są ściany, jest wiertarka i jest historia tej galerii, która jest jej kapitałem.

Byłbym zapomniał: dlaczego Pies był Psem?

Na dziedzińcu kamienicy, w której jest galeria, stoi pomnik wszystkich psów, które żyły na tym podwórku od 1900 r. Ładna betonowa rzeźba. Postawiła ją właścicielka kamienicy, pani Alina Kasprowicz, która jest fanką psów i właścicielką fundacji Zwierzęta i my. Poza tym Pies to świetna nazwa.

Jaki morał wyciągnąłeś z Psa? Znalazłeś klucz do sukcesu w prowadzeniu galerii?

Kiedy zakładasz galerię, tak jak ja teraz, czujesz totalny entuzjazm, napędza cię wiara, że podbijesz świat. Skończyłem historię sztuki, ale nie interesowałem się specjalnie studiami, szły mi jak krew z nosa, czego z perspektywy czasu żałuję, bo w moim Instytucie byli świetni profesorowie. Nawet te okruchy wiedzy i refleksji na temat sztuki są dla mnie teraz użyteczne. Najważniejszy był jednak Pies i to on był tak naprawdę moimi studiami. Ostatnia wystawa w galerii była równocześnie moim kuratorskim dyplomem na ASP, gdzie też studiowałem. To był taki symboliczny, podwójny koniec.

Mam więc za sobą ośmioletnie doświadczenie sukcesów i błędów i wiem, jak to zrobić – wiem, jak stworzyć galerię Wiem też, że chwila nieuwagi wystarczy, aby wszystko zepsuć. Najważniejsze jest to, żeby nie robić wystaw, do których nie jesteś absolutnie przekonany. Kluczową sprawą jest poczucie, że ta wystawa, którą akurat robisz jest najważniejszą rzeczą na świecie. Jeżeli to nie jest najważniejsza rzecz na świecie, to nie wychodzi. Najgorsze, co możesz zrobić w galerii, to pójść na kompromis. Oczywiście bezkompromisowość ma swoją cenę. Idąc na kompromisy niwelujesz ryzyko, tyle że świat sztuki jest wyolbrzymionym modelem kapitalizmu: zwycięzca bierze wszystko, ryzyko jest więc niezbędne.

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

Liczy się pomysł, nie kasa

Jeżeli miałbym coś radzić młodym: nie myślcie, ile wasz film będzie kosztował ani ile zarobi, ryzykujcie. Film można zrobić za 1000 złotych, trzeba tylko mieć inicjatywę, odwagę i wiarę. Dziś mamy w kinie za dużo rzemieślników i księgowych, a za mało prawdziwych artystów – mówi **Mariusz Grzegorzek**, reżyser, nowy rektor łódzkiej Filmówki.

Chodzi pan do kina?
Często, choć nie przesadzam zbytnio. Szczególnie krajową produkcję traktuję z pewną taką nieśmiałością.

Większość zrobili absolwenci Łódzkiej Szkoły Filmowej, której został pan rektorem. Po co to było panu?
Trzeba mieć dobry powód, by mieszkać w Łodzi. Ja mam dwa. Teatr im. Jaracza, w którym od wielu lat w cudownej energii, ze wspaniałym aktorskim zespołem robię przedstawienia, i Szkoła Filmowa, w której spełniły się moje marzenia o reżyserii i w której od 20 lat spotykam się z młodymi ludźmi. Na poziomie zewnętrznym w szkole ostro się kręci, powstają kolejne specjalności, rekrutacja idzie pełną parą, mury pną się do góry, chętnych studentów nie brakuje, ale ja odczuwałem wielki dyskomfort. Szkoła, przy całym szacunku dla jej ogromnego potencjału, w pewnym sensie zamierała, bo brakowało jej najważniejszego: ducha, energii, która łączy ludzi.

Filmówka powinna kształcić rzemieślników czy artystów?
Jednych i drugich. Rzemiosło filmowe jest zarazem prostym i skomplikowanym zagadnieniem. Kiedy tu studiowałem, takie rzeczy jak rytmy, sklejki pasywne i aktywne, wielkości planów, które można ze sobą montować, to było abecadło. Profesorowie oceniali wniklie, jak nasze filmy są zrobione na poziomie warsztatowym. A teraz potwór rzeczywistości zjadł wszystkie zasady i kino stało się potężną, musującą, wielokształtną magmą. To fascynujące i zabójcze jednocześnie.

Z jednej strony Leos Carax czy Carlos Reygadas odlatują w kosmos, a z drugiej strony Steven Spielberg robi „Lincolna". Dzisiejsze kino jest tak różnorodne, operuje tak wieloma językami, że nie da się go nauczyć. Nie demonizowałbym warsztatu. Oczywiście, istnieje abecadło, fundament, punkt startowy, którego uczymy w szkole, ale tak naprawdę trzeba mieć wyobraźnię, poczucie sensu, formy, by znaleźć własną drogę.

Przepraszam, to czego uczy szkoła, jak nie warsztatu?
Myślenia! Artystycznej inicjacji, odrzucania schematów. Umiejętności jasnego formułowania intencji, intensywnej pracy z innymi, w zespole!

Jakim jest pan nauczycielem?
Ostatnio trochę zbyt nerwowym i agresywnym. Rektorowanie ponadnormatywnie podbiło mi poziom odpowiedzialności za wszystko i wszystkich, ale pracuję nad tym. Po prostu zbyt często spotykam się z postawą pasywną, inercyjną i to mnie wykańcza. Prowadzę wspólnie z Łukaszem Barczykiem zajęcia z reżyserii filmu fabularnego na roku trzecim. Ich owocem jest 15-minutowy film fabularny. Pierwsze dwa lata nauki podstaw studenci odrabiają bardzo rzetelnie, wiadomo, co robić. Ale później trzeba się wysforować na samodzielność, odpowiedzieć: „Po co chcę robić filmy? O czym? Jak opowiedzieć historię, by poruszyła innych?". I wtedy zaczynają się rozterki, które zbyt często stają się alibi do zaprzestania pracy nad sobą.

U mnie jest czułe okrucieństwo, gonię do roboty, niestety, zbyt często brakuje chętnych do eksperymentu. Studenci chcą przez pięć lat opowiadać historię typu: Ala ma kota. A ja mówię: kończy się, kurwa, kindergarten z huśtawkami i sokiem malinowym, zaczyna się małe, dorosłe życie. Może czas skomplikować trochę przekaz i formę, wejść głębiej? Wtedy słyszę: „Grzegorzek znowu ma jazdę".

Studenci z kolei narzekają, że wasze studio filmowe Indeks nie pomaga im kręcić filmów.
Zgoda, szukamy pieniędzy, ale gotowych scenariuszy, za którymi moglibyśmy stanąć murem – brakuje. Zresztą Indeks stoi u progu organizacyjnej rewolucji… Ale jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić.

Że mało tych wybitnych mistrzów w roli nauczycieli.
Nie wiem, kto to panu powiedział. Na reżyserii można spotkać się przy pracy nad fabułą z Janem Jakubem Kolskim, Filipem Bajonem, Robertem Glińskim, Wojciechem Marczewskim, Leszkiem Dawidem, a w dokumencie z Kazimierzem Karabaszem, Maciejem Drygasem, Grażyną Kędzielawską czy Marią Zmarz-Koczanowicz. To mało?

Że technologicznie nie nadążacie za współczesnością kina.
Kolejna nieprawda. Praca w nowych technologiach cyfrowych jest w szkole bardzo rozwinięta. Zresztą technologia, technika… Ona sama nie zrobi filmu. Nie należę do grupy zapaleńców, którzy jeżdżą na festiwal Camerimage i przyglądają się coraz to nowym kamerom i innym gadżetom. Gdy oglądasz film, interesuje cię twarz człowieka, jego emocje, relacje, sens opowieści. Całą tę rewolucję cyfrową można sprowadzić do tego, że bierzesz aparat fotograficzny albo komórkę i kręcisz nimi obrazy, często zbliżone jakością do tych, jakie osiąga się na taśmie. Potem montaż na komputerze, korekcja barwna i gotowe. Koszt kilka, kilkanaście tysięcy złotych. Ale czy to znaczy, że powstał w Polsce obieg alternatywny korzystający z coraz tańszej technologii? Gdzie te krótkie metraże, fabuły robione komórkami, aparatami? To bogactwo możliwości technicznych zaowocowało wypale-

MARIUSZ GRZEGORZEK
Scenarzysta, reżyser filmowy i teatralny. Od 1989 r. wykładowca, a obecnie rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Nakręcił „Jestem twój", „Królową aniołów", „Rozmowę z człowiekiem z szafy". Ale też dokumenty: „Arvo Pärt. Gra liczb", „Meredith", „Ars nova. El libre vermell. Pieśni pielgrzymujących do klasztoru Monserrat". Regularnie reżyseruje w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi.

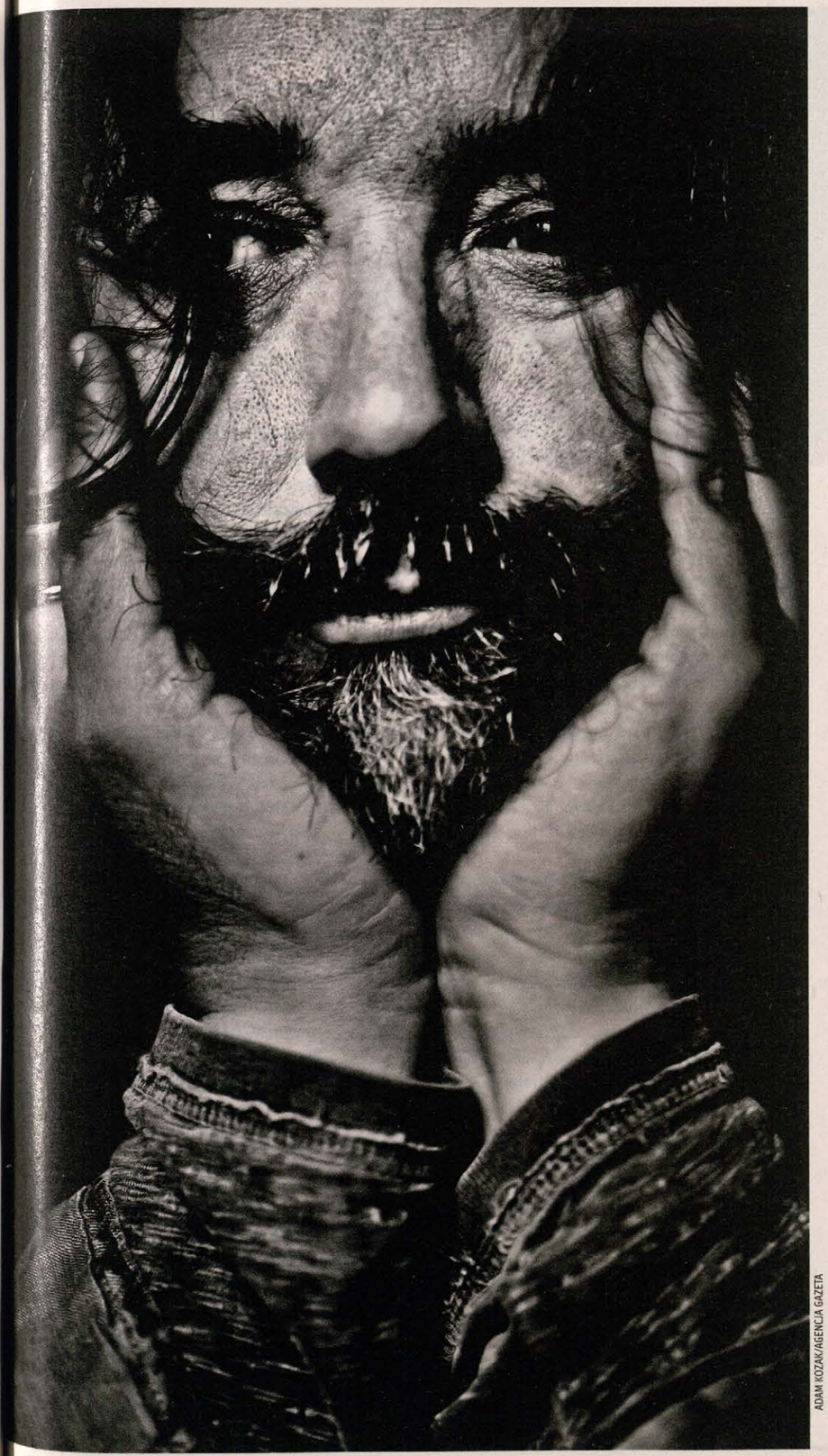

ADAM KOZAK/AGENCJA GAZETA

niem twórczym. Za łatwo można nakręcić dziś film.

Pana też to dotyczy?

U mnie sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Wciąż mam biegunkę przed wejściem na plan. Boję się, bo wiem, że czai się dziwna moc, zła baba-jaga, która wjedzie na smoku na plan i go rozpierdoli. Rozwala mnie ta cała machina filmowa: reflektory, światła, wózki, jazdy, szyny, ostrości, filtry. A nowoczesna technika pozwala mi to ograniczyć, zostać z filmem sam na sam. Ostatni, „Jestem twój", nakręciłem kamerą cyfrową. W bardzo kameralny sposób, dzięki pomocy żony – producentki i grupy przyjaciół. Ale trudno mi znaleźć solidną motywację do szybkiego nakręcenia następnego.

Reżyser, który nie lubi planu?

Nienawidzę. Nie chcem, ale muszem. Uważam po prostu, że malarz, który za bardzo lubi malować, powinien natychmiast zaprzestać. Jestem człowiekiem postprodukcji, najwspanialszym etapem pracy nad filmem jest montaż. Wtedy nikt się nie wtrąca, mogę się samotnie podniecać przy komputerze, bo sam ostatnio montuję.

Gdy myślę o nowym filmie, interesują mnie dwa kierunki: totalnie narcystyczny, ale potężny w wyrazie obraz zgnicia, sfermentowania, magmy potwornej narodu polskiego, którego jestem elementem. Wyrzygania się na siebie i mój naród nadwiślański, tę mizerną, agresywną, niezdolną do szacunku i odpowiedzialności wspólnotę, którą tworzymy. Byłby całkowicie chuligański pod względem warsztatowym, rodzaj zemsty na mojej Polsce: nie potrzebuję pieniędzy na zrobienie tego filmu, więc kręcę go sam i przed nikim, nawet sobą samym, nie muszę się tłumaczyć. Mały aparat cyfrowy, autofokus, mikrofon, zero światła i w drogę.

Sławomir Idziak powtarza, że zmiany technologiczne spowodowały, że więcej jest dziś twórców niż odbiorców. Na młodego reżysera nikt nie czeka, nie jest ciekawy jego pierwszego filmu.

To prawda. Młodzi, którzy zabierają się za kręcenie, doskonale to wiedzą. Może nawet lepiej niż starsze pokolenie. Kiedy studiowałem, też było ciężko. Ale wtedy jeszcze reżyser to był ktoś: artysta, demiurg. Dziś ambitny reżyser zwykle pisze sobie scenariusz, jest księgowym, który liczy, ile jeszcze mu brakuje kasy do dopięcia budżetu, i PR-owcem.

„Zdewastowane, odhumanizowane pokolenie. Nastawieni są na karierę, zepsuci przez telewizję" – tak o swoich studentach, czyli też o panu, w połowie lat 80. mówił Wojciech Jerzy Has. Czyli nic się nie zmieniło?

Nie do końca zgadzam się z tym wyrokiem. Jest takie bardzo wulgarne sformułowanie, które 20 lat temu usłyszałem z ust pewnego niezwykle asertywnego kierownika produkcji: „Nie czuj się taki ważny. Żeby być reżyserem, wystarczy mieć dziurę w dupie". Było mi wtedy strasznie przykro, ale to chamskie okrucieństwo często dzwoni mi pod czaszką. Bo dzisiaj rzeczywiście każdy może być kompozytorem, muzykiem, pisarzem, aktorem, poetą, designerem, reżyserem. Każdy może

> ☞ **Rewolucję cyfrową da się sprowadzić do tego, że bierzesz aparat albo komórkę i kręcisz obrazy. Ale bogactwo możliwości technicznych zaowocowało wypaleniem twórczym. Za łatwo można nakręcić dziś film.**

zalać nas oceanem swej twórczości, jakże często bez ładu, bez sensu, zamulające wszystko błoto bylejakości blokuje mi mózg i serce, nie mam ochoty czuć ani myśleć. W takiej amorficznej rzeczywistości młodzi ludzie mają ciężko.

Za Hasa było lżej?

Etiudy powstające na drugim roku łódzkiej szkoły pod jego opieką studenci nazywali hasówkami. Wszyscy się na nie strasznie napinali, bo hasówka to był pierwszy naprawdę duży film, wiele tych prac dostawało nagrody. I ja też przyszedłem na zajęcia do Hasa strasznie napięty. Zobaczyłem skupionego, zamkniętego człowieka, który odpala papierosa od papierosa i prawie nic nie mówi! Nie reagował na mnie, coś tam komentował równoważnikami zdań. Zaczęliśmy przynosić mu scenariusze i on tymi monosylabami zaczął je omawiać i okazało się, że monosylaby Hasa są zaskakująco celne. Dla mnie to było absolutnie uleczające doświadczenie. Lekcja pokory i sensu.

Ludzie, którzy go znali w latach 80., mówią, że był chimeryczny, zdziwaczały, mało sympatyczny. Dogadał się pan?

Myślę, że ostatnia rzecz, na której mu zależało, to bycie sympatycznym. Zamiast scenariusza filmu przyniosłem spisaną na kartce listę obrazów: kobieta w jakiejś białej wielkiej przestrzeni, zakład psychiatryczny, płonie mnich tybetański, rozbija się samolot, wybuchają wulkany... Rozpacz, „De Profundis" w wykonaniu Dead Can Dance. Miałem nadzieję usłyszeć: „Panie Mariuszu, zaskoczył mnie pan, to jest niezwykle obiecujące. No, jestem ciekaw, jaki będzie efekt". Zamiast tego było krótkie: „No, to dobra, robimy".

Ale czułem, że Has kuma czaczę, daje szansę, ufa. Moja debiutancka etiuda „Krakatau" zdobyła wiele nagród, uspokoiłem się, mogłem zacząć znowu się uczyć i brać coś ze szkoły, a nie się na nią obrażać.

Nie wyobrażałem sobie tego filmu bez muzyki Dead Can Dance. To było prawie 30 lat temu, PRL, ale jednak jakieś prawo autorskie obowiązywało. Zmontowałem list-kolaż, wyklejanki, rysowanki, stare ryciny, zniszczone znaczki. Prosiłem o możliwość wykorzystania utworu i wysłałem do wytwórni 4AD. Dostałem piękny list od Brendana Perry'ego – dali mi muzykę za friko.

Tak samo z Ianem McEwanem, który dopiero wchodził na brytyjski rynek literacki. Bardzo chciałem, by debiutancką fabułę nakręcić na podstawie jego opowiadania „Rozmowa z człowiekiem z szafy". Znowu wystrzeliłem w kosmos list i kaseta VHS z moimi szkolnymi filmami. McEwan odpisał mi: „Drogi Mariuszu, skoro tak bardzo ci zależy, to come on". Dlatego dzisiaj, kiedy podpisuję tyle różnych próśb mojej szkoły, moich studentów i patrzę na te bezduszne firmowe papiery, Times New Roman i martwe formuły, zawsze mam takie poczucie, że coś ledwie odczuwalnego, ale bardzo ważnego we mnie umarło.

DARIUSZ KULESZA/AGENCJA GAZETA

Jak na ten pomysł zareagował Has?

Zawsze miałem ambicję, żeby nie pracować ze sławami. Główną rolę męską zagrał nieznany wówczas Rafał Olbrychski, montaż (Dorota Wardęszkiewicz) i dźwięk (Jan Freda) robili wspaniali fachowcy, ale wtedy praktycznie bez większego doświadczenia w fabule. A szczytem bezczelności było zaproszenie Joli Dylewskiej do robienia zdjęć. Nie dość, że dziewczyna, co wtedy na wydziale operatorskim było ewenementem, to jeszcze przepadła na drugim roku. Profesor Jahoda dał jej z etiudy niedostateczny. W szkole patrzono na mnie podejrzliwie: jak można ponosić takie ryzyko? Has mi na to pozwolił. Ale gdy zaczął oglądać gotowy materiał, zaczął dziwnie na mnie najeżdżać. Był rozdrażniony. Co to ma być? Nic nie słychać w tych dialogach, kto to nagrywał? Co to za sklejka, przecież to jest źle zmontowane. Atmosfera się zagęszczała. Nie wiem, jak by to się zakończyło, gdyby nie informacja, że „Rozmowa z człowiekiem z szafy" została zakwalifikowana do konkursu głównego w Wenecji. Has odpuścił, a ja wiadomość tę przyjąłem ze spokojem, przekonany, że już zawsze będę miał filmy w głównych konkursach najlepszych światowych festiwali. Niestety, myliłem się.

Idziak, jeszcze raz się na niego powołam, twierdzi, że dzisiejsi debiutanci są na planie totalnie sparaliżowani. Mają świadomość, że jak im film nie wyjdzie, drugiej szansy nie dostaną. Kiedyś też tak było?

Nie sądzę. Finansowanie filmów w Polsce to odrębny świat, tajemnicza, działająca na własnych zasadach forma życia. Owszem, jeżeli startujesz w kategorii „Wyjazd integracyjny", „To nie tak, jak myślisz, kotku" itp., wynik robi różnice. Ale jeżeli robisz ambitne kino, ekonomia nie ma praktycznie większego znaczenia.

Dałem namówić się Agnieszce Holland na udział w pracach jednej z komisji oceniających projekty złożone w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. Mariuszku, myślałem, może uda się komuś pomóc, kto fajnie kombinuje, a nie ma pleców. Coś dziwnego, pięknego i niedrogiego. Po roku czytania mogę uczciwie poprzeć jeden projekt. W kinie można popełniać błędy. Zawsze jest nadzieja na następny raz.

W Polsce działa 14 szkół filmowych, a pan mówi o jednym dobrym projekcie rocznie?

Niech pan się tak nie podnieca tymi statystykami. Dobre są dwie. Przykro mówić, ale jesteśmy chyba genetycznie osłabionym narodem, prawie nic nam nie wychodzi. Jeżeli miałbym coś radzić młodym: nie myślcie, ile wasz film będzie kosztował ani ile zarobi, ryzykujcie. Film można zrobić za 1000 zł, trzeba tylko mieć inicjatywę, odwagę i wiarę. Dziś mamy w kinie za dużo rzemieślników i księgowych, a za mało prawdziwych artystów.

Żyjemy w czasach toksycznego kryzysu. Nie obchodzi mnie polityka, ale dawno nie miałem poczucia, że oddycham morowym powietrzem, to się przekłada na kulturę. A młodzi w skuteczny sposób nie walą pięścią w stół, żadnej rewolucji, żadnej awangardy, żadnego buntu.

Grzegorzek twierdzi, że w szkole filmowej warsztat nie jest najważniejszy. Owszem, jest bazą, ale tu liczy się głównie myślenie, artystyczna inicjacja i odrzucanie schematów. Umiejętności intensywnej pracy w zespole.

No to jak to jest z tą Filmówką?

No bo ja też jestem trochę malkontentem, podniecam się tym, co jest nie tak, a nad pozytywami przechodzę do porządku dziennego. A więc kilka impresji w temacie „życie jest piękne, a wiosna za dwa miesiące": Szkoła Filmowa ma na świecie naprawdę świetną renomę. Znajduje się co roku w prestiżowym The 25 Best Film Schools Rankings magazynu „Hollywood Reporter". Kolega wyjechał do USA, pracuje w salonie samochodowym w małym mieście. Ludzie niezbyt wiele wiedzą o Polsce, ale jak wyszło, że jest po Łodzi, panowie z salonu od razu kojarzyli: Lodz Film School. Ta renoma nie opiera się tylko na legendzie Polańskiego czy Kieślowskiego, ale też na ogromnej międzynarodowej aktywności szkoły. Za granicą docenia się to, co w Polsce jest kwestionowane – oldschoolową (w najlepszym tego słowa znaczeniu) relację mistrz – uczeń, intensywną wymianę wiedzy i energii, połączoną z solidnym fundamentem warsztatowym. W końcu nie ma obowiązku, żeby zagraniczni studenci siedzieli tutaj pięć lat i bulili 14 tys. dolarów czesnego rocznie. Ale to robią. Łódzka Szkoła Filmowa jest pięknym, zadziwiającym miejscem. Pełnym sprzecznych energii, fascynująca i irytująca zarazem. Rozdzierana przez ego wielkich indywidualności i zamulana przez bierność etatowych „nauczaczy". Ale dla pokoleń filmowców jest portem, z którego się wypływa i do którego się wraca. ☜

Maciej Nowak

Potrawy lokalne

ARTUR KOT

To prawdziwy paradoks, że najnowocześniejsze miasto w Polsce ma jednocześnie najbardziej zachowawczą teatralną opinię publiczną.

Gdzieś tam daleko odbywają się ekscytujące premiery. Krzysztof Garbaczewski z Marcinem Cecką w Teatrze Polskim w Poznaniu przygotowali współczesną wersję mitu Balladyny. Paweł Łysak w Bydgoszczy odkurzył „Wiśniowy sad" Antoniego Czechowa, Wojciech Faruga w Wałbrzychu dokonał reanimacji „Betlejem polskiego" Lucjana Rydla, a Anna Smolar w Białymstoku dała premierę niesłusznie zapomnianej „Wariatki z Chaillot" Jeana Giraudoux. Ale nie dla mnie na razie to cymesy, bo cotygodniowy magazyn TVP 2 „Wszystko o kulturze" od początku roku szuka środków, które pozwolą uruchomić produkcje wyjazdowe. Nie ma jednak co narzekać, stara szkapa z Woronicza to ostatnia telewizja w Polsce, która jeszcze ma odwagę zajmować się publicystyką kulturalną i przede wszystkim – umie to robić. W TVN na hasło kultura wszyscy krzyczą w popłochu, o Polsacie nie ma w ogóle co mówić. Dlatego czekam cierpliwie w zajezdni i nadrabiam warszawskie zaległości. I tylko czasami z niecierpliwości zazgrzytam starym dzwonkiem.

Niektórych stołecznych teatrów nie odwiedzałem od lat. Kiedyś były to dla mnie sanktuaria sztuki dramatycznej, najwznioślejsze almae matres myśli scenicznej, jednak już od wielu lat inspiracji i zachwyceń szukam poza Warszawą, tam gdzie wygnani zostali twórcy, których wymieniłem w pierwszym akapicie. Bo wszyscy z Warszawy pochodzą i wszyscy w Warszawie mieszkają. Czy to jakaś nowa tendencja? W żadnym wypadku! Pamiętam z lat 80. długie i gorzkie rozmowy przy Narbutta w mieszkaniu Ireny i Tadeusza Byrskich, charyzmatycznych reżyserów z przedwojennego kręgu Czesława Miłosza i powojennych wyznawców Jerzego Grotowskiego. Ich dyrekcje w Kielcach, Gorzowie i Poznaniu przeszły do teatralnej legendy, jednak do prowadzenia teatru w Warszawie nie dopuszczono ich nigdy. Bardzo mali rycerze w typie dzisiejszego wiceprezydenta Warszawy odpowiedzialnego za kulturę, broniący stolicy przed sztuką niebanalną, stali na posterunku zawsze. Co nie znaczy, że nie rozumiem tej strategii, bo przecież moja emigracja ze stołecznych teatrów nie oznacza, że stoją one puste. Wręcz przeciwnie, widownie są pełne, rozklaskane i zadowolone z tego, że oglądają teatr taki, jaki już wcześniej widziały. To prawdziwy paradoks, że najnowocześniejsze miasto w Polsce ma jednocześnie najbardziej zachowawczą teatralną opinię publiczną.

„Ja, Feuerbach" w Ateneum to kolejna premiera w guście teatru, który dobrze znamy, oj, znamy, panie Włodku, znamy. Ostatnio tekst Tankreda Dorsta gościł w Warszawie równo ćwierć wieku temu w Teatrze Dramatycznym, gdzie wystawił go i tytułową rolę zagrał Tadeusz Łomnicki. To był wywołujący dreszcze monolog starego aktora, który wypluty na skalisty brzeg teatralnego oceanu liże rany i wyje z bólu. Wielki Łom stworzył dzieło ekshibicjonistyczne, zawarł w nim cytaty ze swoich najsłynniejszych kreacji, ale też zgorzknienie giganta polskiej sceny, który pod koniec życia nie miał miejsca we własnym mieście. Piotrowi Fronczewskiemu nie można odmówić aktorskiego kunsztu, wypowiadane przez niego „Kwiatki św. Antoniego", podczas których pusta scena zaświergała setkami rozpitpilitanych i pimpilanych małych ptaszków, to seans teatralnej magii. Ale też postać Feuerbacha zbudowana jest technicznie, z zewnątrz, zapewniając stołecznej publiczności to, co uwielbia od lat w Panu Piotrusiu: skrzypiący głos z nosowym tonem, akcentowe przerzutnie, zmysł groteski. U Łomnickiego była rozpacz króla Leara, zapiekłość Salieriego, perfidia Artura Ui. U Fronczewskiego mamy portret aktorskiego niespełnienia. Bezradności, kruchości, uzależnienia od cudzego spojrzenia, konieczności stawania do castingu. Ciekawe, że w recenzjach po spektaklu Łomnickiego tłumaczono, czym jest takie przesłuchanie. Wtedy w Polsce, szczycącej się potęgą swych teatrów zespołowych, było to zjawisko kompletnie niezrozumiałe. Dziś nikogo już to nie trwoży, a przyjemne półtorej godziny spektaklu mija bezboleśnie. W sam raz, by zdążyć jeszcze na poteatralną kolację.

Najlepiej w znajdującym się po sąsiedzku klubie Solec, gdzie Aleksander Baron serwuje zaskakujące kompozycje z rodzimych produktów. Móżdżek jagnięcy w bulionie wołowym z surowym żółtkiem? Ozorek na purée z selera z grillowaną cykorią? Wstrząsające!

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

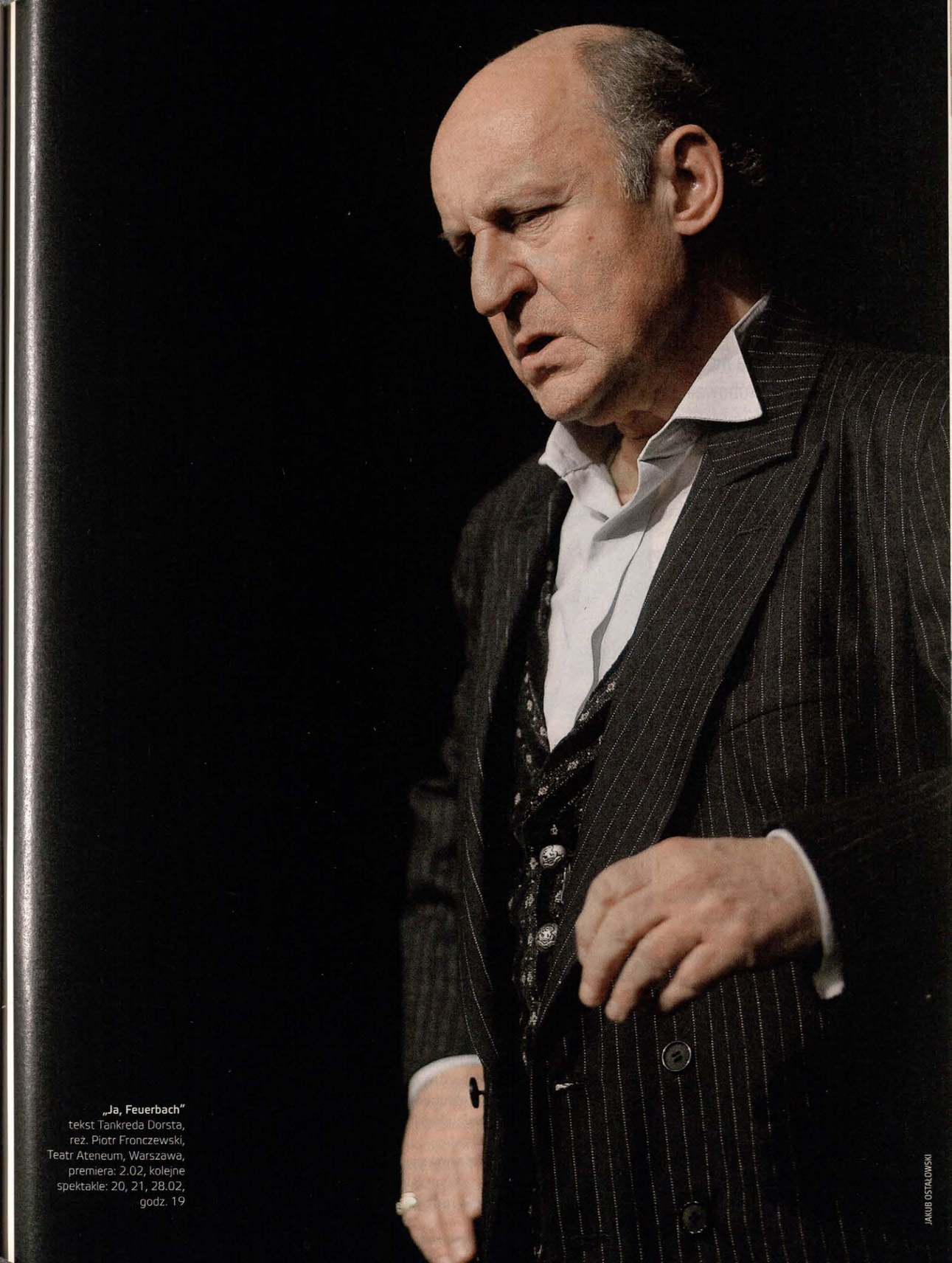

„Ja, Feuerbach"
tekst Tankreda Dorsta,
reż. Piotr Fronczewski,
Teatr Ateneum, Warszawa,
premiera: 2.02, kolejne
spektakle: 20, 21, 28.02,
godz. 19

JAKUB OSTAŁOWSKI

ROZMAWIA DOROTA CHROBAK

Moja ulica murem podzielona

– Mam nadzieję, że dla moich bohaterów ten film będzie śladem po tym, kim byli. Pamięcią o tym, co przez pokolenia próbowali po sobie pozostawić – mówi **Marcin Latałło**, reżyser „Mojej ulicy". Dokument o losach łódzkiej rodziny robotniczej wreszcie trafi do naszych kin.

„Mojej ulicy" poświęciłeś aż pięć lat życia. Co takiego się wydarzyło, że projekt, który miał trwać określony czas, raptem przekształcił się w wieloletnią przygodę?

Nie planowałem tego, o wszystkim zadecydował przypadek – taki jak w filmach Krzysztofa Kieślowskiego. To u niego na planie poznałem francuską aktorkę Irene Jacob, po latach spotkałem ją znowu i oprowadzałem po Łodzi. Akurat wtedy zaczynała powstawać tam Manufaktura, największe centrum handlowe w Polsce. Wyglądało to dość niesamowicie: po jednej stronie ulicy Ogrodowej budynki fabryki Izraela Poznańskiego pięknieją z dnia na dzień, a po drugiej nie zmieniało się nic. Coś mnie podkusiło, żeby przejść na tę „gorszą" stronę ulicy, wejść w jedno z podwórek... i już tam zostałem. Życie mnie wciągnęło. Życie robotników, którzy od pięciu pokoleń mieszkali w tym mieście, na tej ulicy i pracowali w fabryce po jej drugiej stronie.

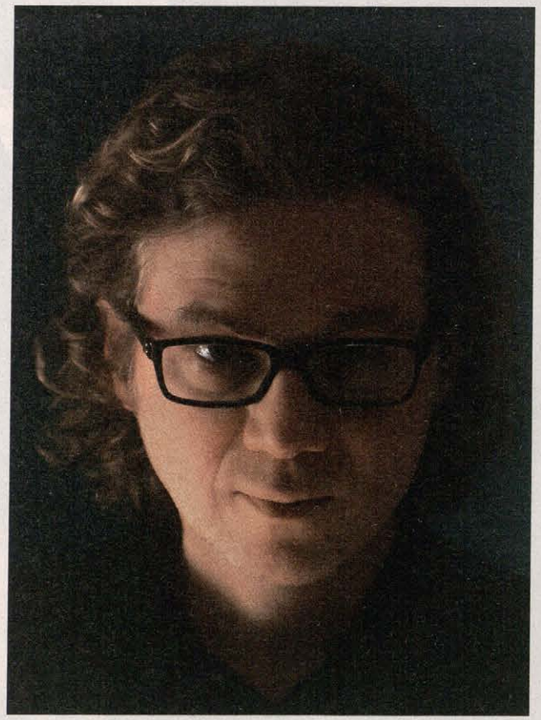

A teraz pod ich oknami powstawało gigantyczne centrum komercyjne...

Zbudowane z tych samych cegieł, z których wzniesiono ich domy i ich fabrykę na przełomie XIX i XX w. To był niesamowity skrót historii, zarówno Łodzi, jak i naszego kraju w ogóle – od „Ziemi obiecanej" poprzez wojnę, komunizm, upadek komunizmu, wejście kapitalizmu i przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. W losach tych ludzi, tej prostej rodziny to wszystko się odbijało. I to było fascynujące. Zacząłem tam chodzić z kamerą wypożyczoną od znajomego producenta, bo czułem, że to jest historia tak wyjątkowa, a zarazem tak bardzo zwyczajna, że muszę ją jakoś udokumentować. Nie bardzo jednak wiedziałem jak.

Nie miałeś nawet szkicu scenariusza?

Miałem skrypt, ale ten skrypt przewidywał, że rodzina będzie trzypokoleniowa, a moi bohaterowie pracowali w fabryce od pięciu pokoleń. Pamiętam też wstępne założenie: „dobrze, gdyby pod koniec filmu urodziło się dziecko". Tymczasem pierwsze dziecko urodziło się na początku, a drugie w trakcie zdjęć. Życie przerosło moją wyobraźnię.

„Moja ulica" to jednak historia powolnego rozpadu tej rodziny.

Mam wrażenie, że mój film jest świadectwem wygasania pewnego gatunku – klasy robotniczej w Polsce. Akcja „Mojej ulicy" toczy się w Łodzi, ale równie dobrze mogłaby się toczyć w Gdańsku koło stoczni albo na Śląsku w kopalniach. W przypadku Łodzi różnica jest taka, że tam grupy społeczne są mniej zorganizowane. Przede wszystkim pokazuję rozpad tkanki społecznej. Problemy finansowe, z alkoholem, ze zdrowiem to nie są kwestie, o których moi bohaterowie zdecydowali. Ich miejsce na świecie zostało zamknięte, fabryka została zamknięta, oni znaleźli się bez pracy, po drugiej stronie ulicy, a ten nowy kapitalizm, który wszedł, nie ma im nic do zaproponowania. Oprócz konsumpcji: chodźcie do nas, kupujcie, wydawajcie pieniądze.

Tylko skąd te pieniądze wziąć?

Ja nie twierdzę, że kapitalizm jest zły. Wręcz przeciwnie. Bez niego fabryka Poznańskiego zostałaby zburzona i tego historycznego miejsca, w samym centrum Łodzi, już by nie było. A przecież powstało coś pięknego. Tyle że mamy trzy strony medalu. Z jednej strony ludzi, z drugiej kapitał, a z trzeciej strony wielki nieobecny, czyli państwo, politycy i miasto, którzy na podwórkach przy ulicy Ogrodowej – a siłą rzeczy także w moim filmie – w ogóle się nie pojawiają.

Dlaczego, twoim zdaniem?

Najłatwiej jest zamknąć oczy, odwrócić się, przenieść wzrok na piękniejszą stronę ulicy i pozwolić, żeby za plecami nastąpiła degeneracja tkanki społecznej. Przecież na tych podwórkach miasto stworzyło slumsy. Umieszczani są tam ludzie z nizin społecznych, którzy żyją praktycznie poza prawem. Sprzedaje się tam alkohol... To nawet nie jest alkohol, tylko jakieś świństwo za 4, 5 zł. Ludzie to piją, umierają po tym. Jak w tej chwili wygląda sytuacja, nie wiem, bo już nie mieszkam w Łodzi, ale wtedy władze naprawdę nic z tym nie robiły. Ja w każdym razie chciałem pokazać, jak moim bohaterom trudno zachować godność i pozostać ludźmi w takich warunkach. Marek jest alkoholikiem, zgoda, ale alkoholizm to przecież choroba. W tym przypadku bardzo wyraźnie jest to choroba społeczna, która nie została wywołana tym, że on lubił sobie popić. Nie. To jest wywołane tym, że od 15 lat nie miał pracy i że w XXI w. żyje w mieszkaniu, w którym nie ma prawa wybudować sobie ubikacji. Bo nie ma odpowiednich rur.

Wspomniałeś kiedyś, że im dłużej kręciłeś „Moją ulicę", tym było ci ciężej.

Moja rola w tym wszystkim była bardzo trudna i niejednoznaczna. Nie jestem politykiem ani pracownikiem socjalnym, jestem filmowcem. Nakręciłem film i mam nadzieję, że osoby, które go obejrzą, inaczej spojrzą na takie dzielnice – bo przecież takie rejony są w każdym mieście. Chciałbym, żeby mój film pozwolił widzom wejść do domów, do których normalnie nikt nie zagląda, i sprawił, że inaczej spojrzą na tych ludzi.

Dorota Chrobak o filmach

MATERIAŁY PRASOWE (2)

DOKUMENT

Moja ulica

reż. Marcin Latałło
Francja/Polska, 2012,
dystr. Fundacja Magellan,
80 min

Mam do „Mojej ulicy" bardzo osobisty stosunek – reżyser jest moim dobrym znajomym, a film oglądałam nieraz. Postaram się jednak uczciwie wyjaśnić, za co przyznaję mu tak wysoką notę. Historia rodziny Furmańczyków rozsypującej się pod wpływem zderzenia z walcem kapitalizmu to dzieło, które zamiast tracić, tylko zyskuje na aktualności i – w przerażający sposób – staje się coraz celniejsze i lepsze. Ale tym, co dobry film przekształciło w bardzo dobry, jest przejmujący finał. Moment, gdy reżyser „wychodzi z siebie" i staje przed kamerą, dając wyraz swojemu zażenowaniu, bezradności i poczuciu przegranej, to dotknięcie wielkiego kina. A przy okazji bardzo gorzki głos w dyskusji o pułapkach zawodu dokumentalisty.

DRAMAT WOJENNY

Tajemnica Westerplatte

reż. Paweł Chochlew
Polska, 2012,
dystr. ITI Cinema,
ok. 120 min

Film zmarnowanej szansy. Scenariusz miał spory potencjał – zwłaszcza na porządny psychologiczny pojedynek dwóch postaw patriotycznych: rozważnej, liczącej się z każdym straconym żołnierzem, i romantycznej, walczącej do ostatniej kropli krwi. Niestety, odtwórcy głównych ról, Michał Żebrowski i Robert Żołędziewski, położyli go koncertowo. Obaj grają w drewnianym, nieznośnie teatralnym stylu, co w kontraście do wybuchów i strzelanin wypada wręcz montypythonowsko. W dodatku filmowi zabrakło dyscypliny, balansuje między osobistym dramatem a widowiskiem akcji i w efekcie nie staje się ani jednym, ani drugim. Powinna być dwója, ale dodatkowy punkt za zapadającą w pamięć, umęczoną twarz Mirosława Baki.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Domek z kart

Wyprodukowany przez Davida Finchera „House of Cards" jest serialem przełomowym. Nie tylko dlatego, że jest pod każdym względem wybitny – zwiastuje rewolucję.

Na czym polega owa rewolucja? Netflix udostępnił cały premierowy sezon jednego dnia. I tak też będzie udostępniać swoje kolejne produkcje, a jest wśród nich m.in. wyczekiwane przez fanów wznowienie komediowego „Arrested Development" („Bogaci bankruci" wg polskiej TV). Amerykański dostawca internetowego VoD sankcjonuje w ten sposób zmianę obyczajów, jaka dokonała się wśród widzów seriali – iluż z nas łykało całymi sezonami „Breaking Bad", „Układy" czy „Prawo ulicy"? Kilkunastogodzinne maratony zamiast grzecznego czekania na kolejny odcinek to już właściwie norma wśród pożeraczy seriali, którzy raczej woleli poczekać, aż nadawca skończy emisję danego tytułu, by móc obejrzeć całość bez irytujących przestojów, niż przyjmować go w cotygodniowych porcyjkach. Netflix zrozumiał tę potrzebę współczesnego widza i wyszedł jej naprzeciw, co zdaniem znawców mediów przyspieszy zgon tradycyjnej telewizji. Bo widz chce mieć tu, teraz i WSZYSTKO.
A sam serial? „House of Cards", pełnokrwisty polityczny dramat z genialną rolą Kevina Spacey, to balsam na duszę serialomaniaka. Napisany, zagrany, zrealizowany tak, że większość filmów kinowych może tylko pomarzyć o takiej jakości. Jeśli coś zaciemnia ten radosny obraz, to fakt, że jesteśmy w Polsce obywatelami trzeciej kategorii, gdy chodzi o dostęp do dóbr kultury – nie możemy legalnie korzystać z usługi Netflix. Runął domek z kart.

ANGELIKA KUCIŃSKA

Nie chciałem wiedzieć

Zaczęło się zbieraniem dźwięków w hiszpańskich górach, skończyło konceptem, który kiedyś zmienił muzykę współczesną. O ścieżce dźwiękowej do „Nieulotnych", nowego filmu Jacka Borcucha, opowiada kompozytor **Daniel Bloom**.

LESZEK KOTARBA/EAST NEWS

Jesteś z tych, którzy uważają, że dobra muzyka filmowa ma przede wszystkim nie przeszkadzać?
To się zmienia, zależy od filmu i wizji reżysera. W przypadku poprzednich filmów Jacka Borcucha muzyka nie mogła być niesłyszalna, bo często wpływała na formę filmu. W przypadku „Nieulotnych" doszliśmy do wniosku, że muzyki mogłoby tu w ogóle nie być. Głównym zamierzeniem było tym razem niepomaganie widzowi. Nie chcieliśmy spłaszczyć historii. Widz nie może dostać takiej podpowiedzi ze strony muzyki, jaką dostawał w poprzednich filmach – tu siłą jest siła emocji bohatera i realizm, a muzyka ma się wtopić w film niemalże jak sound design, subtelnie.

Dlatego sięgnąłeś do Cage'owskiego konceptu przypadkowości?
Przyznam szczerze, że kiedy zaczynałem pracować nad „Nieulotnymi", nie znałem jeszcze Johna Cage'a. Wychowałem się na zupełnie innej muzyce. W przypadku „Nieulotnych" kierowałem się tylko czystą intuicją i chęcią zmierzenia się z nieznanym. Fascynowały mnie nieoczywiste rozwiązania i zapuszczanie się poza znaną i oczywistą harmonię. To doskonale odzwierciedlało ducha tego filmu. Uświadomiłem sobie, że kierowałem się podobnymi motywami, co ultramoderniści amerykańscy, m.in. John Cage czy Charles Ives – celem było to, żeby nie mieć celu. Chodziłem w Hiszpanii po górach i nagrywałem odgłosy przyrody. Nie wiedziałem, po co to robię i czy to wykorzystam, ale podświadomie czerpałem inspirację z ciszy, szumu i z tego, że nic nie wiem. Historia w „Nieulotnych" nie jest czysta i przewidywalna – musiałem zilustrować niewiedzę, panikę, roztrzęsienie. Tego nie można było w tym filmie oddać poprzez muzykę ładną i oczywistą. Mogłem to zrobić jedynie przez coś, czego sam nie znam i nie rozumiem. To było dla mnie świeże i piękne artystyczne wyzwanie.

A jak to, że jesteście z Jackiem braćmi, wpływa na specyfikę waszej współpracy? Nie jesteś tylko kompozytorem, który pisze soundtrack do gotowego filmu – angażujesz się już na etapie pomysłu?
Byłem z filmem od początku, od zdjęć próbnych, testów kamerowych itp. To mi bardzo pomaga. Jacek daje mi wolną rękę, wiedząc, że poświęcę całą energię, żeby muzyka, którą robię do jego filmu, była jak najlepsza. Ale czasami znajdzie się ktoś, kto nie rozumie, dlaczego kompozytor ma jechać na plan. Przepraszam, ja tak pracuję. Potrzebuję zebrać inspiracje. Wstaję rano z całą ekipą, jestem przy ujęciach. Może to dziwne – nie wiadomo, po co ten człowiek tam jest, siedzi i przygląda się. To też kosztowne dla produkcji, żeby kompozytor był na planie, ale to bardzo ważne, żeby te inspiracje zbierać, bo one odkładają się w podświadomości, pracują z opóźnieniem. Gdyby mnie nie było na planie i pisałbym muzykę pod skończony materiał, miałoby to zupełnie inny ładunek.

Twoje soundtracki bardzo się od siebie różnią. To jest tylko kwestia filmów czy potrzeby próbowania czegoś nowego za każdym razem?
Jedno i drugie. Traktuję muzykę jak sztukę – każde kolejne dzieło jest wyzwaniem artystycznym, tak jak dla malarza nowy obraz, a dla reżysera następny film. W „Tulipanach" otarłem się o jazz, bo taki był film, ale też dlatego, że w tamtym momencie życia przeżywałem ogromną fascynację jazzem. Przy okazji „Kallafiorra" byłem zafascynowany muzyką elektroniczną. Przy „Wszystko co kocham" decydowała naiwność, o której jest film – muzyka musiała być prosta i romantyczna, jak bohaterowie. Przy „Nieulotnych" nie chciałem wiedzieć nic, przystąpiłem do pracy z czystą kartą. Wiedziałem tylko, że to, co zrobię, będzie dla mnie czymś zupełnie nowym. Przez tę dekonstrukcję samego siebie czuję się o wiele bogatszy.

Płyty ocenia Angelika Kucińska

Miguel, „Kaleidoscope Dream", Sony

R'N'B

Nowy książę?

Prince może nie wracać. Bo kogo obchodzi kryzys wieku średniego u przebrzmiałej gwiazdy, jeżeli r'n'b dla dorosłych właśnie dorobiło się nowego głosu? Miguel wygrywa starcie z emerytami.

Wygrał też z porażką debiutu. Kiedy trzy lata temu nagrywał pierwszą płytę, szukał pomocy u stada producentów – skończyło się albumem różnorodnym, ale bez charakteru. I co gorsza – z paroma niezłymi singlami, które jednak nie były w stanie pociągnąć sprzedaży całości. „Kaleidoscope Dream" to album przede wszystkim konsekwentny, spójny i przemyślany. Trochę retro, bo przesiąknięty klasyką gatunku. Efektowny, ale bez popadania w efekciarstwo – płyta brzmi bogato, ale studyjne zabiegi nie zasłaniają piosenek. I nawet jeśli rozerotyzowane, pulsujące r'n'b Miguela nie brzmi tak oryginalnie jak muzyka The Weekend i nie rusza tak jak piosenki Franka Oceana, w swoim gatunku nie ma dziś równych.

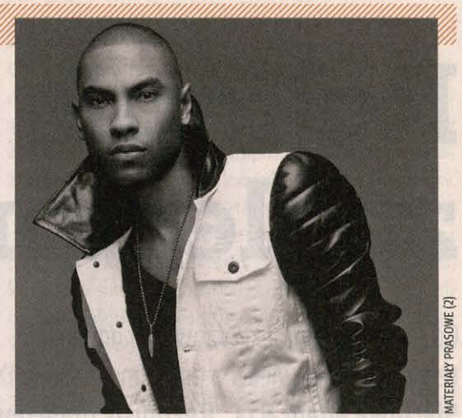

MATERIAŁY PRASOWE (2)

Frightened Rabbit, „Pedestrian Verse", Atlantic

INDIE ROCK/INDIE FOLK

Bez umiaru

W Stanach Zjednoczonych są wielcy, w rodzinnej Szkocji mało kto ich zna. Czy Frightened Rabbit znaleźli wreszcie przepis na globalny sukces?

Mówią, że to ich najlepsza płyta. Na pewno najbardziej maksymalna, bo ewidentnie wyszli z założenia, że rozmiar ma znaczenie. W rozbuchanych, zamaszystych, niemal orkiestrowych aranżacjach słychać determinację, by skutecznie przywalić. Paradoksalnie w tym natłoku brzmieniowych wrażeń nie gubi się treść, bo to teksty ustawiają czwartą płytę Frightened Rabbit. Osobiste, szczere, emocjonalne, wręcz egzaltowane, bo poziomem pretensji muszą dorównać ambitnie rozpisanym kompozycjom. Indie folk kojarzy się ostatnio z konfesyjnym umiarem, Szkoci świadomie zbaczają ze ścieżki wydeptanej przez zastępy smutnych bardów. To co z pytaniem ze wstępu – znaleźli? Do czterech razy sztuka, najwyższy czas zdobyć Europę.

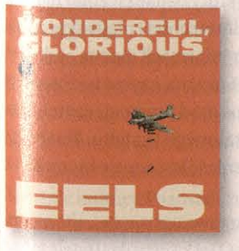

Eels, „Wonderful, Glorious", Universal

ALTERNATYWA

Coś optymistycznego

Największemu smutasowi w promieniu kilku mil od Los Feliz chyba wreszcie udzieliło się kalifornijskie słońce. Mark Everett na dziesiątej płycie Eels zachęca, żeby wąchać kwitnące brzoskwinie. Zwariował?

To może być podstęp. Cały ten optymizm – począwszy od podejrzanego tytułu po afirmacyjne fragmenty tekstów – można uznać za epizodyczną skłonność do ironizowania (chcę w to wierzyć). Człowiek, w którego żyłach płynie blues zamiast krwi, tak łatwo nie porzuca starych przyzwyczajeń. „Wonderful, Glorious" miesza mocne, dynamiczne, napędzane rockowymi gitarami numery z uroczymi, skromnymi smętami. Countryowe „On the Ropes" automatycznie ląduje w klasyce Eels – to jedna z najładniejszych piosenek napisanych przez Everetta. „Wonderful, Glorious" nie jest płytą, która wywraca dorobek zespołu, nie oferuje niczego nowego, ale dowodzi niesłabnącej formy głównego kompozytora. A to cenniejsze niż rewolucje.

MARCIN KUBE

Rękopis znaleziony w sieci

Co powstanie po skrzyżowaniu nowych technologii i powieści z przełomu XVIII i XIX w.? **Sieciowa adaptacja „Rękopisu znalezionego w Saragossie"**, którą można znaleźć na stronie internetowej Korporacji Ha!art.

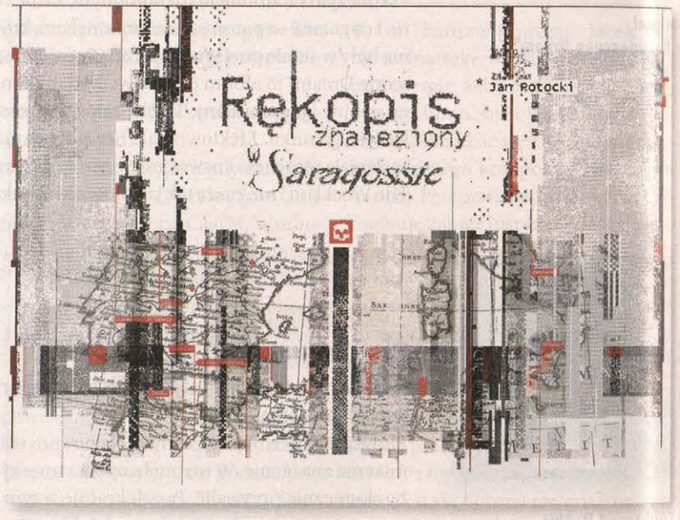

Drugie życie w dzieło piszącego po francusku Polaka tchnęła ekranizacja filmowa Wojciecha Hasa z 1964 r. Teraz ma okazję odżyć po raz kolejny za sprawą Mariusza Pisarskiego – anglisty i edytora, od lat zajmującego się związkami literatury i świata cyfrowego. Za enigmatycznym określeniem „adaptacja sieciowa" kryje się coś więcej niż e-book powieści Jana Potockiego. To próba znalezienia klucza do szkatułkowej konstrukcji „Rękopisu...". Każdy z 66 dni-rozdziałów został opatrzony tablicą, dzięki której nie zagubimy się w labiryncie wątków i postaci, a także będziemy mogli śledzić poszczególne wątki w dowolnej kolejności bez obawy, że coś nam umknie. Potrzebna do tego jest tylko przeglądarka internetowa.

Do takiej formy adaptacji skłoniła twórców wyjątkowa forma powieści Potockiego. „Rękopis..." to w zasadzie jedna anegdota, tyle że opowiedziana na kilkadziesiąt sposobów, pełna cytatów i ukrytych powtórzeń czyniących lekturę fascynującą. Adaptacja sieciowa podąża tym tropem. Dzieło Potockiego nadaje się świetnie do takiej literacko-cyfrowej gry w skojarzenia. Równie dobry materiał mogłyby stanowić chociażby „Gra w klasy" Cortázara, „Życie instrukcja obsługi" Perca czy choćby niedawne „2666" Bolano.

Dodatkowe urozmaicenie stanowi interfejs strony autorstwa Jakuba Niedzieli, nawiązujący do groteskowej i nieco gotyckiej estetyki filmu Hasa, a także do komputerowych gier RPG z lat 90.

Twórca = Odbiorca

Aby zrozumieć istotę literackiego hipertekstu, musimy się cofnąć do lat 60. XX w. Roland Barthes ogłosił „śmierć autora", który przestał być jedynym właścicielem tekstu, dyktującym jego interpretację. Dużą rolę odegrały też koncepcje Michaiła Bachtina, który porównał tekst literacki do polifonii głosów – każda wypowiedź odnosi się do innej i stanowi część łańcucha pełną cytatów i odniesień. Tekst jest skończony tylko pozornie. Proces twórczy dokonuje się za każdym razem w trakcie lektury, przez co współautorem jest też sam czytelnik.

Te koncepcje znalazły swoje digitalne odbicie w pracach młodego amerykańskiego naukowca Teda Nelsona. W 1965 r. wprowadził pojęcie hipertekstu, który oznaczał zbiór danych zorganizowanych na zasadzie nielinearności i niestrukturalności. Mówiąc prościej – każdy zbiór informacji można podzielić na krótkie sekwencje. Te z kolei można czytać w dowolnej kolejności i układzie, w zależności od inwencji czytelnika. Dlatego całość nie ma z góry ustalonego kształtu. Teraz wystarczył tylko mały krok, aby przenieść koncepcję hipertekstu do świata literatury.

Za pierwszą powieść hipertekstową uznaje się „afternoon. a story" Michaela Joyce'a z 1987 r. O jej konstrukcji wiele mówi pytanie kończące pierwszy, pełen niedopowiedzeń fragment: „Czy chcesz o tym usłyszeć?". Możemy odpowiedzieć tak lub nie. Sami decydujemy o tym, jaki kształt będzie miała ta historia. Potem były kolejne, jak choćby „Patchwork Girl", inspirowana XIX-wieczną powieścią „Frankenstein" Mary Shelley, czy „Victory Garden", której akcja toczy się podczas interwencji amerykańskiej w Iraku na początku lat 90.

Wraz z upowszechnianiem Internetu zaczęły powstawać też dzieła dostępne online – czego sztandarowym przykładem jest „Sunshine '69" Roberta Arellana z 1996 r., której design już trąci myszką. Do tworzenia hiperfikcji używano aplikacji HyperCard lub popularnego do dziś StorySpace. Później coraz częściej tworzono je na poziomie stron www z wykorzystaniem Flasha lub języka PHP.

Hiperfikcja po polsku

Orędownikiem literatury hipertekstu w Polsce jest krakowski Ha!art i współpracujący z nim magazyn internetowy „Techsty" (redagowany przez autora adaptacji „Rękopisu..." Mariusza Pisarskiego). Jedną z najważniejszych inicjatyw krakowskiego wydawnictwa była polska edycja i przekład „afternoon. a story" Michaela Joyce'a („popołudnie, pewna historia"), co było zadaniem karkołomnym ze względu na tłumaczenie tego wieloznacznego i pełnego niuansów językowych tekstu.

Pierwszym polskim utworem hipertekstowym był „Blok" Sławomira Shutego z 2002 r. (www.blok.art.pl). To opowieść o mieszkańcach nowohuckiego osiedla, których dzięki systemowi linków możemy obserwować na wielu płaszczyznach czasowych i przestrzennych. W 2005 r. Ha!art wydał na płycie „Koniec Świata według Emeryka" Radosława Nowakowskiego. Choć reakcja ze strony czytelników nie była szczególnie żywiołowa (autor określił swoje dzieło mianem „worstsellera"), awangarda nie składa broni. Dowodzi tego choćby tegoroczna adaptacja „Rękopisu...". Mocno rozwija się także hipertekstowa poezja, o czym świadczy chociażby ubiegłoroczna adaptacja poezji Tytusa Czyżewskiego pt. „Cyfrowe zielone oko" stworzona przez Urszulę Pawlicką i Łukasza Podgórniego.

– Właśnie dokonuje się proces remediacji, czyli zmiany medium dla literatury – tłumaczy Piotr Marecki z Ha!artu. – Epoka Gutenberga wmówiła nam, że książka jest równoznaczna z literaturą, a to nieprawda. Książka jest nośnikiem literatury dopiero od pięciu wieków, jeszcze dawniej przekazywano ją drogą ustną. Ten proces ciągle postępuje, a my staramy się na to reagować.

– Hiperfikcja była nowinką kilka dekad temu. Teraz jest jednym z kilku, może nawet nie wiodącym, kierunkiem rozwoju – dodaje Mariusz Pisarski. Podkreśla, że „książka jest nadal świetnym artefaktem".

Mimo to hipertekstowa literatura jest wciąż białą plamą na mapie kultury. Pozostaje na uboczu, traktowana jako rzecz niszowa. Z drugiej strony trudno się dziwić nieufności wobec tego zjawiska. Wizja książki bez początku i końca, nieposiadającej jedynego, z góry określonego sensu może przerażać większość czytelników, dla których linearność tekstu jest czymś podstawowym.

Przez to, że nie gwarantuje poczucia spójnego odbioru, bywa bardziej wymagająca w odbiorze niż lektura tradycyjnej książki. Zamiast utwierdzać w przekonaniu, że zrozumieliśmy intencje autora, tylko zwiększa wątpliwości i drogi interpretacji, zmuszając czytelnika do porzucenia nawyków i rozpoczęcia samodzielnej wędrówki przez tekst.

B.W. Higman, „Historia żywności", przeł. Anna Kunicka, Wydawnictwo Aletheia, cena 63,80 zł

Świat od kuchni

Co było najpierw – regionalna tożsamość kulinarna czy państwa narodowe? Australijski profesor historii B.W. Higman twierdzi, że to właśnie systemy żywieniowe odegrały ważną rolę w demarkacji złożonych społeczeństw i kształtowaniu się państw. Jego „Historia żywności" to pasjonująca opowieść o związkach kulinariów z polityką, sztuką, etyką czy psychologią. Dowiemy się z niej na przykład, kiedy powstały pierwsze książki kucharskie, w jakich okolicznościach narodziła się *haute cuisine*, dlaczego Włosi pokochali makaron, a Japończycy ryż. Nie obędzie się bez zaskoczeń – fanów sushi, dania, które dzisiaj uchodzi za luksusowe, zdziwić może fakt, że pochodzi ono z czasów niedostatku, a zostało obmyślone jako strawa podróżna dla biedoty. Higman sporo miejsca poświęca zresztą zagadnieniu głodu, który wydaje się motorem najbardziej kreatywnych kulinarnych wynalazków świata. Co ciekawe, w zamożniejszych wspólnotach otyłość bardzo długo uznawano za objaw nie tylko dostatku, ale i zdrowia. Odchudzanie dopiero w XIX wieku zaczął skutecznie propagować francuski kucharz, Jean Anthelme Brillat-Savarin, który w swojej „Fizjologii smaku" zalecał umiar, czyli rezygnację z chleba i ciastek. Takich smaczków Higman dostarcza czytelnikom – na szczęście – bez umiaru. Dobre nie tylko dla *foodies*. Konsumować najlepiej w całości, za jednym posiedzeniem. → Hanna Rydlewska

Serhij Żadan, „Woroszyłowgrad", przeł. Michał Petryk, Wydawnictwo Czarne, cena 39,90 zł

Ukraińska Route 66

Herman, 32-latek z „nikomu niepotrzebnym wykształceniem", prowadzi monotonne życie w mieście. Pewnego dnia dostaje telefon: jego brat wyjechał bez słowa, zostawiając prowadzoną przez siebie prowincjonalną stację benzynową. Co więcej, wszystkie papiery są zapisane na Hermana. Musi więc odwiedzić rodzinne strony, by dopilnować zdychającego interesu. Serhij Żadan jest jak fotograf – miłośnik martwej natury i rozkładu. Opisuje życie ukraińskiej prowincji z watahami bezdomnych psów i pekaesami wiozącymi handlarzy chińskich adidasów. W jego sugestywnej prozie czuć zapach stęchlizny w niewietrzonych pokojach oraz smak zimnej pizzy, słychać bzyczenie much. Taka wizja wschodniej Ukrainy odpowiada naszym stereotypowym wyobrażeniom – w końcu to na Polsce kończy się Europa. Książka Żadana byłaby jedną z wielu stasiukoidalnych opowieści, gdyby nie intryga, w którą czytelnik, podobnie jak Herman, z lekkimi oporami daje się wciągnąć. → Marcin Kube

Max Cegielski

Zdrowa choroba

MARCIN KALIŃSKI/PAP

Skoro zbyt długo żyjemy i w Europie nie wyrzynamy się w wojnach, zostajemy chociaż zmuszeni do chorowania i nieprodukowania.

Po paru dniach nierównej rodzinnej walki z wiecznie mutującym się wirusem grypy mogę napisać niesłychanie pesymistyczny felieton. Złożony łamaniem w kościach i nawrotami gorączki dzieci mógłbym wysmażyć tekst sexy i krytyczny, który zdobędzie złotą patelnię w konkursie na liczbę lajków. Nic tak dobrze się nie sprzedaje jak załamywanie rąk. Pretekstów do marudzenia oczywiście mnóstwo, od braku ustawy o związkach partnerskich poprzez śmieci, które wyszły spod śniegu, aż po ceny wizyt lekarskich pediatry i świadomość, jaką część budżetu domowego wydajemy na środki przeciwbólowe i przeciwgorączkowe. W tym kontekście uznawanie, że jest dobrze, śmierdzi oportunizmem, wręcz służalczością wobec władzy. Przecież rządzący premier, posłowie i radni specjalizują się w nawoływaniu do „look at the bright side of life". Nie wypada być zadowolonym, natychmiast padają oskarżenia, z prawa, żeś leming, z lewa, że brakuje ci krytycznej ostrości spojrzenia. Trafiony, zatopiony.

A jednak, wystawiając się na krytykę, muszę się podjąć obrony rzeczywistości, bo inaczej nigdy nie wyzdrowieję. Trzeba tylko znaleźć szerszą perspektywę, na przykład w ramach chorobowych rozrywek oglądając z dziećmi stronę NASA. Przez pierwszy weekend lutego łazik Curiosity szykował się do wiercenia w skale Marsa i pobierania próbek, a drugi, Opportunity, świętował dziewięciolecie na czerwonej planecie. Przez ten czas przejechał prawie 40 kilometrów, ale opinia publiczna właściwie o nim zapomniała, zajmując się nowym pojazdem, który wylądował ostatniego lata. Poprzednik popadł w zapomnienie, ale wciąż wykonywał swoją czarną robotę, kierowany z Ziemi przez sztab naukowców. Na Ziemi takich pozytywistycznych, cierpliwych łazików mamy co nie miara, ale nie przedostają się na okładki gazet. A przecież człowiekowi, tak jak pojazdom na Marsie, przejechanie paru metrów zajmuje czasem całe dni. Zmuszani do obłędnego tempa i poganiani coraz częściej o tym zapominamy. Zatrzymywanie się jest źle widziane, powoduje zatory i korki. Łykamy więc pigułki i zasuwamy dalej, aż padniemy w wyścigu.

Natura jest zawsze mądrzejsza i zmusza do postoju, kiedy organizm protestuje. Wysyłamy sondy w kosmos, których wyczyny możemy oglądać na telefonie, ale wirus grypy, ciągle przepotwarzając się i uciekając przed szczepionkami, przypomina, że „czasem słońce, czasem deszcz", jak brzmiało polskie tłumaczenie tytułu bollywoodzkiego hitu sprzed lat. Banał, o którym zapominamy, ale przyroda dąży do stanu równowagi. Skoro zbyt długo żyjemy i w Europie nie wyrzynamy się w wojnach, zostajemy chociaż zmuszeni do chorowania i nieprodukowania. Gdyby nie te przerwy, zupełnie uwierzylibyśmy w ciągły wzrost i rozrost, powodujący przerost. W pędzie widać tylko lukier, znika mięso.

To dwa pojęcia z tytułu książki, wywiadu rzeki z historykami i krytykami architektury: Grzegorzem Piątkiem i Jarosławem Trybusiem. Swoją drogą mania tworzenia wywiadów książek wynika też z nadprodukcji. Rozmowę łatwiej przeprowadzić, niż pokusić się o pisanie tekstu, a poza tym współczesny czytelnik, który nie rozumie werdyktu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie związków partnerskich (jak ja), łatwiej przebrnie przez treści. Stop! Miałem się nie czepiać, chciałem odrobiny optymizmu i właśnie w tej arcyciekawej pozycji znalazłem. Zamiast wrzeszczeć o „wrzasku w przestrzeni", Piątek i Trybuś – indagowani przez architekta Marcina Kwietowicza – spokojnie analizują zarówno „najlepsze budynki roku", jak i codzienność przestrzeni miejskich. „Wokół architektury w Polsce po 1989 roku" nie jest bynajmniej peanem na cześć przemian ustrojowych. Ponad 20 lat od Okrągłego Stołu to nie jest jeszcze historyczne „długie trwanie", ale nawet na tym wycinku osi czasu widać, że było gorzej, a jest lepiej. Akurat tyle optymizmu, ile potrzeba mi, aby powstać z łoża boleści i zadzwonić do administracji, żeby szykować się do walki z miastem, które na pustej działce, po wyburzeniu ruin fabryczki na moim podwórku, zamierza zapewne postawić wieżowiec. Trybuś i Piątek mają rację, że „Polacy mieszkają w strachu", więc nie dajmy się zastraszyć. Ani grypie, ani opozycji, ani władzy.

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozaikę. Śladami Rechowiczów".

KUBA DĄBROWSKI

Pedały stąd

Kombatancka historia **pierwszego nowoczesnego queerowego magazynu** w Polsce.

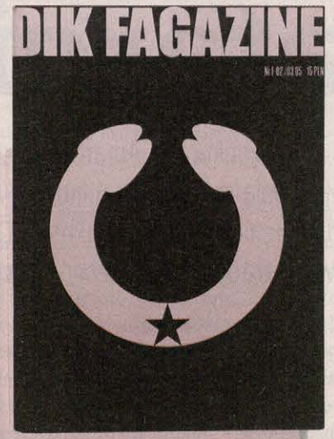

Warszawa, rok 2004. Karol Radziszewski kończy malarstwo na ASP, jest jeszcze przed oficjalnym artystycznym coming outem, ale prywatnie nie kryje się ze swoim homoseksualizmem. Jako konsumentowi kultury brakuje mu jednej rzeczy. – Pisma gejowskie dostępne na naszym rynku to była albo pornografia połączona z ogłoszeniami towarzyskimi, albo zaangażowane wydawnictwa dla działaczy – opowiada. – Brakowało mi magazynu, który nie byłby ani jednym, ani drugim. Pisma o sztuce, o męskości i homoseksualizmie. Pisma, które jest o tym, co tu i teraz w Polsce i co mnie dotyczy. Takie, w którym nie używa się słowa „gej", tylko „pedał".

Jeżeli czegoś nie ma, to zamiast czekać, lepiej wypełnić lukę samemu. Rodzi się idea „DIK Fagazine". – Zawsze chciałem wydawać magazyn. Już w podstawówce i liceum redagowałem gazetki szkolne – opowiada Radziszewski. – Pomyślałem: dlaczego nie miałbym potraktować magazynu jako kolejnego artystycznego medium? Zrobić dzieło sztuki, które będzie dostępne w większym nakładzie. Nie w 10 egzemplarzach jak grafika, ale na przykład w tysiącu.

Radziszewski zaczyna kompletować redakcję. Okazuje się, że rozsiane po całej Polsce osoby o podobnej wrażliwości czekają tylko na sygnał do działania. – Co ciekawe, w większości to nie byli moi znajomi – raczej koledzy kolegów, czyjś były chłopak. Zakolegowaliśmy się dopiero dzięki pracy nad magazynem – opowiada Karol. Materiały nadsyłają m.in. Michał Zygmunt (dziś poważny pisarz) i Bartek „Arobal" Kociemba (dziś poważny ilustrator). Zygmunt przysyła wywiad ze swoim wrocławskim znajomym, pisarzem przygotowującym się właśnie do wydania debiutanckiej powieści. – Musisz to opublikować, ten gość za chwilę będzie sławny – radzi Radziszewskiemu. Pisarz to Michał Witkowski, a powieść to „Lubiewo". „Michaśka" również dołącza do redakcji. Z „DIK-iem" przyjaźnią się także dziewczyny: makietę i logo przygotowuje Monika Zawadzki, komiks na ostatnią stronę robi Endo.

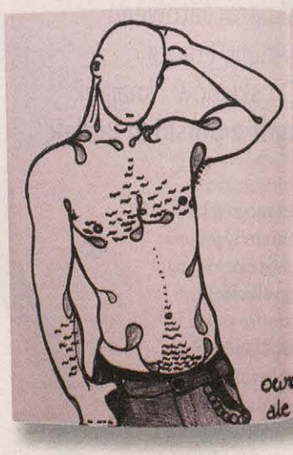

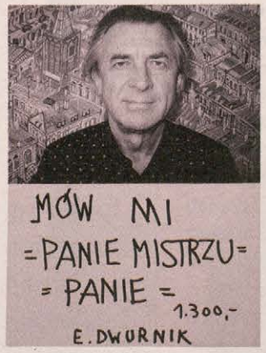

Finansowe założenia wydawnictwa są proste: druk finansowany jest ze sprzedaży obrazów Radziszewskiego, wszyscy pracują za darmo. Sprzedaż egzemplarzy (przynajmniej częściowo) zwraca koszta i pozwala zebrać na druk kolejnego numeru. Na reklamy nie ma co liczyć, Polska A.D. 2004 nie jest jeszcze na to gotowa. Pieniędzy oczywiście brakuje. – Jedynym artystą, o którym wiedziałem, że ma pieniądze, był Edward Dwurnik. Nie chciałem prosić go o zapomogę, pomyślałem, że zaproponuję mu wykupienie w piśmie reklamy samego siebie. Że to będzie taka absurdalna akcja – wspomina Radziszewski. Artyści się spotykają. Dwurnik się zgadza, pyta, ile to będzie kosztowało. Radziszewski odpowiada: – 1500 złotych. Dwurnik zagląda do portfela: – Przy sobie mam tylko 1300, wystarczy? Wystarcza. Reklamodawca każe zamieścić reprodukcję kartki z napisanym odręcznie „hasłem reklamowym": „Mów mi =panie mistrzu= =panie=", i kwotą.

Pierwszy numer „DIK-a" wychodzi w marcu 2005 r., premierze towarzyszy huczna impreza w warszawskim CSW. O magazynie robi się głośno – piszą i mówią o nim prawie wszyscy. Sprzedaż jednak nie idzie za dobrze. – Uplasowaliśmy się na rynku bardzo niszowo. Okazało się, że na tamtą chwilę to był magazyn dla naprawdę kilku osób w Polsce. Na Zachodzie na szczęście idzie łatwiej, „DIK-a" można kupić w m.in. paryskim Palais de Tokyo i nowojorskim Printed Matter. Dla czytelników stamtąd „DIK" staje się źródłem wiedzy o pedalskim życiu w naszej egzotycznej części Europy. W późniejszych numerach pisma publikują takie tuzy jak Nan Goldin, Bruce LaBruce czy Wolfgang Tillmans.

Archiwum „DIK-a" jest jednym ze skarbów, które niedawno spłonęły podczas pożaru kamienicy na warszawskiej Pradze. Dalsze losy magazynu i rozwój sytuacji można śledzić na: **dikfagazine.blogspot.com**. Wszystkim artystom, którzy ucierpieli w pożarze, współczujemy i kibicujemy.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

CEZARY POLAK

Jabłecznik w natarciu

Browarnikom wyrasta nowy konkurent. Amatorzy niskoprocentowego alkoholu coraz częściej sięgają po cydr. Popularny w Anglii, Francji i Hiszpanii podbija podniebienia naszych smakoszy. Do sklepów i knajpek trafił właśnie produkowany tradycyjnymi metodami **cydr z polskich jabłek**.

Jeszcze dwa lata temu opowieści o cydrze znad Wisły brzmiały jak bajki o żelaznym wilku. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zrehabilitować cieszącego się fatalną reputacją trunku ze sfermentowanych jabłek, kojarzonego z nasiarkowanym cienkuszem, zwanym jabolem, bełtem, alpagą, winem patykiem pisanym i dwoma tuzinami innych określeń. Optymistyczna wersja zakładała, że jeśli nawet powracający z saksów w Zjednoczonym Królestwie rodacy przekonają się do pijanego tam cydru, to z przytoczonych wyżej powodów nie wezmą do ust jabłecznika wytwarzanego w kraju. Do koszmarnej famy dochodziły jeszcze restrykcyjne prawo oraz wysoka akcyza, regulująca produkcję tego alkoholu.

Bariera mentalna na dobre pękła latem ubiegłego roku – cydr był hitem zarówno w hipsterskich knajpach, jak i alternatywnych klubach. – W upalne dni sprzedawaliśmy więcej cydru niż piwa. Pili wszyscy: studenciaki, japiszony, geje i heteryki na randkach, starsze panie i panowie – mówi Kacper, barman w modnym lokalu przy warszawskim placu Zbawiciela.

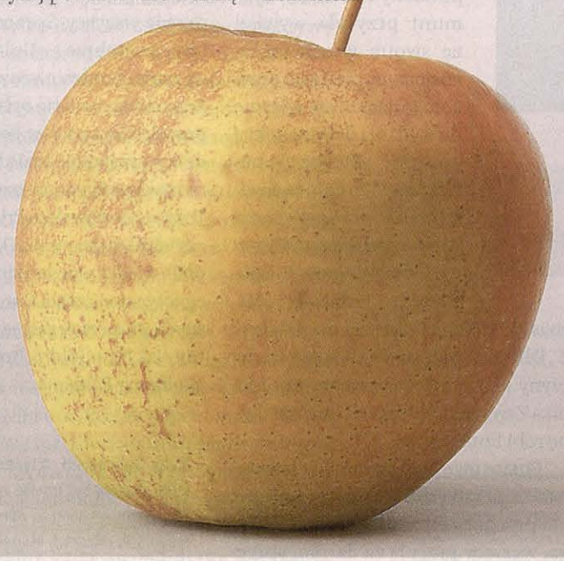

Jabłkowe eldorado

Sęk w tym, że w przytłaczającej większości amatorzy jabłkowych procentów raczyli się alkoholem z Francji, Anglii, Irlandii oraz krajów nadbałtyckich. Polskę reprezentował tylko cydr Lajk, sprzedawany przez firmę Klin Business. Hegemonii zagranicznych trunków tego rodzaju winne były (i są) absurdalne przepisy. Bo choć w styczniu minister finansów obniżył akcyzę, to sytuacja rodzimych cydrowników uległa tylko nieznacznej poprawie. Zgodnie z przepisami producentem cydru (z limitem 10 tys. litrów rocznie) może zostać każdy obywatel RP, który posiada jednohektarowy sad. Twórcom ustawy chodziło o to, żeby uławić produkcję lekkich alkoholi i doprowadzić do tego, by Polska, będąca potentatem w uprawie jabłek, nazywana „sadem Europy", stała się krajem cydrowego eldorado. Problem w tym, że uproszczono tylko niektóre przepisy, a inne – jak na przykład skomplikowany system rozliczania podatku akcyzowego i kosztowny obowiązek rejestracji zakładu wytwórczego przez sanepid czy brak możliwości sprzedaży detalicznej cydru przez producenta – obowiązują nadal. Nic zniechęciło to Tomka Porowskiego, który wraz ze wspólnikiem Marcinem Hermanowiczem, sadownikiem, którego rodzina uprawia jabłka od pokoleń, rzucili rękawicę nieżyciowym przepisom i próbują zrehabilitować alkohol z polskich jabłek.

Sad zamiast winnicy

Wszystko zaczęło się dwa lata temu. Dobiegający czterdziestki Porowski, prawnik z wykształcenia na etacie w firmie z branży spożywczo-farmaceutycznej, poczuł, że musi zrobić woltę. – Zmęczył mnie niematerialny charakter pracy biurowej. Chciałem zrobić coś, co ma konkretny, fizyczny kształt, coś dobrego w najbardziej elementarnym znaczeniu, na przykład trunek, który będzie ludziom smakował – wspomina.

Do produkcji zabrał się profesjonalnie. Sprowadził z zagranicy literaturę fachową, doszperał się nawet instruktażu produkcji cydru zamieszczonego pod koniec XIX wieku w polskim periodyku poświęconym sprawom ziemiańskim. Nawiązał też kontakt z członkami koła naukowego przy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, którzy badali polskie odmiany jabłek pod kątem ich wykorzystania do produkcji cydru. Do jego wytwarzania używa się bowiem w krajach tradycyjnie cydrowych innych gatunków niż te, które głównie uprawia się obecnie w Polsce. Cydr powstaje bowiem z owoców, które nie odznaczają się wybitnymi walorami smakowymi, czyli z jabłek kwaśnych i gorzkich. Dopiero fermentacja, leżakowanie oraz dodatki soku wytłoczonego z innych odmian jabłek i dwutlenek węgla zamienia je w smaczny, niskokaloryczny i lekki (do 8 proc. alkoholu) napój wyskokowy.

W Anglii czy Francji cydr to napój niemal plebejski. U nas wchodzi na rynek jako trunek elitarny, który wymaga celebrowania i specjalnej oprawy.

Tradycja jak na Wyspach

Po wielomiesięcznych testach Tomek wraz z ekipą naukowców wyselekcjonował jabłka, zrobił nastaw, wyprodukował cydr i postanowił poddać swój trunek pod ocenę najlepszych fachowców w branży. Umówił się z kilkoma angielskimi cydrownikami, zapakował autorskie próbki i poleciał na szkolenie.

Na Wyspach spotkał freaków podobnych do siebie. Facetów, którzy porobili kariery w wielkich firmach i w okolicach czwartego krzyżyka rzucili stanowiska, dobrze opłacane etaty i wrócili na wieś. Cydrowym guru Tomka został Tom Oliver, wzięty inżynier dźwięku, nagłośnieniowiec pracujący m.in. dla grupy R.E.M., który – jak wielu innych – produkuje i propaguje cydr wytwarzany tradycyjnymi metodami. W globalnym obrocie (również w knajpach przy placu Zbawiciela) dominuje natomiast trunek wytwarzany z koncentratu, metodami wielkoprzemysłowymi.

Porowski i Hermanowicz nie chcieli być globalni. Wyprodukowali cydr zgodnie z cyklem natury. Zebrali jabłka z podgrójeckiego sadu jesienią 2011 r. Po tłoczeniu w lokalnym zakładzie w grudniu nastawili fermentację 20 tys. litrów jabłecznika – sok dojrzewał i leżakował w piwnicach gospodarstwa w Ignacowie.

Po wielu formalnych perypetiach, zamiast latem, rozlali trunek w grudniu 2012 r. do smukłych, przezroczystych, kapslowanych butelek 275 ml, opatrzonych minimalistyczną etykietą. Design, waga i kolor szkła mają znaczenie. Tomek Porowski przekonuje, że cydr najlepiej smakuje pity bezpośrednio z butelki, ewentualnie z małej szklanki, choć sprawdza się również kieliszek do wina.

– W Anglii, Francji, Irlandii czy Hiszpanii to trunek egalitarny, by nie rzec plebejski. Jest częstym składnikiem w tamtejszej kuchni, używanym do przyrządzania mięsa albo ciasta. U nas wchodzi na rynek trochę jako napój elitarny, wymagający celebry i specjalnej oprawy. Głównie dlatego, że koszt jego wytworzenia jest zbyt wysoki – dodaje Porowski.

Cydr z Ignacowa jest półwytrawny, lekko musujący, dobrze komponuje się z serami, białym mięsem, rybami.

„Nasza kuchnia woła o cydr. Tam, gdzie jest zbyt zimno, by udawało się wino, cydr ma szansę wejść na jego miejsce. Odświeża, gasi pragnienie, współgra z jedzeniem, pobudza do rozmowy i nie dezaktywuje konsumenta tak szybko jak mocny alkohol" – apelowała niedawno na łamach prasy Agnieszka Kręglicka. Wiele wskazuje na to, że polscy kucharze posłuchali znanej restauratorki i zaczynają doceniać walory jabłecznika.

Powoli też nasz przemysł alkoholowy zrzuca brzemię wódki, której dominacja prawdopodobnie zahamowała rozwój kultury cydru w Polsce. Nowoczesne sadownictwo jest bowiem dziedziną na naszych ziemiach stosunkowo młodą, datowaną na wiek XIX, który był stuleciem wódki. To wtedy bowiem upowszechniło się tanie gorzelnictwo, które uczyniło produkcję szlachetniejszych trunków nieopłacalną. Dopiero teraz nadarza się szansa, żebyśmy przestali być tylko sadem, ale stali się także cydrownią Europy.

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Wino na prowincji

Poza stolicą **winiarskiego życia** (prawie) nie ma.

MATERIAŁY PRASOWE (3)

1 **Sous les Cailloux des Grillons 2011**, porzeczki, czereśnie, ok. 45 zł, Gliwice (i Warszawa)

2 **Fabre Montmayou Patagonia Malbec 2009**, śliwki, czekolada, ok. 59 zł, Zamość (i cały kraj)

3 **F.lli Degani Valpolicella Classico 2011**, truskawki, fiołki, ok. 29 zł, Częstochowa (i Internet)

Felietonem tym przysporzę sobie miliony nieprzyjaciół na tzw. prowincji, ale fakty są nieubłagane. Wieś Warszawa konsumuje 45 proc. całego wina sprzedawanego w Polsce. Tak, to nie pomyłka – nie 4,5 proc., nie 15 i nie 25. Tak wynika z danych sprzedażowych jednej z dużych sieci, w które pozwolono mi zerknąć. Potwierdzają się one w wielu innych statystykach, m.in. użytkowników winiarskich portali albo abonentów klubów wysyłkowych.

Warszawa to 5 proc. ludności naszego kraju. Nawet jeśli uznamy, że mieszkańcy szerzej pojętej stołecznej aglomeracji kupują wino w centrum, a potem wiozą do domu w Wesołej albo Pruszkowie, wyjdzie nam, że warszawiacy piją siedem razy więcej niż statystyczna reszta kraju.

Stolica ma zawsze łatwiej – tu skupiają się najlepsze restauracje, najlepsi konsumenci, czyli pijący za cudze pieniądze prezesi wielkich firm i urzędnicy. Tu siedziby mają najwięksi importerzy. Ale aż taka przewaga Warszawy to ewenement na skalę europejską. W żadnym kraju jedno miasto tak ogromnie nie dominuje na rynku wina. Jedynie na Węgrzech Budapeszt zbliża się do 50 proc. rynku, ale też mieszka w tym mieście 1/5 wszystkich Węgrów. W Wielkiej Brytanii 13 proc. populacji (i 90 proc. kasy) kumuluje się w Londynie, a wypija on raptem 20 proc. brytyjskich butelek. Czyli londyńczyk konsumuje dwa razy więcej, niż sam waży. Na tle innych stolic Warszawa jest w sumie nie tak dużym miastem, za to o nieposkromionym apetycie.

Inne duże miasta nawet nie nawiązują walki z liderem. Kraków i Poznań wypijają po blisko 10 proc. rynku, na czwartym miejscu jest Wrocław z blisko 8 proc., na piątym – Łódź. Słabiutko wypada Trójmiasto, któremu przypada zaledwie 5 proc. winiarskiego tortu. Takie miejsca jak Lublin, Rzeszów czy Szczecin nie przechodzą nawet progu wyborczego. (W Szczecinie wyniki zaburza prywatny import bagażnikowy z Niemiec, gdzie wino jest kilkadziesiąt procent tańsze).

Z czego to wynika? Prowincja nie ma kasy, ma niewiele drogich restauracji. Nie ma ekspatów, którzy wydają naprawdę dużo na wino – w jednej z warszawskich restauracji wypijają na przykład 100 butelek tygodniowo słynnego wina nowozelandzkiego Cloudy Bay, co jest wynikiem prawie jak w Londynie. Ale przede wszystkim nie ma sklepów z winem. I już nie wiadomo, co było pierwsze – jajko czy kura, czyli brak popytu czy brak podaży. Faktem jest, że w niektórych miastach wojewódzkich naprawdę ciężko jest kupić dobre wino. Sam tego doświadczam, gdy ruszam w Polskę urlopowo. W Zakopanem winiarski dramat – wszędzie te same 10 no-name'ów z wielkiej dystrybucji. W Koszalinie lepiej nie pytać. W Puławach jedyną deską ratunku jest Kaufland. W Kutnie lokalnym centrum winomanii jest… cukiernia państwa Wasiaków, gdzie w specjalnej gablocie stoją wina od Marka Kondrata.

Niby nic dziwnego, w końcu po patek philippy albo łososia z Alaski też trzeba raczej wybrać się do Warszawy. Sęk w tym, że wino – przynajmniej to codzienne, do 50 zł – nie powinno być towarem luksusowym, lecz właśnie codziennym, w który zaopatrujemy się lokalnie, tak jak chleb i pomidory. W Niemczech w najbardziej niemożliwych miejscach na prowincji istnieją lokalne składy win, oferujące bardzo ciekawy wybór i chuchające na miejscowych winomanów w podziwu godny sposób – degustacje, promocje, mailingi. U nas tego nie ma, nawet Biedronka, która ma sklepy praktycznie wszędzie, w Polsce powiatowej nie sprzedaje praktycznie nic ze swojej sensownej (jak na dyskont) winiarskiej oferty.

Jeśli chodzi o wino w Polsce, pierwsze jest bowiem chyba jajko, czyli brak zainteresowania ze strony konsumentów. Jesteśmy młodziutkim rynkiem, dopiero się wykluwającym z wódczanej skorupki. Jesteśmy 30 lat za takimi krajami jak Dania czy Anglia, gdzie wina też się praktycznie nie robi i gdzie masy przez setki lat gasiły pragnienie gorzałą i piwem. Tam zmiany przebiegły szybciej, bo katalizowały to tzw. zachodni styl życia i zasobność portfela. U nas nawet gdy są chęci, często nie ma kasy, by choćby co dwa dni opróżniać do obiadu butelkę za 19 zł.

Dlatego tym bardziej kibicuję lokalnym importerom z dala od trzech wielkich słońc, bo to oni cierpliwie, wbrew przeciwnościom budują lokalny rynek wina w Polsce. I dają nadzieję, że za 10 lat nie będziemy każdej flaszki zamawiali w ogólnopolskiej centrali logistycznej na ul. Racjonalizacji w Warszawie.

WOJCIECH BOŃKOWSKI
Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winicjatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

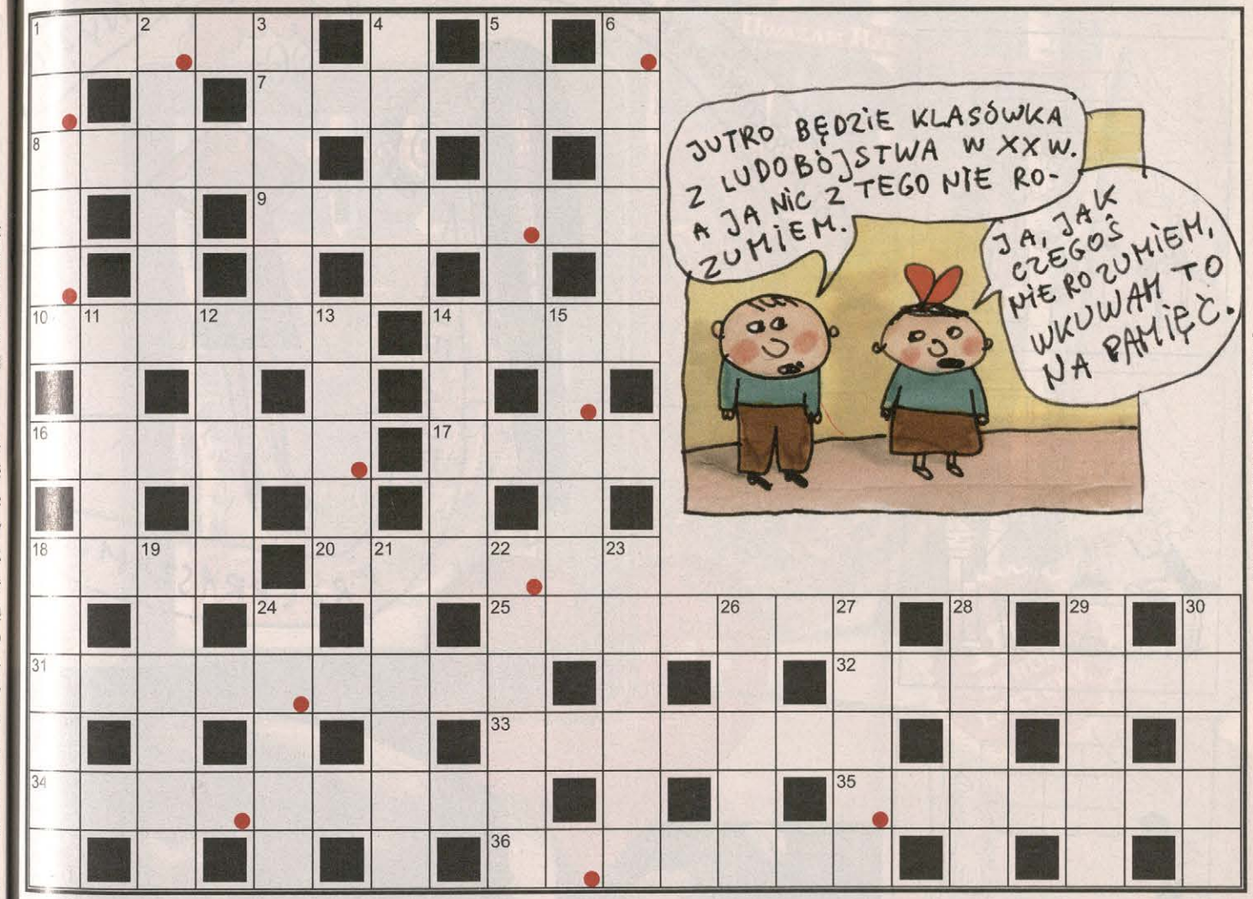

RYS. MAREK RACZKOWSKI/ARCHIWUM „PRZEKROJU"

POZIOMO:

1. …DZIAD Z WOZU
7. …NA POLACH
8. OSTRO RÓŻOWE
9. …O ON ZŁĄCZY, …CZŁOWIEK NIECH …NIE ROZDZIELA
10. …O SIĘ ODWLECZE
14. …STROJONA W OPERZE
16. WYRAZ SŁABOŚCI
17. WSADŹ SE TAM SWOJE PLANY
18. TRAWA NAD GROBEM
20. TRAFIA W SŁUPEK
25. CZŁOWIEK Z ZABURZENIAMI RÓWNOWAGI
31. WSZYSTKIE OCZKA ZWRÓCONE NA NOGI
32. NIE DLA BAŁWANÓW
33. DŁUGA PRZERWA W SZKOLE
34. WSTĘGĄ SZOS, MIEDZĄ PÓL ZŁOCONYCH, KRĘTĄ ŚCIEŻKĄ POPRZEZ LAS
35. POWODUJĄ WZROST STOPY
36. ANTRAKCYJNE MIEJSCE

PIONOWO:

1. MĘŻCZYZNA, KTÓRY SAM SOBIE PRZYPRAWIŁ ROGI
2. JEGO KREW
3. AKTOR NAD GROBEM
4. INSTRUMENT STRUNOWY
5. PODJUDZIE
6. KLIKI MIKI
11. KÓŁKO SPORTOWE
12. KOBIETA PRZYWIDYWALNA
13. WPADNIJ POTAŃCZYĆ
14. WYPADŁ KROWIE SPOD OGONA
15. SILNY W BARACH MLECZNYCH
18. WISI DZIADKOM
19. OKRĘG I KRZYŻYK
21. DZIEŃ I TYDZIEŃ
22. CZŁOWIEK NIEZWYCZAJNY
23. KWIATEK OD ŻONY
24. GRABI ZIEMIE POLSKIE
26. POLSKA DLA POLAKÓW
27. O WSCHODZIE
28. KIEPSKA FRYZURA I ARCHITEKTURA
29. SZYBKI NA STOKU
30. PO ZAWODACH

Nagrodą w tym tygodniu jest książka

„Starożytne cywilizacje. Wierzenia, mitologia, sztuka"

Wydawnictwo Naukowe PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesłać **NA KARTCE POCZTOWEJ** na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 6". Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 17 lutego 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Presspublica sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój". Rozwiązanie krzyżówki należy przesłać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój". Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

LAUREACI Z NR. 3

Rafał Butrym, Tarnowskie Góry; **Alina Flak,** Czeladź; **Paweł Pelc,** Warszawa; **Franciszek Janiak,** Konin; **Magda Raczkowska,** Żary; **Krzysztof Warejko,** Kraków; **Bożena Brzezińska,** Poznań; **Grażyna Maciąg,** Gdańsk; **Barbara Katkowska,** Wrocław; **Mateusz Kowalski,** Konin

ROZWIĄZANIE Z NR. 4

KRZYŻÓWKA: KROK OSTATECZNY

POZIOMO: **1.** CZŁOWIEK ORKIESTRA – GOLEC **7.** TWÓJ STARY – ZNAJOMY **8.** ŚRODEK CIEMNOŚCI – JĄDRO **9.** NIE POLEWA – POPRAWA **10.** KURY NA SZTUKI – ROKOKO **14.** PRZYJMOWANA PRZEZ PAPIEŻA – POZA **16.** MIARA SIŁY – ZAMIAR **17.** ZIEMIA W SPADKU – STOK **18.** MA I DA – DAMA **20.** MIĘDZY USTAMI A – GŁOSKA **25.** SKARBY NA ZAMEK – TOREBKA **31.** ZDERZENIE DWÓCH POJAZDÓW – MOTOROWER **32.** BOLESŁAW PRUSARZ – LALKARZ **33.** SYPIE ŚNIEG – ARMATKA **34.** TECZKA Z HAKIEM – SKOROSZYT **35.** Z ROZGARDŁA – ROZGŁOS **36.** OSKARŻONY MACIEREWICZ – ANTONIM

PIONOWO: **1.** ŹRÓDŁO CIEPŁA – GEJZER **2.** MISTRZ BRUDNEJ PATELNI – LUDWIK **3.** PIGUŁKA OD TYŁU – CZOPEK **4.** WIELKA WINA – LAMPA **5.** BĄDŹ, A KLĘKNĘ – KOLANO **6.** STOŁUJE SIĘ U CZUBKÓW – ŻYRAFA **11.** ZE WSI POCHODZI, PRACUJE W ŁODZI – OSADA **12.** SZCZYCI SIĘ ORGANAMI NA BALKONIE – OLIWA **13.** ZIEMIA Z URNAMI – OKRĘG **14.** KLIN KLINEM – PISMO **15.** SREBRO NA BRĄZOWYM – ZŁOTKO **18.** POJAWIA SIĘ W NIEWYJAŚNIONYCH OKOLICZNOŚCIACH – DOMYSŁ **19.** NIEBOSPŁON – METEOR **21.** ZARABIA DUBELTOWO – ŁOWCZY **22.** CO BYŁO, A NIE JEST – STRATA **23.** JEST PRZY KASIE – AROMAT **24.** CZEŚĆ PRACY – URLOP **26.** HUCPAN – BUTAN **27.** SYRENI ŚPIEW – ALARM **28.** BARBARY PO ŁODZIE – ŚLIZG **29.** BRUŹDZI W PRACY – RADŁO **30.** DO-OKO-ŁA – RZĘSY

TABLICZKA ROZMNAŻANIA SIĘ STANISŁAW JERZY LEC

Miłość jest ślepa i dlatego obmacuje.
Manuela Gretkowska

Kociak tygodnia: Monika, 22 lata, aktorka, piosenkarka, gra na wielu instrumentach, skacze na bungee, jeździ konno, kocha wspinaczkę górską i motory. Fot. **Sonia Szóstak**

Co robi bezwalentynkowy dżentelmen w walentynki?

Usłyszeć z ust damy, że jest się idiotą, to nie zawsze obelga. Czasem tylko diagnoza. Ale i tę bywa trudno znieść. Dlatego dżentelmen o usposobieniu bezwalentynkowym, by diagnozom takim nie dać pretekstu, niech się pochopnie nie łudzi swym szczęściem, gdy dama w przeddzień mu powie, że gardzi tym całym kiczem walentynkowiczem. Tylko szaleniec na mocy takiego stwierdzenia dzień ten lekceważy. Zdrowy na umyśle dobrze się orientuje, że w sprawach uczuć logika nie ma zastosowań, a to oznacza, że nawet dama, która uznaje walentynki za durny obyczaj, będzie się spodziewać tego dnia jakiejś atrakcji, niepodzianki, czy jak to zwał. Dżentelmen bezwalentynkowy może więc zaoferować kolację, wyszukane czułości czy choćby wspólne przeżuwanie dropsów – każdy przejaw uczuć jest nie do pogardzenia – zaznaczając, że atrakcja ma charakter bezwalentynkowy. Wywinięcie się tego dnia z jako tako romantycznych ceregieli może wzbudzić w damie podejrzenia, że albo dżentelmen prowadzi podboje adoracyjne na innym froncie, albo serce całkiem mu ścierpło. W obydwu przypadkach dalsze losy dżentelmena nie wróżą nic dobrego. → Ula Ryciak

Nowy numer w sprzedaży, a w nim m.in.:

- Andrzej Nieuważny / Powstanie: głupota czy wielki czyn
- Robert Service / Stryczek dla Lenina
- Zbigniew S. Siemaszko / Anders w kleszczach NKWD
- Sławomir Koper / W alkowie Kazimierza Wielkiego
- Tim Weiner / FBI przeciwko komunie

Available on the App Store
Google play

POBIERZ APLIKACJĘ **NA SWÓJ TABLET**

www.historia.uwazamrze.pl

Mały biznes w małych miejscowościach

Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkasz w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?
Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj 50 000 zł

START: 5.01.2013

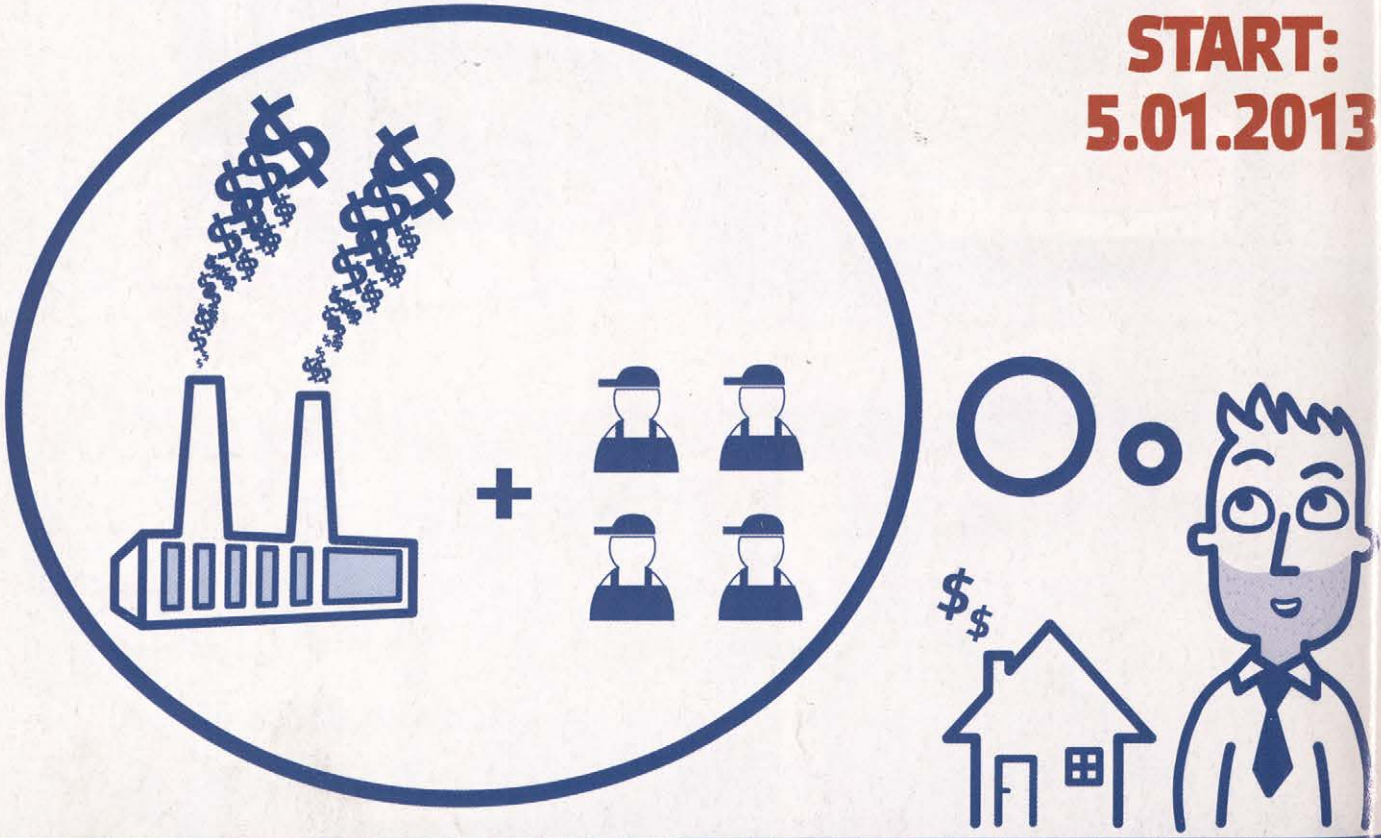

www.rp.pl/malybiznes

Bank Pocztowy

RZECZPOSPOLITA

AT Kearney · IBS Instytut Badań Strukturalnych · NZS · Studenckie Forum Business Centre Club · PARKIET · PRZEKRÓJ